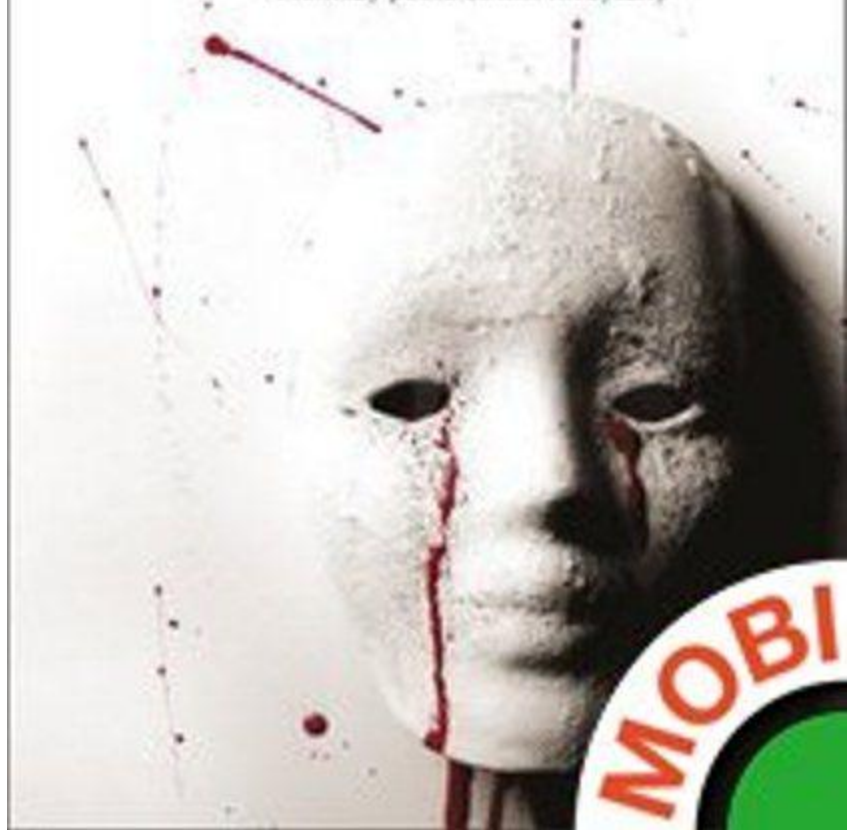


JACEK  
**CABA**

## DOKTOR ŚMIERĆ

Pierwszy polski thriller medyczny



**Jacek Caba**

**DOKTOR**

**SMIERC**



Copyright © Jacek Caba 2012 All rights reserved  
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

Redakcja: Barbara Stama

Konsultacja medyczna: doc, dr hab. Janusz Jerzemowski

Konsultacja prawna: mec. Grzegorz Stępniewski

Ilustracja na okładce: Dewayne Flowers/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-392-0

*Dystrybutor*

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa – księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

2012. Wydanie I

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*W czasie swego udręczenia wołali do Ciebie,  
a Ty z niebios wysłuchałeś  
i według wielkiego miłosierdzia Twego  
daleś im wybawicielei...*

Księga Nehemiasza 9,27 \*

\* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu,  
Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo  
Pallottinum, Poznań 2003.

# Prolog

Zachyłek gruszkowaty.

Słyszac jego łacińską nazwę – *Recessus piriformis* – można pomyśleć o jakiejś egzotycznej roślinie, tajemniczej budowli z okresu cesarstwa rzymskiego lub przedstawicielu dziwaczných azjatyckich płazów. A to fragment ludzkiego gardła.

Przeciętny człowiek, myśląc „gardło”, nie wyobraża sobie tak naprawdę zupełnie nic, no, może za wyjątkiem anginy z dzieciństwa albo czegoś do ssania, co mniej lub bardziej przypomina cukierek i atakuje codziennie z telewizyjnej reklamy.

Jednak samo gardło to pustka, jedna wielka biologiczno-teoretyczna abstrakcja, a co dopiero jakiś tam zachyłek gruszkowaty, czyli zaledwie malutki tej abstrakcji zakamarek.

Trudno sobie wyobrazić, że takie byle co jest ważne, że coś może od tego byle czego zależeć, że to coś może zmienić bieg codzienných wydarzeń, słowem, że oprócz rozumu i wolnej woli Stwórcy wyposażył nas jeszcze w zachyłek gruszkowaty.

To miejsce na styku układu pokarmowego i oddechowego, konkretnie – jego części zwanej krtanią.

Krtań może nie jest tak ważna jak serce albo nerki, ale to organ odpowiedzialny za powstawanie głosu – to przecież dzięki krtani Mick Jagger jest Mickiem Jaggerem, a Madonna Madonną.

Choroby krtani to choroby głosu, choroby porozumiewania się, choroby tego, co odróżnia nas od zwierząt – mowy!

Najcięższą i najbardziej niebezpieczną z tych chorób jest niewątpliwie rak krtani. Występuje przeważnie u mężczyzn koło pięćdziesiątki, prawie zawsze palących, często nadużywających alkoholu, i wbrew obiegowym opiniom, ale za to zgodnie z wszelkimi dostępnymi statystykami, jest obok raka płuc i raka szyjki macicy jednym z najczęściej spotykanych u człowieka nowotworów złośliwych.

Mało kto wie, że tak naprawdę jest całkowicie wyleczalny. Wczesne wykrycie daje praktycznie stuprocentową pewność przeżycia.

Rozwija się dość wolno, bardzo późno daje przerzuty, a i te przez długi czas lokalizują się tylko w okolicznych węzłach chłonnych.

Stosunkowo wcześniej pojawiają się też objawy – zaatakowanie strun głosowych skutkuje uporczywie utrzymującą się chrypką, która prędzej czy później zmusza chorego do poddania się badaniu lekarskiemu. Badanie jest proste: wystarczy rzut oka w lusterko laryngologiczne i właściwie wszystko jasne. Pacjent zostaje poinformowany, że jest bardzo poważnie chory, ale są też i dobre wiadomości: jeżeli szybko podda się operacji, ma szansę!



Rak krtani jest odporny na wszelkie metody leczenia. Nie reaguje na naświetlanie promieniami Roentgena ani na

najbardziej nawet agresywną chemioterapię. Na nic, z wyjątkiem zabiegu operacyjnego.

Laryngektomia. Całkowite usunięcie krtani. Koniec mówienia. Często elementem leczenia jest tak zwana operacja Craile'a – usunięcie wszystkich węzłów chłonnych w okolicy nowotworu z podwiązaniem żyły szyjnej. Dla całkowitej pewności.

Można powiedzieć – uczciwy *deal*. Wysoka stawka – wysoka cena.

W końcu najważniejsze jest uratowanie życia, więc w fachowym piśmiennictwie przyjmuje się, że rokowanie w przypadku tego typu nowotworu jest raczej pozytywne.

Raczej. No, może z jednym małym wyjątkiem.

Mamy z nim do czynienia tylko w przypadku specyficznej lokalizacji ogniska raka. Bo czasem to paskudztwo usadawia się w zachyłku gruszkowatym.

Wtedy jest naprawdę niedobrze. Objawy występują zdecydowanie później – chrypka nie ostrzega o niebezpieczeństwie – na ogół pacjenci trafiają do szpitala wtedy, gdy jest już za późno. Za późno na leczenie, za późno na nadzieję, za późno na życie.

# **CZEŚĆ PIERWSZA**



# Rozdział 1

Aleks Wendt stał przy oknie dyżurki Oddziału Otolaryngologii Szpitala Miejskiego w Warszawie i patrzył na sunące po szybie krople deszczu. Nie cierpiał listopada. Pewnie mógłby go jakoś przeżyć, leżąc na leżaku w jakimś ciepłym kraju, ale tu, w Polsce, listopad był po prostu nie do zniesienia.

– I jak tu nie dostać deprechy? – mruknął trochę do siebie, a trochę do współtowarzysza dyżuru, Wojtka Sawickiego, jowialnego grubasa o rumianych policzkach i nieco staromodnym wąsiku, upodabniającym go bardziej do przedwojennego golibrody niż do specjalisty laryngologa. Był najzdolniejszym studentem na roku, a teraz jednym z najbardziej lubianych i cenionych lekarzy w szpitalu. Lubili go pacjenci, bo potrafił dodać otuchy, lubili i cenili koledzy, bo chętnie służył radą i pomocą. Nie miał wrogów, nawet doktor Pawlak, etatowa szpitalna szuja, nie kopał pod nim dołków. Nie do wiary.

Aleks lubił dyżurować z Sawickim. Co prawda, uważał, że w pracy nie można znaleźć prawdziwego przyjaciela – za dużo sprzecznych interesów i środowiskowych przepychanek – ale Wojtek nie był typem karierowicza, nie był „środowiskowy”. Żył sobie poza układami. Uwielbiał gadać o polityce

i słuchać rocka. Był dobrym lekarzem, ale medycyna kończyła się dla niego po wyjściu z pracy. Oczywiście starał się być na bieżąco, czytał dużo fachowej literatury, ale nie należał do pracoholików, a przynajmniej starał się zachować dystans.

– Deprechy to można dostać, patrząc na tych kretynów w sejmie – westchnął Sawicki, nie odrywając wzroku od telewizora, w którym reporterka wieczornych wiadomości indagowała znanego polityka.

– Niewłaściwa diagnoza, panie doktorze, to grozi raczej nerwicą. – Aleks nie miał ochoty słuchać niekończącej się tyrady kolegi na temat przywar rządzącej koalicji. Odwrócił się od okna i podszedł do stolika, na którym stał elektryczny czajnik i kilka filiżanek.

– Chcesz kawę? – zapytał.

– Nie, dzięki, piłem już dwie, poczekam do kolacji.

W tym momencie ostro zabrzączał dzwonek interkomu.

– Co tam? – Sawicki nie musiał wstawać ze swojego ulubionego fotela, żeby nacisnąć guzik odbioru.

Z głośnika dobiegł zniekształcony głos dyżurnej pielęgniarki, Anki Stec:

– Ciało obce w zabiegowym.

– Samo przyszło? – Pytanie nie było złośliwe, ale Sawicki nie lubił żargonowych określeń. Nie należał do językowych pedantów, po prostu dbał o słownictwo, a koleżanki lekarki chętnie podkreślały, że jest Jedynym przedstawicielem dyscyplin zabiegowych, który nie przeklina przy kobietach”.

– Oj, doktorze, niech doktor nie robi sobie żartów. – Anka była trochę skonfundowana tym, że dała się złapać na błędzie. – Dziecko z ciałem obcym, pięć lat, chłopiec – referowała już jak należy.

– Dobra, moment – odparł Sawicki i zwrócił się do Aleksa:

– Rzucisz okiem?

Tak naprawdę nie musiał pytać. To Wendt był dzisiaj pierwszym dyżurnym i to on odpowiadał za przyjęcia w zabiegowym. Było ich dwóch dlatego, że na oddziałach zabiegowych zawsze musi dyżurować zespół, który w razie czego będzie mógł przeprowadzić operację.

– Jasne – odrzekł Aleks. – Zalej mi kawę, jak się woda zagotuje.

– A może Shakira ci zaleje? Wypij z nią kawę w zabiegowym, będzie miała co wspominać do Bożego Narodzenia. – Na pyzatej twarzy Sawickiego zagościł przewrotny uśmiešek.

– A może bym ci ją tak na łeb wylał? Co ty na to? – odciął się Aleks jak zwykle, gdy ktoś wygadywał takie rzeczy.

Shakira to był „służbowy” pseudonim Anki Stec. Nikt nie mówił o niej inaczej, choć podobieństwo do słynnej wokalistki nie było szczególnie uderzające. Właściwie poza burzą niesfornych blond loków nie widać było żadnych wspólnych punktów, ale nikomu to nie przeszkadzało, po prostu przezwisko przyłgnęło do niej, i już. Poza tym Anka była ładną dziewczyną, więc nikt nie protestował, a najmniej sama zainteresowana.

Kochała się w Aleksie na zabój. Wiedział o tym cały oddział, a dla męskiej jego części był to dyżurny temat żartów, chociaż wszyscy starali się, jak mogli, żeby nie sprawić dziewczynie przykrości jakąś niestosowną uwagą.

Jeżeli jednak komukolwiek te żarty sprawiały przykrość, to tylko Aleksowi, choć nigdy tego nie okazywał. Nie mógł pozbierać się po rozwodzie, i mimo że minęły już prawie trzy

lata, to nigdy tak do końca nie pogodził się z tym, że już nie ma rodziny. Nie tęsknił za Ewą, miał bardzo dobry kontakt z córką Marysią, ukochaną jedynaczką, ale nie mógł się przyzwyczaić do mieszkania w pojedynkę, do samotnych wieczorów z książką, i w ogóle nie wyobrażał sobie, że mógłby zacząć wszystko od nowa z inną kobietą, z inną rodziną. Dziwne, ma dopiero trzydzieści sześć lat, powinno być łatwo. A nie jest.

Chłopcy mieli naprawdę dobre zamiary. To taka terapia grupowa, jak tłumaczyli: jeżeli grupa coś intensywnie włącza jednostce do głowy, jednostka w końcu przyjmuje to do wiadomości i zaczyna wierzyć. W tym przypadku jednostka miała uwierzyć, że życie po rozwodzie jest w porządku. A nie było. Wszyscy wyobrażali sobie, że Aleks znajdzie ukojenie w ramionach Anki, ale cóż... Anka była dobrą dziewczyną, uczynną i miłą. I na tym dla Aleksa lista jej zalet się kończyła.

Odrzucił się szybko, żeby Sawicki nie zauważył smutku w jego oczach. Nie był to dzień wysłuchiwanie żarcików i dobrych rad. Zresztą w taki beznadziejny listopadowy wieczór nie ma śmiesznych żartów i dobrych rad. Wszystkie są mniej lub bardziej do bani.

Nie odezwał się więc i energicznym krokiem wyszedł na korytarz.



W gabinecie zabiegowym czekała młoda zadbana kobieta, ubrana w mokry szary płaszcz. W rękę ścisnęła wełnianą czapkę. Nie wyglądała na przestraszoną, była raczej zdeorientowana, jak każdy, kto nieoczekiwanie znajdzie się w szpitalu. To zawsze widać – człowiek wygląda wtedy trochę

tak, jakby przybył z innego wymiaru, nie jest zwyczajnie zdenerwowany, jest zagubiony i niepewny. Całkowicie zdaje się na lekarza – przynajmniej na początku.

– Dzień dobry. Co się stało? – zapytał Aleks spokojnym, ciepłym głosem.

Kobieta podała mu skierowanie z pogotowia ratunkowego i szarą kopertę ze zdjęciem rentgenowskim. Na skierowaniu była krótka adnotacja: *Corpus alienum oesophagi* – „ciało obce w przełyku” – pieczętka lekarza i mały hieroglificzny podpis.

– Zakrztusił się podczas jedzenia, panie doktorze, a później ciągle powtarzał, że go boli – wyjaśniła kobieta i wskazała siedzącego na kozetce chłopca. Malec, wyglądający na mniej więcej pięć lat, wtulał się w płaszcz matki. Zerkał na boki i sprawiał wrażenie raczej zainteresowanego niecodziennym otoczeniem niż przestraszonego.

Aleks pochylił się i pogłaskał go po głowie.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Piotruś – odparło dziecko rezolutnie.

– A przypadkiem nie Piotr? – Aleks wiedział, że warto zdobyć zaufanie dziecka i teraz jest na to najlepszy moment.

– Nie, Piotruś – padła zdecydowana odpowiedź.

– No dobrze, to powiedz mi, Piotrusiu, kim zostaniesz, gdy będziesz duży?

– Już jestem duży – powiedział szkrab bez wahania.

To praktycznie kończyło rozmowę; malec dał do zrozumienia, że nie da się nabrać na tanie zagrywki.

Aleks lubił leczyć dzieci, choć poza dyżurami i przychodnią specjalistyczną dwa razy w tygodniu rzadko miewał

z nimi kontakt. Zaraz po stażu, który odbył częściowo na oddziale dziecięcym, na stałe zadomowił się na oddziale męskim, który mógł tak naprawdę nosić nazwę onkologicznego, bo był w przeważającej i przerażającej większości miejscem leczenia przypadków nowotworowych. Dlatego leczenie dzieci było dla Aleksa odskocznią od ponurych aspektów „dorosłej” medycyny.

Wziął z rąk matki kopertę, wyjął z niej zdjęcie rentgenowskie i ustawił pod światło.

Na tle normalnie zarysowanego przełyku widniała niewielka biaława plamka o nieregularnym kształcie. Dość typowe zacinienie wskazywało prawdopodobnie na kość obłepioną resztkami jedzenia.

– Co to było, kurczak? – spytał Aleks, odwracając się do matki.

– Tak, ugotowałam supkę jarzynową, panie doktorze, zostawiłam trochę kurczaczka, musiałam jakiejś kostki nie zauważyć – tłumaczyła się kobieta. Gdy dzieciom dzieje się coś złego, czasem przez zupełny przypadek, matki często obwiniają siebie. Aleks widział to wiele razy. Nie obwiniały się tylko te, które naprawdę miały coś na sumieniu.

– To się zdarza – uspokoił ją. – Nawet pani nie wie, co dzieciaki potrafią połknąć – dodał z uśmiechem. – Dorosły by nie mógł, a dziecko jak najbardziej.

Kobieta uśmiechnęła się lekko, ale w oczach miała łzy.

– Proszę się nie martwić, usuniemy to – zapewnił ją Aleks.

– Panie doktorze, czy to... konieczne?

– Niestety, tak. Kość zaklinowała się w przełyku i sama się nie rozpuści. Jeżeli ją zostawimy, zacznie się rozkładać i wywoła proces zapalny w swoim otoczeniu, a jeszcze, nie

daj Boże, jakimś ostrym kanciakiem spowoduje skaleczenie i będzie kłopot. Koniecznie trzeba ją usunąć, ale nie ma się czym niepokoić, zabieg jest banalnie prosty, potrwa zaledwie kilka minut.

Aleks wiedział, że jeżeli dokładnie wytłumaczy kobiecie sytuację, strach nie minie, ale stanie się racjonalny. I o to chodzi. To nie tylko kwestia ludzkiego podejścia do pacjenta – potrzebował jej pisemnej zgody na zabieg.

– Będzie go bolało?

– Nie, spokojnie, to jest zabieg w znieczuleniu ogólnym, Piotruś niczego nie poczuje.

Kobiecie wyraźnie ulżyło. Puściła rękę synka, wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i otarła łzy.

– No, przyjacielu, pora się zdrzemnąć – Aleks zwrócił się wesoło do chłopca.

– Nie jestem śpiący. – Trzeba przyznać, że młodzian należał do konkretnych i dzielnych zawodników. Jego mama była o wiele bardziej przerażona niż on, choć to przecież jemu miano za chwilę włożyć do gardła kilkudziesięciocentymetrową rurkę. – Leżakowałem w przedszkolu. No i nie oglądałem jeszcze dobranocki. A zawsze oglądałem.

– No, na to akurat możemy coś poradzić. A tak naprawdę to jest taka zamiana.

– Jaka zamiana? – zaciekawiał się chłopczyk.

– No właśnie, zamiana – ciągnął Aleks. – Teraz trochę pośpisz, za to po powrocie do domu spanie będzie zaliczone i będziesz mógł przez cały wieczór oglądać bajki.

Ta perspektywa zdecydowanie bardziej ucieszyła mamę.

– To znaczy, że będziemy mogli potem wrócić do domu? – zapytała.

– Tak. Poczekacie jakiś czas w pokoju obserwacyjnym, ale nie ma podstaw do zatrzymywania dziecka w szpitalu.

Matka wyraźnie się odprężyła.

Trzeba zabierać się do roboty. Aleks ruszył do drzwi, żeby wydać dyspozycje pielęgniarkom, ale coś sobie przypomniał i się odwrócił.

– Aha, będzie potrzebny pani podpis, zgoda na zabieg.

– Oczywiście, panie doktorze.

– Dziękuję. Siostra Ania się państwem zajmie, do zobaczenia.

Aleks wyszedł na korytarz.

– Pani Aniu, ezofagoscopia. Proszę wszystko przygotować i zadzwonić po anestezjologa, jestem u siebie – rzucił do wychylającej się z dyżurki pielęgniarki.

– Dobrze, doktorze, robi się. – Dziewczyna posłała mu uroczy uśmiech.

Aleks odwrócił się i wolnym krokiem poszedł w stronę pokoju lekarskiego, zastanawiając się, dlaczego pielęgniarki tak go lubią.

Teraz pora na kawę. O kolacji można chwilowo zapomnieć, ale tym zbytnio się nie przejmował. Nie cierpiał szpitalnego żarcia.



– No i co tam? – Sawicki nadal siedział, a właściwie pólleżał w fotelu. Kawa czekała na stoliku, jeszcze gorąca, a na ekranie telewizora rozmowy o polityce zastąpiły kolejne rozmowy o polityce. Wojtek nie wyglądał na zbytnio zainteresowanego. Podobnie zresztą jak sytuacją w gabinecie zabiegowym. Pytanie było raczej zwyczajowe.



– Ezofagoskopia – odrzekł Aleks. – Wiesz może, kto dzisiaj znieczula? – W zależności od anestezjologa można było określić, czy zabieg zostanie przeprowadzony za dwadzieścia minut, czy za półtorej godziny. Niektórzy koledzy z Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej przychodzili od razu, gdy zostali wezwani na blok operacyjny, inni spokojnie kończyli kawę, obiad albo pogawędkę z kolegami, oczywiście jeżeli nie chodziło o ratowanie życia.

– Chyba Zadymka. Widziałem go rano na parkingu – mruknął niewyraźnie Sawicki, bo chyba przysnął w fotelu.

Robert „Zadymka” Kujawiak dumnie nosił swój przydomek. Nie mogło być inaczej, bo od kilku lat był regionalnym przewodniczącym Związku Zawodowego Lekarzy i wstawił się twardymi, a często agresywnymi negocjacjami z przedstawicielami administracji rządowej w sprawie podwyżek płac w służbie zdrowia. Mówiono, że gdyby to od niego zależało, lekarze strajkowaliby trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. A i niejeden już minister zdrowia zostałby pewnie zesłany do kamieniołomów z wieloletnim wyrokiem. Wizerunek związkowego twardziela nie zjednywał Kujawiakowi przyjaciół, ale każdy, kto go znał, wiedział, że jest doskonałym anestezjologiem. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Nie kazał na siebie długo czekać i już po niespełna pół godzinie w dyżurce dał się słyszeć jego tubalny baryton:

– Halo, halo, jest tam kto?!

Dyżurka na laryngologii była urządzona w dość specyficzny sposób. Otóż wchodzący nie widział, co dzieje się w pokoju. Drzwi od reszty pomieszczenia odgradzała ustawiona w poprzek szafa na ubrania. Najpierw trzeba było przejść wzdłuż niej i dopiero potem widać było, kto jest w pokoju i co robi. Wygodne.

– Są dwie cyncate blondynki. A kto pyta? – rzucił Sawicki.

– Nelson Mandela, oczywiście. – Zza szafy wyłoniła się nienaganna sportowa sylwetka anestezjologa. Uścisnęli sobie dłonie. – Lecę na operacyjną, wpadłem się tylko przywitać. Co słyhać u panów doktorów? Gabineciki prywatne prosperują? – Laryngolodzy wiedzieli, że to żart z podtekstem. Krążyły legendy o tym, ile zarabiają ginekolodzy na nielegalnych skrobankach i laryngolodzy na prywatnym leczeniu drobnych schorzeń migdałków u bogatych starszych pań.

– Bida z nędzą. Trzeba się nieźle namordować, żeby marne sto tysięcy miesięcznie wyciągnąć – odparował beczelnie Aleks.

– Dobra, panowie, do roboty, bo wieczorem jest *Lot nad kukulczym gniazdem* na Dwójce. Uwielbiam ten film.

– Widziałem z osiem razy. Dobra, zaraz się zbieramy. – Sawicki wstał ciężko z fotela i zaczął szukać czegoś w szafce z dokumentami. Kujawiak wyszedł znieczulać.



Gdy Aleks i Wojtek weszli na blok operacyjny, chłopiec już spał. Był przy nim Kujawiak, który regulował urządzenia nadzorujące ciśnienie i inne parametry gazu i obserwował pojawiające się na zielonych ekranach cyferki sygnalizujące prawidłowość funkcji życiowych znieczulanego pacjenta.

Ewa Melcer, dyżurna instrumentariuszka, ubrana w zieloną bluzę i spodnie, w rękawiczkach, czepku i z maską na twarzy, stała przy stoliku narzędziowym, sprawdzając po raz nie wiadomo który idealne ułożenie sterylne zestawu do ezofagoskopii.

Aleks podszedł do stołu i zajął miejsce za głową dziecka. Sawicki stanął po jego prawej stronie, nieco z tyłu, żeby nie

przeszkadzać instrumentariuszce w podawaniu narzędzi. Nie-wielkiego rozmiaru rurka ezofagoskopowa rozpoczęła po-wolną wędrówkę. Przelyk pięcioletniego dziecka jest wąski i wprowadzenie do niego nawet bardzo cienkiej rurki jest nie lada sztuką. Żeby cokolwiek zobaczyć, należy go rozszerzyć, ale niezbyt mocno, unikając przy tym jakichkolwiek gwał-towniejszych ruchów, które mogłyby doprowadzić do roze-rwania sprężystej, ale bardzo delikatnej ściany narządu. Aleks przesuwiał rurkę powoli i ostrożnie. Przeprowadził ją przez gardło, później pokonał lekki opór u wejścia do przelyku. Jeszcze trochę, jeszcze kawałek... Aleks pamiętał mniej więcej położenie ciała obcego, które widział na zdjęciu. Jeszcze parę milimetrów... wreszcie jego oczom ukazała się przeszkoda. Praktycznie całe światło przelyku zajmował niepogryziony kawałek mięsa, nieznacznie połyskujący, ustawiony w po-przek. Nie był duży, problem stanowiło raczej jego położenie. W środku znajdowała się prawdopodobnie kostka, która oparła się o boczne ścianki, co uniemożliwiło jej połknięcie. Od dołu prześwitywał, jakby przyklejony do głównej masy, spory ka-wałek marchewki. Aleks uznał, że wystarczy obrócić kostkę o dziewięćdziesiąt stopni, ustawić wzdłuż przelyku, a będzie dobrze widoczna i łatwa do wyciągnięcia.

– Sztanca – rzucił, nie odrywając wzroku od wążutkie-go, ledwo widocznego pola operacyjnego.

Wyciągnął prawą rękę do instrumentariuszki. Po sekun-dzie o wnętrze jego dłoni uderzyły długie szczypczyki. Ostrożnie wprowadził je w światło ezofagoskopu. Była to czynność na pograniczu ekwilibrystyki, bo widoczność, na-wet w zupełnie pustej rurze, była prawie zerowa. Sztanca ze szczypcami wędrowała w dół, wiedziona bardziej wyczuciem Aleksa niż jego wzrokiem. Zacisnął uchwyt podobny do oczek małych nożyczek. Niczego nie chwycił. Jeszcze raz.

Tym razem poczuł opór. Udało się uchwycić brzeg kostki oblepionej mięsem.

– Mam tę dziwkę – mruknął.

– Dawaj, powoli... – Sawicki zaglądał mu przez ramię. Niczego nie widział, ale był blisko, gotów w razie czego przytrzymać któreś z narzędzi.

Wydawało się jednak, że Aleks pewnie chwycił „zawali-drogę”. Powoli zaczął przesuwac trzymaną w szczypcach kostkę w górę przelyku. Pomalutku, starając się nie dopuścić do minimalnego nawet odchylenia na boki, milimetr po milimetrze wyciągał kostkę. Już prawie... już właściwie była na zewnątrz...

I wtedy stało się!

Aleks przez cały czas trzymał szczypcami mięso z kostką w środku, jednak oderwał się od niego kawałek marchewki. Silniejsze pociągnięcie sprawiło, że się odkleił. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby marchewka pozostała w przelyku. Prawdopodobnie nie trzeba by jej było wyciągać, chłopczyk połknąłby ją po prostu po przebudzeniu. Spadła jednak w najbardziej nieodpowiednie miejsce, jakie można było sobie wyobrazić...

– Tchawica! – krzyknął Aleks. Dla wszystkich stało się jasne, że prosty zabieg zamienił się w walkę o życie.

Tego nikt się nie spodziewał.

– Spokojnie. Wyciągniesz. – Sawicki odsunął się i zamarł w oczekiwaniu. Teraz rzeczywiście spokój był chyba najcenniejszą rzeczą.

– Nie oddycha – stwierdził Kujawiak równie spokojnie, lecz stanowczo. – Masz mało czasu.

– Laryngoskop! – rzucił Aleks do instrumentariuszki. Zaczął się pocić. Na jego fartuchu pod pachami pojawiły się ciemne plamy.

Rura ezofagoskopowa była już na zewnątrz, zupełnie nieprzydatna. Aleks w prawej ręce trzymał szczypce, a lewą chwycił laryngoskop i podważył język.

– Gdzie ona jest? – mamrotał zdenerwowany. – Gdzie jest, kurwa, ta jebana marchewka?! – Czas mijał nieubłaganie. Dziecku zostały już tylko sekundy życia.

– Reanimacja! – zarządził Kujawiak i rzucił się, by rozpocząć masaż serca. Zawadził przy tym nogą o stółek stojący przy aparaturze, który zwykle służył anestezjologowi do siedzenia podczas długich zabiegów. Kujawiak kopnął go tak mocno, że stolik uderzył w stojącą w rogu szafkę z lekami. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, stał zadzwoniła o kafelki. To wszystko jakby wyrwało Sawickiego z odrętwienia. W jego rękę nie wiadomo skąd pojawił się skalpel.

– Tracheotomia! Aleks, puść mnie, nacinam!

Nacięcie tchawicy poniżej miejsca zatkania dałoby możliwość wprowadzenia powietrza do układu oddechowego.

– Poczekaj, kurwa, nie wiesz, jak głęboko spadło – powiedział Aleks. I to był właśnie problem. Tracheotomia, nie dość, że karkołomna w tych warunkach, nie dawała gwarancji powodzenia. – Daj mi kilka sekund.

– Tracimy go. – Szybkość ruchów Kujawiaka kontrastowała z jego spokojnym głosem. Aleks wiedział, że jest to spokój pozorny, ale wiedział również, że na sali operacyjnej nie ma nic gorszego niż spanikowany anestezjolog. Robert to doskonały fachowiec.

Aleks wprowadził szczypce przez krtań do tchawicy. Minęło może pięć, może siedem sekund, ale wydawało mu się, że trwa to całe godziny, jakby poruszał się w zwolnionym tempie.

– Mam! – sapnął w końcu i ułamek sekundy później cały kawałek marchewki, jakby wystrzelony z procy, wyleciał z buzi dziecka. Kujawiak, nie czekając ani chwili, natychmiast zaczął wentylować małego pacjenta.

– Udało się. Mamy go – powiedział po chwili.

Ewa Melcer, blada jak ściana, klapnęła na stołek i odechnęła głęboko. Sawicki starł tylko z czoła kropelki potu. Przez cały czas ścisnął w rękę skalpel, jakby szykował się do zadania ciosu. Kujawiak nadal regulował coś na urządzeniach monitorujących.

Nikt nic nie mówił.

Aleksowi kręciło się w głowie. Musiał wyjść. Jak najszybciej. Jak najdalej.

Otworzył drzwi i wypadł na korytarz. Podszedł do ściany, chcąc się o nią oprzeć, i wtedy zauważył matkę chłopca. Zupełnie o niej zapomniał. Szła w jego stronę. W oczach miała nadzieję – Aleks tak często widział ją w oczach ludzi, których bliscy byli operowani. Oni po prostu nie dopuszczali do siebie myśli, że mogą usłyszeć złe wiadomości.

W ułamku sekundy przez jego głowę przewinęła się najpierw cała operacja, a później pojawiła się nieokreślona, ale niemal fizycznie bolesna świadomość, że jeszcze kilka sekund i trzeba byłoby kobiecie, która zaledwie parę godzin temu bawiła się ze swoim dzieckiem, a potem przywiozła je na banalny zabieg, wytłumaczyć, że stała się najstraszliwsza rzecz, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Aleks ogromnym wysiłkiem woli zmusił się do przywołania na twarz grymasu, który, miał nadzieję, choć trochę przypomina uśmiech.

– W porządku. Już po wszystkim – zdołał wykrztusić.

Na twarzy kobiety odmalowała się ulga, ale on nie był w stanie z nią rozmawiać.

Odwrócił się i pobiegł do dyżurki.

Zatrzasnął za sobą drzwi, pochylił się nad umywalką i wymiotował.

Puścił wodę, podniósł głowę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Jego twarz była trupio blada.

– O kurwa – zaklął cicho.

## Rozdział 2

Ciszę zimowego poranka rozdarł pisk budzika.

Aleks niechętnie otworzył oczy i po omacku rozpoczął poszukiwanie źródła tego upiornego dźwięku. W końcu nakrył ręką telefon komórkowy i po kilku nieudanych próbach udało mu się nacisnąć odpowiedni klawisz. Wziął aparat do ręki i spojrzał na wyświetlacz: szósta trzydzieści. Wstał i podszedł do okna. Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno i prószył drobny śnieg. Termometr wskazywał zero. Koszmar. Powoli poczłapał do łazienki.

Golenie, szybki prysznic i po dwudziestu minutach zbiegał w dresie z drugiego piętra, gotowy do porannego joggingu.

Nie cierpiał biegać. Właściwie gdyby ktoś go zapytał, dlaczego codziennie z regularnością szwajcarskiego zegarka rozpoczyna poranny trucht, katując się w ten sposób zawsze przez dokładnie dwadzieścia pięć minut, nie mógłby udzielić logicznej odpowiedzi. Nigdy nie miał problemów z nadwagą, był zdrow jak ryba i nie dbał o sylwetkę czy stan zdrowia. Wmawiał sobie jednak, że tak należy, że tak jest zdrowo. Łapał się w potrzask przekonania, które sam sobie narzucał.

Całe jego życie było udowadnianiem, że potrafi. Komu? Z tym to różnie bywało. Na początku na pewno rodzicom, a najbardziej chyba ojcu.



Aleks pochodził z tak zwanej dobrej rodziny. Oczywiście lekarskiej. Nikt właściwie nie wie, dlaczego dzieci lekarzy najczęściej zostają lekarzami, ale tak po prostu jest i chyba zawsze będzie. Aleks nie odbiegał od stereotypu, chociaż nigdy nie był chłopakiem stereotypowym. W liceum pisał; wiersze i sztuki dla amatorskiego teatru, kochał muzykę, grał zresztą prawie na wszystkim, co wziął do ręki, mimo że jego edukacja muzyczna ograniczyła się do kilku lat prywatnych lekcji gry na fortepianie. Potem, już na studiach, śpiewał w zespole rockowym o zabójczej nazwie Medipower, zresztą bardzo lubianym i popularnym w kręgach uczelnianych. Słowem, zawsze starał się wyróżniać z tłumu. Po maturze myślał o prawie, a może o szkole aktorskiej, a jednak skończył na medycynie. Dlaczego? Może dlatego, że chciał pokazać, iż potrafi? Ale komu? Ojcu czy sobie?

Było piętnastu kandydatów na jedno miejsce, a on dostał się oczywiście za pierwszym podejściem. Kiedy był starszy, też szukał wyzwań. Coraz mniej obchodziły go opinie innych, coraz częściej musiał udowadniać sam sobie, że potrafi, że wygra, że znów będzie najlepszy. Starał się nie okazywać słabości, prawie zawsze uśmiechnięty, sprawiał wrażenie człowieka, któremu wszystko się udaje.

Z małżeństwem było tak samo. Ewę poznał na studiach, w dyskotece, podczas jednego z wariackich wieczorów, jakie urządzali z kumplami z roku. Najpierw była tak zwana premedykacja, termin jak najbardziej fachowy, oznaczający wstępne znieczulenie – pili przez dwie, trzy godziny w domu albo w pubie, po czym rozpoczynali rajd po knajpach i zawody, kto wyrwie najfajniejszą dziewczynę. Aleks mieszkał jeszcze wtedy z rodzicami i czasem wracał do domu nad

ranem, a czasem wcale. Szedł prosto na zajęcia, przysypiając później gdzieś w kącie.

Ewkę na początku potraktował jak zadanie. Była śliczna, wysoka, smukła. Stała oparta o bar, zamyślona, nieprzystępna, popijała colę i patrzyła na tańczących ludzi. Koledzy nie wierzyli, że mu się uda, specjalnie go podpuszczali, wiedział o tym, takie były zasady. Później wiele razy wspominali z Ewą tamten wieczór. Pamiętał pierwsze słowa, które wypowiedział, kiedy do niej podszedł.

– Jeżeli rozglądasz się za przystojniejszymi facetami, to tutaj takich nie ma. Sprawdziłem.

Roześmiała się. Wygrał. Zawsze wygrywał. No, prawie zawsze.

Pół roku później byli małżeństwem.

Właściwie diabli wiedzą, dlaczego ich związek się rozpadł. Mieli wszystko, czego potrzebują do szczęścia młodzi ludzie.

On – młody ambitny lekarz, ona – świeżo upieczona zdolna prawniczka. Chciałoby się powiedzieć: piękni, mądrzy i bogaci. Bogaci co prawda nie byli, ale wtedy zbytnio się tym nie przejmowali – na wszystko, co ważne, wystarczało.

Miłość. Może na nią właśnie zabrakło czasu?

Problemy zaczęły się po przyjściu na świat Marysi. Była wspaniałym dzieckiem, nigdy nie chorowała, nie płakała po nocach, rozwijała się idealnie. Aleks kochał ją nad życie, ale chyba nigdy nie potrafił tak naprawdę odnaleźć się w roli ojca, choć bardzo chciał. Ale od początku toczyła się w jego podświadomości jakaś dziwna walka o względy Ewy. Nie chciał, żeby tak było, nigdy się do tego nie przyznał, nawet przed sobą, jednak nie potrafił być na drugim planie. Nawet we własnej rodzinie. Może dlatego, że był jedynakiem? Denerwowało go, że Ewa nie chciała się kochać wtedy, kiedy on

chciał. Zmęczona nieprzespanymi nocami – bo mała miała apetyt – zrobiła się drażliwa. Godzinami gadała z koleżankami o pieluchach i kupkach. Po roku chciała iść do pracy. To też Aleksa denerwowało. Uważał, że Ewa powinna dłużej opiekować się córką. Aż wreszcie... sam nie wiedział, czego chce.

Wytrzymali ze sobą trzy lata. Rozwód przebiegł spokojnie. Kulturalnie. Przecież oboje pochodzili z dobrych rodzin.



Dwadzieścia pięć minut minęło i zdyszany Aleks wbiegł na schody. Otworzył drzwi, zrzucił dres, znów krótki prysznic, i wreszcie poranna kawa. Uwielbiał ten moment. Zaczął się kolejny dzień.

Za dwadzieścia ósma wsiadł do swojego peugeota 307CC. Nie miał daleko do pracy. Zaraz po rozwodzie wynajął mieszkanie zaledwie parę ulic od szpitala, jakby zdecydował, że od tego momentu to praca będzie wypełniać jego życie.

Punktualnie o ósmej, przebrany w zielony operacyjny uniform i narzucony na niego świeży biały fartuch, wkroczył energicznie do sali przyjęć, gotowy do porannej odprawy.



– Witam państwa, poproszę o raport z dyżuru. – Docent Malak, ordynator laryngologii w Miejskim, od lat zawsze zaczynał odprawę tymi samymi słowami.

Aleks co dzień łapał się na identycznym skojarzeniu: Malak wydawał mu się robotem powtarzającym zaprogramowaną frazę. Odliczał zawsze czas od momentu zamknięcia drzwi do chwili, kiedy padnie magiczna formuła. Taka

zabawa. Wynik pomiędzy piętnastoma a dwudziestoma sekundami zapowiadał dobry dzień, powyżej – kłopoty. Dzisiaj było osiemnaście. Nieźle.

Krzysiek Olko, pierwszy dyżurny z ostatniej nocy, rozpoczął składanie raportu. Nikt go oczywiście nie słuchał, niektórzy jeszcze nie do końca się obudzili, ale Docent przestrzegał niepisanych zasad – raport to była świętość, absolutnie nieodzowny początek dnia.

Ordynator oddziału musi wzbudzać szacunek i pomimo drobnych dziwactw docent doktor habilitowany Zbigniew Malak taki szacunek wśród swoich pracowników niewątpliwie wzbudzał.

Nie był łatwym człowiekiem. Jego obsesyjna pryncypialność i maniackalne przywiązywanie wagi do porządku bywały czasem denerwujące. Potrafił zrobić karczemną awanturę z powodu bałaganu w szafce z lekami w dyżurce pielęgniarek albo pajęczyny, którą dostrzegł gdzieś w zakamarkach gabinetu zabiegowego. Absolwent Wojskowej Akademii Medycznej, co stanowiło chyba jedyną przeszkodę dla dawno już zasłużonej profesorskiej nominacji w „cywilnej” medycynie, był wojskowym nie z wykształcenia, ale z charakteru. Wszystko musiało być pod linijkę. Ale ci, którzy pracowali z nim dłużej, wiedzieli, że Docent to w gruncie rzeczy człowiek o gołęmbim sercu, a przede wszystkim szef, który za swoich podwładnych odda życie i pewnie w razie potrzeby jeszcze coś dołoży. Nie był sympatycznym facetem, ale każdy chciałby mieć kogoś takiego przy sobie w trudnym momencie. Poza tym był doskonałym lekarzem.

Powołanie to coś ulotnego, coś, o czym już na drugim roku medycyny nawet się nie wspomina, bo i po co? Są egzaminy, zaliczenia, potem praca, obowiązki, zabiegi, dyżury. Jest

szpital, przychodnia, czasem prywatny gabinet, pacjenci, choroby, przeważnie wciąż takie same. I są lekarze. Przeważnie wciąż tacy sami. Jak pacjenci i ich choroby. Powtarzalni.

A jednak wśród nich są tacy, po których na pierwszy rzut oka widać, że się do tego urodzili, i tacy, dla których to zawód jak każdy. To nie znaczy, że są gorsi, wręcz przeciwnie, czasem nawet bardziej skuteczni, lepiej radzący sobie w środowisku, nawet bardziej lubiani. Ale medycyna to ciężki kawałek chleba i bez tego właśnie nieokreślonego „czegoś”, szumnie zwanego powołaniem, człowiek po prostu bardziej się męczy. I to widać.

Docent Malak był właśnie takim lekarzem z powołania. Żył pracą, mieszkał w pracy, myślał chyba też tylko o pracy.

A przede wszystkim, co było niewytłumaczalne, miał nieprawdopodobną cierpliwość do pacjentów. Facet, który potrafił zmieszać z błotem lekarza, pielęgniarkę czy sanitariusza za drobny przejaw lenistwa lub bałaganiarstwa, drąc się na cały szpital czerwony ze złości, łagodniał jak baranek przy chorym dziecku, które mogło dosłownie wejść mu na głowę.

Każdy z pacjentów, również dorosłych, mógł o dowolnej porze dnia lub nocy przyjść, porozmawiać, zadać dowolną liczbę pytań, zająć dowolną ilość czasu, a Docent nigdy nie okazywał zniecierpliwienia. W przychodni Malak siedział zawsze do ostatniego pacjenta, nigdy nie odmówił nikomu przyjęcia, nawet z najbardziej błahego powodu. Ten facet po prostu nie miał życia prywatnego i nikt się nie dziwił, że jest najbardziej zatwardziałym starym kawalerem, jakiego można sobie wyobrazić. Po prostu nikt, nawet święty, nie wytrzymałby Pod jednym dachem z takim człowiekiem.

To nieprawda, że nikt nie słuchał porannego raportu. Malak słuchał.

– ...poza tym trzy nowe przyjęcia na oddziale dziecięcym – zdawał sprawozdanie Olko – chłopiec lat sześć i dziewczynka lat pięć, obydwójce z podgłośniowym zapaleniem krtani. Podano sterydy, zlecono inhalacje, stan dzieci jest dobry. Oprócz tego dziewczynka lat sześć do adenotomii... – referował monotonicznie. – ...nie było przyjęć na oddziale kobiecym. – Bezbarwny głos lekarza sprawiał, że myśli większości personelu krążyły wokół dzbanka kawy. – Jedna nowa osoba na oddziale męskim. Chory, lat sześćdziesiąt dziewięć, przyjęty z ewentualną kwalifikacją do zabiegu. Zmiany w zachyłku gruszkowatym.

Podeszli razem z Malakiem do starszego człowieka siedzącego w rogu sali na fotelu przeznaczonym do badania chorych i wykonywania drobnych zabiegów. To dlatego odprawy zawsze odbywały się w sali przyjęć. Ordynator oglądał wtedy wszystkich nowo przyjętych dorosłych pacjentów.

Olko nieprzypadkowo użył sformułowania „zmiany”. Wszyscy wiedzieli, że chodzi o nowotwór złośliwy, jednak nie wolno było wypowiadać przy chorych słowa „rak”. Sam fakt przyjęcia z ewentualną kwalifikacją do zabiegu operacyjnego wskazywał na oczywisty charakter ogniska chorobowego, potwierdzony mikroskopowym badaniem wycinka, które zawsze jest jedynym i ostatecznie pewnym werdyktem, precyzyjnie określającym charakter choroby.

Docent usiadł naprzeciwko chorego, wziął do ręki lusterko, wprowadził je do gardła i przez chwilę oglądał krtań i okolice w świetle lampy.

– Tak – powiedział, wstając.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza.

Ten pacjent nie ma żadnych szans.

## Rozdział 3

Czwartek był jednym z dwóch dni w tygodniu pracy na laryngologii, w którym nie odbywały się zabiegi. W poniedziałki, środy i piątki praktycznie cała ekipa operowała. Zabiegi były rozpisywane jeden po drugim w dwóch salach. Zaczynały się zaraz po odprawie, kończyły jak Bóg dał, a zdarzało się, że i późnym popołudniem. Laryngologia to wbrew pozorom dyscyplina zabiegowa, w krajach anglosaskich określana w oficjalnym nazewnictwie jako „chirurgia głowy i szyi”.

Łączy w sobie zarówno relatywnie rozległe „duże” operacje, jak choćby te w przypadkach nowotworowych – ot, zwyczajna chirurgia – po niezwykle precyzyjne rekonstrukcje w obrębie ucha realizowane pod specjalistycznymi, operacyjnymi mikroskopami. Jeżeli dodać do tego zabiegi plastyczne wykonywane na przegrodzie czy chrząstkach nosowych oraz cały zakres chirurgii dziecięcej, łatwo można znaleźć dla siebie jakiś fascynujący kawałek medycznej profesji.

Jednak operujący taśmowo lekarze na kontakt z pacjentem mieli czas tylko we wtorki i czwartki. Ale wtedy też musieli odwalić całą papierkową robotę.

Nikt tego nie lubił, ale docent Malak za brak choćby najmniej ważnego wpisu w podstawowym dokumencie szpitalnym, jakim jest historia choroby, potrafił zwymyślać lekarza przy wszystkich, na odprawie, niczym uczniaka w podstawówce.

Dlatego Aleks czwartki zwykł spędzać, podobnie jak większość kolegów, nad klawiaturą komputera. Dlatego w te dni o pogaduszkach z chorymi nie było mowy. To specjalność Sawickiego. On jakoś znajdował na to czas. A może to był jego sposób na obijanie się.

Aleks podszedł do wiszącej na ścianie tablicy, gdzie każdego dnia pojawiały się nowe przyjęcia, rozpisane według numerów sal chorych, i sprawdził, co nowego się pojawiło. Opiekował się bezpośrednio, jako lekarz prowadzący, czterema pacjentami. Dziś na tablicy zobaczył tylko jedno nowe nazwisko.

Władysław Szymański, sala numer dwadzieścia jeden. Całe szczęście, niedużo papierów.

W przegrodce pod tablicą czekała na niego czysta historia choroby. Wypełnione zostały tylko rubryki z danymi personalnymi. Było też skierowanie od lekarza rejonowego, na którym widniało rozpoznanie: *Ca pharyngis*.

*Ca*, pierwsze litery od słowa *carcinoma*, co oznacza po prostu „rak”. Dalej lokalizacja. Gardło. Tak mało słów. A to przecież wyrok śmierci.

Na drukach szpitalnych skierowań nie ma miejsca na żadne dodatkowe informacje o chorym. Nie ma miejsca na nazwisko ulubionego pisarza ani na kolor oczu. Aleks pamiętał, jak, będąc na studiach, przeżywał pierwsze tego typu rozpoznania, czytane jeszcze podczas początkowych medycznych praktyk.

To było takie przygnębiające, straszliwie bezosobowe.



Wówczas po raz pierwszy zetknął się z takim nagromadzeniem ludzkiego nieszczęścia w przeliczeniu na metr kwadratowy.

Wymyślił wtedy, że w historii choroby z rozpoznaniem nowotworowym powinno być specjalne miejsce do obowiązkowego wypełnienia, gdzie opisywałyby się najpiękniejsze chwile, jakie przeżył pacjent. Ale nigdy nie podzielił się z nikim swoim dziwnym pomysłem. I tak nie byłoby szans na wprowadzenie go w życie.

Studenci medycyny dość wcześnie mają kontakt ze śmiercią. Na pierwszych zajęciach z anatomii co słabsze psychicznie koleżanki mdlały w prosektorium. Ale powoli wszyscy przyzwyczajali się do wszechobecnego widoku ludzkich zwłok i charakterystycznego, gryzącego zapachu formaliny, w której trzymane były służące do celów naukowych preparaty narządów.

Już po pierwszym semestrze cała studencka brać bez żenady wyciągała podczas zajęć kanapki z plecaków. Przecież student, jak każdy człowiek, jeść musi. Wszystko w którymś momencie powszednie, więc i ciągły kontakt z nieboszczykami stał się w końcu czymś naturalnym, a nawet zaczęto sobie na ten temat żartować. Aleks pamiętał, jak kiedyś pewnej nielubianej koleżance razem z chłopakami z grupy włożyli do plecaka odciętą na stole preparacyjnym stopę. Bidula wracała po zajęciach do domu tramwajem. Chłopcy ustawili się w drugim końcu wagonu i z rozbawieniem zaprawionym niemałą satysfakcją obserwowali reakcję pasażerów na fakt, iż z plecaka skromnej młodej osóбки wystaje ni mniej, ni więcej, tylko prawdziwa ludzka stopa.

Dla normalnego człowieka coś takiego jest nie do pomyślenia, ale studentów medycyny trudno tak do końca nazwać normalnymi ludźmi.

Aleks wziął do ręki formularz historii choroby i nie spiesząc się, pomaszzerował do sali numer dwadzieścia jeden.

– Pan Szymański? – rzucił ni to stwierdzenie, ni to pytanie.

– To ja – padła odpowiedź i Aleks stwierdził, że widział tego pacjenta dzień wcześniej podczas porannej odprawy. Był to postawny mężczyzna o gęstych siwych włosach. Siedział wyprostowany na brzegu łóżka i patrzył na Aleksa przenikliwymi niebieskimi oczami.

– Zapraszam pana na badanie.

Pacjent wstał, Aleks przepuścił go przodem i wyszli z sali. Wprowadził go do gabinetu zabiegowego.

– Proszę siadać. – Wskazał fotel.

Chory posłusznie zajął miejsce. Był bardzo spokojny. Czekał.

– Nazywam się Aleks Wendt i będę pańskim lekarzem prowadzącym – przedstawił się Aleks.

Rozpoczął dokładny wywiad. Szymański na pytania odpowiadał krótko i precyzyjnie.

Objawy – jakie, od kiedy, przebyte choroby, dotychczasowy przebieg leczenia. Powoli zapępniały się wszystkie rubryki.

Przyszedł czas na badanie. Właściwie dzień przyjęcia to jedyny moment pobytu w szpitalu, w którym człowiek jest tak naprawdę solidnie i dokładnie badany. Wydawać by się mogło, że przecież w takim miejscu powinno się to dziać dość często, a jednak późniejsze kontakty lekarza z chorym dotyczą przeważnie już tylko oceny konkretnych, fragmentarycznych zmian danego narządu. A zdarzyło się nie raz, że chory z okulistyki, kompleksowo leczony z powodu jaskry, umierał na zawał.

Dlatego Aleks starał się nigdy nie zaniedbywać bardzo

dokładnego badania ogólnego: osłuchał pacjenta, zmierzył ciśnienie. Szczególnie osłuchiwanie było w przypadku chorych nowotworowych ogromnie ważne – przerzuty najczęściej umiejscawiają się w płucach.

W końcu przeszedł do badania specjalistycznego. Przyszła kolej na ocenę pierwotnego ogniska chorobowego. Przyszła kolej na spotkanie z rakiem.

– Proszę otworzyć usta i wysunąć język na brodę – poprosił, biorąc lusterko laryngologiczne i ogrzewając je nad płomieniem palnika, żeby nie zaparowało.

Chory wykonał polecenie.

Aleks sprawdził wierzchem dłoni temperaturę przyrządu i zdecydowanie, choć delikatnie, wprowadził lusterko do jamy ustnej, opierając je o tylną ścianę gardła.

Pacjenci często reagują na tę część badania odruchem wymiotnym, krztuszą się, co utrudnia sprawę, lecz Szymański pozostał niewzruszony. Nawet nie mrugnął.

Aleks spojrział w lusterko. Jego oczom ukazała się krtań i dolna część gardła. Praktycznie cała lewa strona była wypełniona szaro-popielatą masą nowotworową, gdzieniegdzie poprzeplataną drobnymi naczynkami krwionośnymi. Raczysko, wywodzące się najprawdopodobniej pierwotnie z zachyłku gruszkowatego, rosło powoli, pewnie bezobjawowo, przez długi czas, aż objęło w posiadanie całą lewą część gardła dolnego, chrząstki krtani położone po sąsiedzku, a także lewą strunę głosową na całej długości.

– Proszę powiedzieć „eee” – poprosił Aleks chorego.

Podczas generowania głóski lewa strona krtani miała bardzo ograniczoną ruchomość. Struny zwierzały się ledwo, ledwo. Naciek był więc raczej głęboki, objął najprawdopodobniej całą grubość narządu. Było źle. Bardzo źle. Pacjent

został przysłany, by ocenić możliwości i celowość wykonania ewentualnego zabiegu operacyjnego, ale zdaniem Aleksa po tym pobieżnym badaniu widać było, że operacja, żeby być skuteczna, musiałaby objąć praktycznie połowę szyi. A to raczej nierealne. Oczywiście z ostateczną decyzją należało poczekać na wyniki badań tomograficznych, które precyzyjnie skanowały zmiany chorobowe, szczególnie te o charakterze nowotworowym, określając ich rozległość praktycznie co do milimetra. Należało zrobić też laryngoskopię, która pozwala zajrzeć głębiej niż zwykle badanie wykonywane za pomocą lusterka, ale tak naprawdę to wszystko mogło tylko potwierdzić niewesołe rozpoznanie i rozwiązać wszelkie wątpliwości co do rokowania – jeżeli jeszcze jakieś były. Aleks przypomniał sobie minę docenta Malaka na wczorajszej odprawie. Była całkowicie adekwatna do obrazu widocznego w lusterku. Smutna.

Odłożył lusterko na stolik i wyrzucił kawałek gazy, którym przytrzymał język pacjenta.

Teraz czekało go najgorsze. Teraz trzeba coś powiedzieć. Taki jest, niestety, obowiązek lekarza. Jest tylko jeden problem: nikt jeszcze nie wymyślił co.

Napisano co prawda całe tomy na temat najróżniejszych sposobów postępowania w przypadkach chorych z nowotworami niekwalifikującymi się do leczenia operacyjnego, o beznadziejnym rokowaniu. Jedne szkoły mówiły o konieczności utrzymywania człowieka w nieświadomości, aby nie odbierać mu nadziei, nie psuć złymi wiadomościami ostatnich chwil życia. Inne wręcz przeciwnie, radziły informować o wszystkim, dając ludzkiej istocie należne jej prawo do przygotowania się na ten nieuchronny moment. Wszystkie te fachowe wypowiedzi były jednak tworzone przez ludzi, którzy

problem analizowali czysto teoretycznie, biorąc pod uwagę najróżniejsze względy i punkty widzenia. Był w tym wszystkim tylko jeden szkopuł: to nie ich, to nie piszących i analizujących dotyczył problem. To nie z nich powoli uchodziło życie, to nie oni widzieli dzień po dniu, jak ich ciało staje się coraz słabsze i słabsze, aż w końcu najwyczejniej w świecie się rozpada. Gnije za życia. I co najważniejsze: to nie ich boli.

Wszystkie te rozważania w obliczu tragedii człowieka siedzącego naprzeciwko lekarza w takim momencie były po prostu funta kłaków niewarte.

– Nie jest dobrze, panie doktorze, prawda? – odezwał się Szymański.

Aleks usłyszał te słowa, kiedy stał pochylony nad koszem na śmieci, bo podstępny gazik przykleił mu się do palców. Wreszcie gazik wylądował w koszu. Aleks się wyprostował.

To właściwie nie było pytanie. Chory patrzył na niego spokojnymi, cierpliwymi oczami. Skąd się w nim bierze taki spokój? – zastanawiał się Aleks. W spojrzeniu Szymańskiego nie było strachu, nie było niepewności, którą widział zawsze, nawet w przypadkach łagodnych rozpoznań. Ten człowiek miał w sobie więcej pewności i spokoju niż ktoś cierpiący na zwykłą anginę. Aleksa przeszedł dreszcz. Odnosił wrażenie, że Szymański ma nad nim jakąś niewytłumaczalną władzę.

– Nie, proszę nie przesadzać, trzeba poczekać na wyniki badań dodatkowych, bez nich trudno cokolwiek jednoznacznie stwierdzić. – Aleks starał się odpowiedzieć w sposób jak najbardziej wymijający, choć miał dziwną pewność, że ten człowiek wszystko wie. Mimo to nie chciał zbyt wcześnie powiedzieć zbyt wiele.

– Panie doktorze... – Szymański po raz pierwszy się

uśmiechnął. Nie był to jednak wesoły uśmiech. Był raczej gorzki, ale z drugiej strony... Aleks przez chwilę szukał właściwego określenia: dystygowany. – To miłe z pańskiej strony, że stara się pan poprawić mi nastrój – mówił cichym, lecz pewnym głosem – ale proszę, niech się pan nie wysila. Ja dobrze wiem, co mnie czeka...

– Ależ nie może pan mówić w ten sposób. – Aleks sam sobie nie wydawał się zbyt przekonujący. Spokój tego człowieka, ta dziwna pewność w jego głosie sprawiały, że standardowe lekarskie formułki wydawały się banalne i nie na miejscu.

– Kto jak kto, ale chyba właśnie ja mogę, a nawet powinienem mówić w ten sposób, przecież to moje życie powoli dobiega końca. – Wciąż ten sam niewzruszony spokój. Aleks był pod wrażeniem. Tacy pacjenci nie zdarzali się często. – Widzi pan, doktorze – ciągnął Szymański – nie jestem co prawda lekarzem, a zaledwie psychologiem, ale to wystarczy, żeby z waszego lekarskiego zachowania wywnioskować wszystko, co trzeba. Jest pan już piątym specjalistą, który mnie bada. To śmieszne, ale macie po tym zawsze dokładnie taką samą minę. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Niezbyt mądrą, prawda? – zapytał Aleks szczerze. Udawanie w przypadku tego człowieka nie miało większego sensu.

– Fakt, niezbyt mądrą. Jesteście przestraszeni. Czego się boicie? Przecież to nie wy umieracie. Mam wrażenie, że według was mówienie choremu, iż jest śmiertelnie chory, to jakby nawiązanie z nim zbyt intymnej więzi. Tego się boicie, a właściwie wstydzicie: nie chcecie być zbyt blisko. Bo to niewygodne. – Szymański zamilkł na chwilę, jakby się nad

czymś zastanawiał. Aleks chciał coś odpowiedzieć, zaprotestować, ale pacjent podjął: – Też chciałem studiować medycynę. Pana nie było jeszcze na świecie, czasy były inne, ale ludzie umierali tak jak teraz i pewnie lekarze mieli równie głupie miny, patrząc na to. Właśnie dlatego wybrałem psychologię.

– Żeby nie musieć robić głupich min?

– W dużym uproszczeniu można tak powiedzieć. – Znów krótki uśmiech i zaraz potem powaga. – Mój ojciec był lekarzem. Takim prawdziwym, przedwojennym, w wełnianej kamizelce i muszce. Wtedy zapalenie płuc to była śmiertelna choroba, gruźlica dziesiątkowała całe populacje. Pamiętam, jak przeżywał każde niepowodzenie, jak dręczyła go bezsilność. To jest w tym waszym zawodzie najstraszniejsze: bezsilność. W każdym innym fachu zawsze można coś zmienić, odwrócić, jest nadzieja, że jutro będzie lepiej. A wy często macie jednak głupie miny. – Znów ten ironiczny, a nawet nieco cyniczny uśmiech.

– A wie pan, coś w tym jest – przyznał Aleks. – To tak jak z chorymi lekarzami: żaden kolega nie chce ich leczyć, bo zawsze są problemy. W zeszłym miesiącu leżał u nas znajomy pediatra. Operowaliśmy mu przegrodę nosową. Banalny zabieg, robimy tego przecież setki. Powikłania zdarzają się raz na sto lat. Dzień po zabiegu facetowi przyplątała się róża. Ja osobiście pierwszy raz w życiu widziałem tę chorobę. Chłop dostał czterdziestostopniowej gorączki, twarz mu spuchła tak, że nie można go było poznać, o mało się nie przejechał. A wcześniej kolega, który go operował, mył się pół godziny dłużej przed zabiegiem i mówił, że trzeba wyjątkowo dokładnie, bo u lekarza to się zaraz infekcja jakaś przyplącze...

Aleks przerwał, bo wydało mu się niezręczne, że opowiada

banalną szpitalną historyjkę w tak trudnym dla pacjenta momencie. Ale nie, Szymański wyglądał na szczerze rozba-  
wionego.

Wyjątkowy człowiek, pomyślał Aleks.

Aleks, gdy tylko miał czas, chętnie gawędził z pacjentami. „Rozmowa z chorym to część procesu terapeutycznego”, mawiał jego dawny profesor, internista. „Medycyna to najbardziej humanistyczna z nauk, dodawał. Lekarz musi interesować się człowiekiem, a nie tylko jego chorobą”.

To była prawda, Aleks głęboko w to wierzył i zawsze zwracał uwagę na ten aspekt. Lubił większość swoich pa-  
cjentów. Tak po prostu. A oni chyba lubili jego. Ale Władysław Szymański był inny. Aleks nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, ale czuł się przy nim tak, jakby od dawna byli znajomymi. Nie było tej naturalnej bariery, jaka zawsze od-  
dziela lekarza od chorego. Istniała tylko bariera, która od-  
gradzała Szymańskiego od reszty świata.

– Mogę już wracać na salę, doktorze? – Głos pacjenta wyrwał Aleksa z zadumy.

– Tak, tak, oczywiście. Dziękuję panu – odpowiedział pospiesznie.

– To ja panu dziękuję. Miło było pana poznać, doktorze Wendt.

Szymański wolnym krokiem wyszedł z gabinetu.

Aleks jeszcze przez chwilę patrzył na drzwi. Jakoś nie spieszyło mu się do komputera. Wreszcie złożył historię choroby i wstał.

W tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły. Aleks pomyślał, że może jego nowy pacjent zapomniał go o coś zapytać. Ale nie. Zobaczył oddziałową laryngologii Krysiekę Liszkę.



– Doktorze, jest tu jeszcze pan Szymański? Proszę go na rentgen. – Ta korpulentna niewiasta zawsze nad wszystkim panowała. Nikt nie miał wątpliwości, kto tak naprawdę rządzi laryngologią. Bez niej zginęliby, pogrążeni w chaosie, jak mawiał Malak. Potrafiła nawet nakrzyczeć na lekarza, nie mówiąc o salowych, które regularnie rozstawiała po kątach.

– Nie, poszedł już na salę. Właśnie skończyłem – odrzekł Aleks.

Miał wrażenie, że w przypadku Władysława Szymańskiego to tak naprawdę dopiero początek.

## Rozdział 4

Aleks spojrział w lustro i po raz kolejny stwierdził, że węzeł jego krawata to obraz nędzy i rozpacz. Tak było zawsze, gdy postanawiał zawiązać go własnoręcznie. W dawnych czasach robił to za niego ojciec. Aleks pamiętał nawet nazwę: węzeł windsorski. Wendt senior przez lata bezskutecznie próbował nauczyć syna tych kilku następujących po sobie ruchów. Aleks skrupulatnie powtarzał czynność parę razy, a następnego dnia już nie pamiętał, co było po czym. Później umiejętność wiązania krawata w niewiadomy sposób posiadała Ewa, i o dziwo, robiła to doskonale. Ostatnimi czasy, no cóż, po prostu przestał chodzić w krawatach. I tyle.

Ale dzisiaj obowiązywał, niestety, strój wieczorowy. Dorożna służbowa impreza integracyjna zawsze była koszmarem, nie dało się jednak od niej wymigać.

Docent Malak przykładał wielką wagę do atmosfery w zespole i egzekwował wspólną pracowniczą biesiadę z równą bezwzględnością, jak poranny obchód. Budowanie atmosfery kończyło się przeważnie krańcowymi stadiami upojenia alkoholowego męskiej części towarzystwa, przy oczywistym

oburzeniu koleżanek (choć oburzały się tylko do pewnego momentu). Ale cóż, nie mogło być inaczej, trzeba było jakoś odreagować sztywniactwo panujące zazwyczaj przez pierwszą część imprezy, a dokładnie do momentu, kiedy koło północy Malak stwierdził, że „na niego już czas” i „nie będzie dłużej psuł młodzieży zabawy”. Podwładni unosili się wtedy świętym oburzeniem, że niby tak wcześnie, ależ co też pan doktor, niech pan doktor zostanie, aż do chwili, gdy obie strony uznawały rytuał za dopełniony.

Wszyscy byli potem tak zmęczeni, że jedynym sensownym wyjściem z sytuacji było po prostu się urżnąć.

Zdesperowany Aleks zdjął krawat z konwulsyjnym węzłem i zastąpił go wyszperanym w szafie bordowym krawatem zawiązanym jeszcze przez Ewę. Nie był może pierwszej świeżości, ale powinien ująć. Na wybrzydzenie nie ma czasu, tym bardziej że rozległ się natarczywy sygnał telefonu.

– Pan zamawiał taksówkę? Czeka na dole – oznajmił sztucznie słodki głos w słuchawce.

– Już schodzę – odparł Aleks pospiesznie, wkładając marynarkę.

Rzucił okiem w lustro. Jedno jest pewne: bordowy krawat w ogóle nie pasuje.



Na miejsce dotarł z kilkuminutowym opóźnieniem. Restauracja Pod Kogutem była gustownie urządzona – trochę rustykalna, choć trudno było stwierdzić, czy to rustykalność włoska, czy też rodzima. Odkąd Aleks pracował z Malakiem, imprezy zawsze odbywały się tutaj. Laryngolodzy mieli do dyspozycji osobną przestronną salę, a menu było za każdym

razem prawie identyczne, choć smaczne. Organizacją całości, zgodnie z tradycją, zajmował się każdego roku najmłodszy stażem pracownik.

Aleks pamiętał jeszcze swój debiut w tej roli. Poradził sobie nieźle, ale tak naprawdę było to bardzo proste, bo przy stuprocentowej powtarzalności można było sprawę załatwić jednym e-mailem o treści: *Prosimy to co zwykle*.

Po głębszym zastanowieniu i kilku kieliszkach Aleks co roku dochodził do wniosku, że taka impreza ma jednak swój urok: wszyscy są rozluźnieni, jacyś ładniejsi, po kilku kieliszkach służbowa hierarchia znikwała i następowało ogólne zbratanie.

Ech, co tam, w końcu to tradycja.

– O, doktor Wendt, witamy! A myślałem, że tylko kobiety traktują zegarek jako ozdobę. – Można było przewidzieć, że docent się przyczepi, lecz Aleks lubił jego poczucie humoru.

– Przepraszam pana docenta i wszystkich. Proszę o wyrozumiałość dla kawalera z odzysku, takiego, który sam musi prasować sobie koszule. – Aleks wiedział, że tylko szczerze wyznanie winy jest warunkiem uzyskania rozgrzeszenia.

– Proszę zauważyć, panie docencie, że wszystkie damy pojawiły się dziś punktualnie, a ich suknie są wyprasowane. – Dowcip doktor Meier, zastępczyni szefa, odpowiedzialnej za oddział dziecięcy, był jak zwykle jadowity.

Nie nazywaj tego swojego worka suknią, ropucho, pomyślał Aleks, uśmiechając się słodko do starszej koleżanki.

Nie cierpiał tej wrednej wojującej feministki. Reprezentowała wszystko, co raziło go u kobiet.

Może dlatego, że wcześniej owdowiała? Była co prawda doskonałym specjalistą, bez reszty oddanym karierze i bardzo cenionym, ale trudno było z nią wytrzymać. A Malak chętnie

bawił się w dolewanie oliwy do ognia. Z upodobaniem rzucał jakiś męsko-szowinistyczny tekst i miało się wrażenie, że odlicza sekundy do reakcji Macochy, jak zwykli mawiać o niej za jej plecami koledzy.

Trzeba przyznać, że w przypadku szefowej oddziału dziecięcego to określenie balansowało na granicy dobrego smaku.

Ale dobry smak był na laryngologii w Miejskim towarem reglamentowanym.

– No, to trzeba karniaczka! – Do akcji wkroczył Sawicki. Wziął butelkę wódki i napełnił kieliszek, jednocześnie wskazując Aleksowi miejsce obok siebie, które było jedynym wolnym przy stole. – Zapraszamy pana doktora – dorzucił szarmancko.

– Dzięki, Wojtuś, powolutku, najpierw coś przekąszę, bo się za szybko upiję – powiedział Aleks, siadając.

– A masz tu jakieś inne cele? – Cichy głos Sawickiego i lekkie mrugnięcie okiem dało mu do zrozumienia, że nie będzie osamotniony w dzisiejszym akcie poświęcenia.

– Zastanawiałem się jeszcze nad wyskoczeniem przez okno, ale chyba masz rację, z dwojga złego raczej się nawalę – odparł równie cicho.

Tak, impreza zdecydowanie się rozkręca.



Głównym daniem była doskonała pieczeń z sarny. Jej smak oraz kilka kieliszków absolutu, wypitych głównie w towarzystwie Sawickiego, mniej więcej po dwóch godzinach nieco poprawiły Aleksowi nastrój. Rozmowy dotyczyły jak zwykle tematów zawodowych. Dawno już przestał zadawać sobie pytanie, po co spotykać się poza pracą, jeżeli wciąż rozmawia się o pracy.

Po swojej lewej stronie Aleks miał Sawickiego, po prawej siedziała Bożenka Nowak.

Wendt nie przepadał za większością koleżanek ze szpitala. Uważał, że kobiety nie powinny zajmować się medycyną, a już w szczególności z daleka omijać wszelkie specjalności zabiegowe.

Nie był męskim szowinistą. Uważał po prostu, że zawód chirurga jest za ciężki dla płci pięknej, i wielokrotnie zaznaczał, że żał mu dziewczyn spędzających noce na ciężkich dyżurach, a dnię przy stołach operacyjnych.

Z koleżankami na laryngologii ciągle były jakieś problemy. Często przekładały dyżury i miały w tym oczywiste pierwszeństwo, bo przecież nikt nie odmówi zamiany nocki biednej niewieście, która nie ma z kim zostawić dziecka. Odwołujesz więc, człowieku, wypad na piwo z kumplami i pędzisz na złamanie karku. Trzeba przyznać, że większość lekarek opanowała wykorzystywanie tego aspektu do perfekcji.

Bożenka jednak była inna. Taka, można powiedzieć, „niewidzialna”. Mogła wchodzić i wychodzić bez otwierania drzwi, jak mawiał Sawicki. Chuda, wręcz eteryczna, blada, o delikatnych jasnych włosach, mówiła cienkim głosem, a po każdej uwadze skierowanej pod jej adresem oblewała się rumieńcem. Nie było chyba cichszej i spokojniejszej osoby nie tylko na laryngologii, ale też w całej historii światowej medycyny.

Aleks nie musiał zabawiać jej rozmową, nie musiał wysilać się, by, jak zwykł mawiać, „kulturalnie dotrzymywać towarzystwa”, właściwie z pełną swobodą mógłby poświęcić się omawianiu z Sawickim nowej płyty Muse, a nawet w przychylnie serdeczności wdać się z nim w dyskusję na temat

najnowszych wydarzeń politycznych, ale, niestety, trzeba było od czasu do czasu zagadać do innych.

Dokładnie naprzeciwko Aleksa siedziała Eleonora Wabik, zasłużona dla oddziału lekarka specjalizująca się w wykonywaniu mikroskopowych badań histopatologicznych, które doświadczenie zawodowe było ogromnie cenne dla przebiegu codziennej diagnostyki, szczególnie w zakresie chorób nowotworowych. Doktor Wabik, mimo że już od kilku lat na emeryturze, cały czas aktywnie wspierała kolegów i nikt nie wyobrażał sobie dorocznego spotkania bez jej obecności. Miała siwo-niebieskie natapirowane włosy, nosiła garsonki bez fasonu i pachniała perfumami Soir de Paris, który to zapach zawsze kojarzył się Aleksowi z jego babcią.

Pod względem towarzyskim była tak nudna jak jej wygląd. Jednak z oczywistych względów nie można jej było zignorować, jak Bożenki Nowak, więc Aleks i Sawicki, przeklinając w duchu organizatorów imprezy, starali się podtrzymywać nudną konwersację, rzucając dowcipy, przy których pani Eleonora chichotała jak nastolatka.

Po prawicy Świętej Eleonory, jak brzmiało żartobliwe, aczkolwiek życzliwe pseudo doktor Wabik, zajmował miejsce nieoficjalny, ale jednogłośnie uznawany zastępca docenta Malaka.

Doktor Andrzej Wydra zwany był przez wszystkich Adiunktem, i choć Miejski nie miał statusu szpitala uniwersyteckiego, wobec czego funkcja taka po prostu tam nie istniała, to praktycznie nikt, łącznie z dyrekcją, nie mówił o Wydrze inaczej. Formalnie był on co prawda zaledwie zastępcą ordynatora odpowiedzialnym za oddział kobiecy, ale w rzeczywistości to on pod nieobecność Malaka prowadził odprawy, ustalał harmonogram operacji i podejmował wszystkie najważniejsze decyzje.

Był człowiekiem zamkniętym w sobie. Przez wielu uważany za jednego z najlepszych operatorów laryngologicznych w kraju, wyspecjalizował się w mikroskopowych rekonstrukcjach kosteczek słuchowych ucha środkowego, a jego publikacje naukowe z tej dziedziny znano w całej Europie. Dla wszystkich było oczywiste, że kompetencje zawodowe Wydry sytuują go na poziomie co najmniej profesorskim w każdym z krajowych szpitali uniwersyteckich. Przy odrobinie szczęścia „dar boży w rękach”, jak często określano jego zdolności, mógłby przenieść się nawet do któregoś z prestiżowych ośrodków naukowych w USA, gdzie zresztą często bywał.

Niestety, częstokroć to nie kompetencje zawodowe, a już na pewno nie tylko one, przesądzają o karierze lekarza. Wydra o tę karierę po prostu w ogóle nie potrafił zadbać. Koszmarnie wręcz niekontaktowy ekscentryk i filozof przegrał więc swego czasu nie tylko profesorską nominację, ale i wyścig o miejską ordynaturę. Ostatnią porażkę przeżył tym bardziej boleśniej, że jego rywalem był Malak, mniej zdolny, lecz bardziej energiczny kolega z roku.

Co jednak ciekawe, Wydra nigdy nie wyglądał na zmartwionego swoją niezbyt błyskotliwą karierą. Od kilku już lat był cieniem Malaka i wydawało się, że znosi to bez większego problemu.

Żadnych konfliktów. Żadnych ambicjonalnych gestów.

Zdecydowanie nie był to typ karierowicza.

Nie dałoby się tego natomiast powiedzieć o drugim sąsiedzie sędziwej matrony. Włodek Pawlak, to dopiero gnida.

Aleks go nie cierpiał. Trzeba uczciwie przyznać, że z wzajemnością. Nie mogło być inaczej, za bardzo się od siebie różnili. Aleks był dość przystojny – w każdym razie podobał się kobietom – wesoły, kontaktowy i przez wszystkich lubiany.



Pawlak natomiast miał metr sześćdziesiąt wzrostu, był chuderlawy, a jego włosy w kolorze słomy coraz bardziej przerezione. Nosił drogie garnitury – Aleks często się zastanawiał, skąd ma na nie pieniądze – i eleganckie, zawsze wypastowane buty. Niewiele to jednak pomagało – nie był przez to przystojniejszy, tylko bardziej nielubiany za to, że obnosi się z tym, iż jest przy kasie. Pielęgniarki omijały go szerokim łukiem i po cichu się z niego naśmiewały, choć kilku z nich czynił awanse. Był po prostu starym kawalerem i nie zanosilo się na to, że sytuacja w najbliższej przyszłości się zmieni.

Pochodził z małego miasteczka, z biednej rodziny. Rodzice, ludzie prości i niewykształceni, całe życie poświęcili spełnieniu swojego największego i chyba jedyne marzenia: żeby najmłodszy syn został lekarzem. Dumą całej rodziny. Nagrodą za wszystkie ciężkie chwile i uosobieniem snu o sukcesie.

I tak się stało. Choć Pawlak nie zrobił takiej kasy, o jakiej marzył. Niestety, trochę go to przerosło.

Aleks był pełen szacunku dla takiej drogi życiowej. Czasami nawet obwinał się podświadomie o to, że jemu wszystko przychodziło tak łatwo. Patrzył z respektem i pokorą na kolegów ze studiów, dla których medycyna była okazją do wyrwania się z niekiedy patologicznych środowisk.

To wymagało wielkiej odwagi i hartu ducha. Często łączenia wyczerpującej nauki w ciągu dnia z pracą po nocach, by się utrzymać, a niekiedy jeszcze wysyłać pieniądze rodzinie. To musiało budzić podziw.

Ale historia Pawlaka była inna. On był „królewiczem elektem”. To jemu matka przysyłała ostatnie grosze, choć po śmierci ojca sama nie za bardzo miała z czego żyć. Pawlak junior w ogóle się tym nie interesował, jemu się to po prostu należało.

Jeszcze za życia ojca okazywał jakiś taki szacunek „starym”, jak o nich mówił, potem jednak już nawet w święta przestał odwiedzać rodzinne strony.

On się ich wszystkich po prostu wstydził i za to przede wszystkim Aleks czuł do niego obrzydzenie.

Przed wszystkim. Ale nie tylko.

Pawlak był poza tym największym lizusem, intrygantem i kapusiem w ponad stuletniej historii Szpitala Miejskiego.



Około północy, po wyjściu docenta Malaka oraz kilku starszych koleżanek i kolegów, przysypiających w oczekiwaniu na pierwszą nadarżającą się możliwość ewakuacji, impreza wkroczyła w schyłkową fazę.

– Zdrowie służby zdrowia! – wrzasnął Sawicki, unosząc kieliszek.

– Oraz służby szczęścia i służby pomyślności! – zawtórował mu Aleks, co wywołało rechot po drugiej stronie stołu.

To widoczne rozluźnienie atmosfery sprawiło, że na twarzy Pawlaka, który prawie nie pił, pojawił się grymas niechęci.

– Wiesz co, Wendt, całe szczęście, że docent już wyszedł i nie widzi twojego żalostnego upodlenia – rzucił z niesmakiem.

– Raczej szkoda, że już wyszedł – odparował Aleks – bo nie zdążyłeś, kochaneńki, z właściwym sobie szczerym oddaniem ucałować jego dupy. A umył ją dzisiaj specjalnie dla ciebie.

Męska część towarzystwa, nieźle już podchmielona, zarechotała, natomiast panie z niepokojem obserwowały rozwój wydarzeń.

– Nie jestem żadnym „kochaneńkim”, pijaczyno – warknął Pawlak.

Był wściekły, usta miał zaciśnięte w grymasie nienawiści. Zaczynało się robić nieprzyjemnie.

– Oj, Włodziu, Włodziu – sztydził Aleks – ja tu do ciebie pieszczotliwie, po przyjacielsku, a ty taki agresywny jakiś... Ale ja mimo to wciąż serdecznie, kanalijko ty moja! Lizusiku, dupowlazku...

Tego było już dla Pawlaka za wiele. Wstał i zaczął obchodzić stół. Zebrani się zastanawiali, czy ma zamiar wyjść, czy też wdać się w bójkę, co byłoby raczej śmieszne, bo sięgał Aleksowi do ramienia.

Na szczęście powstrzymał go Sawicki, który postanowił nie sprawdzać, którą z możliwości Pawlak wybierze, i w porę zastąpił mu drogę. Najwyższy czas, bo Aleks również zdążył już wstać i zrobić krok w kierunku nieprzyjaciela. Groźba dynamicznego zakończenia sporu stała się całkiem realna.

– Panowie, spokój! Spokój, mówię! – krzyknął Sawicki.

Reszta, zdezorientowana, przyglądała się zajściu. Nikt się nie włączył.

– Chodź, Aleks, idziemy. – Sawicki pociągnął przyjaciela w stronę wyjścia.

– Jesteś świrem, Wendt! – krzyknął za nimi Pawlak. – Nie dziwię się, że Ewka od ciebie odeszła! Jesteś prawdziwym psycholem!

Aleks, najwyraźniej ugodzony w czuły punkt, próbował się wyrwać, ale Sawicki, kawał chłopca, wiedział, że jeżeli go puści, dojdzie do niezłego łomotu. I to raczej Aleks będzie łomotał Pawlaka.

Nie puścił.

– Dobranoc państwu! – krzyknął do osłupiałej gawiedzi.

– Panowie doktorowie są dzisiaj trochę niedysponowani! Prosimy nie regulować odbiorników! – Ostatnie zdanie wygłaszał już na dworze.



Aleks leżał na łóżku, na wymiętej kołdrze, i próbował zasnąć. Było to bardzo trudne zadanie, bo za każdym razem, gdy zamykał oczy, świat zaczynał wirować.

Pomyślał, że jako laryngolog powinien radzić sobie jakoś z własnym błędniakiem. Nie wychodziło.

I jeszcze te mdłości. Przewrócił się po raz kolejny na drugi bok.

Po raz kolejny nie pomogło.

Niedobrze.

Ale było coś, co doskwierało mu dziś jeszcze bardziej: samotność. Cała złość na Pawlaka minęła, a zastąpiło ją pijackie rozczulanie się nad sobą. Szklanki wody nikt mi nie poda, gdy będę miał kaca, dywagował. A jeśli zachce mi się rzygać, to kto podstawi miskę? Miał ochotę się rozplakać, ale nie zdążył, bo zapadł w niespokojny pijacki sen.

## Rozdział 5

– Gazik. – Aleks wydawał krótkie, spokojne polecenia.

Zaciśnięty w ząbkach stalowych szczypczyków, zwanych peanem, kawałek gazy wylądował na jego dłoni.

Aleks przetarł pole operacyjne. Kolejny dzień zabiegowy dobiegał końca. Usuwana z szyi pacjentki niegroźnie wyglądająca torbiel była jego ostatnim akcentem. Dochodziła czternasta.

– Szycie – rzucił i tym razem w jego stronę powędrował kawałek nitki Dexon, zwisający z zakrzywionej igły chirurgicznej.

Załżył dwa podskórne szwy, zbliżając do siebie brzegi rany, po czym zaczął zdejmować rękawiczki.

– Zszyjesz skórę? – zwrócił się do asystującego mu stażysty.

– Oczywiście. – Oczy chłopaka błysnęły.

Aleks pamiętał swoje młode lata. Jak każdy początkujący lekarz „wisiał na hakach” całymi godzinami, by w końcu dostąpić przywileju samodzielnego zakończenia zabiegu. To był wyraz zaufania starszych kolegów. Rodzaj namaszczenia.

Młody adept zabiegowej specjalności to, poza pawiem, jedno z najbardziej dumnych stworzeń we wszechświecie.

No bo jakże mogłoby być inaczej? Przecież nie jest jakimś tam internistą czy innym przepisywaczem tabletek. Żeby było jasne: to nie jest brak szacunku dla kolegów kształcących się w specjalizacjach zachowawczych. Ależ skąd. To raczej pewien rodzaj współczucia, wręcz ubolewania nad ich ciężkim losem.

Biedacy. Tyle nauki, wyrzeczeń, odpowiedzialności. Setki naciśnięć, cukrzyc i łuszczyc, które potrafią nieźle uprzykrzyć życie nie tylko pacjentowi, ale i tym, którzy próbują go wyleczyć, i to wszystko bez możliwości komenderowania instrumentariuszką i wydawania poleceń.

Aleks doskonale wiedział, co teraz czuje ten chłopak. On też czekał. Długo. Aż wreszcie się spełniło.

Zawsze tak samo przeżywał moment, kiedy stalowe ostrze zatapia się w skórze człowieka. Do tego nie można się przyzwyczaić. Dalsza część zabiegu to już tylko zbiór mniej lub bardziej wyćwiczonych ruchów. Zawsze wykonywanych w napięciu, zawsze w stresie, w pełnej koncentracji, ale jednak mechanicznie. Tylko ten pierwszy ruch, cięcie... Magia.

Wendt pamiętał pierwsze. I każde następne.

Dużo czasu mija, zanim młody zabiegowiec dostępuje zaszczytu wykonania pierwszego cięcia. Przedtem mozolnie pnie się po chirurgicznej drabinie, godzinami asystując, dbając o to, żeby główny operator dobrze widział, co robi. Proza.

Podciągnąć hak, ułatwić dojsście, przytrzymać przyrząd, zacisnąć krwawiące naczynie, obciąć nitkę szwu i wycierać, wycierać, wycierać... Po jakimś czasie możesz już kończyć zabieg, szyjąc skórę, i tak przesuwasz się w pozornie nielogiczny sposób od końca do początku.

Taki jest ten chirurgiczny czyściec.

Teraz Aleks, patrząc na młodziaka, przypomniał sobie swój pierwszy dzień w niebie.

Ile to już lat minęło...

Działaj, chłopie, pomyślał. Stajesz się samodzielny.

Wrzucił czepek i maskę do kosza przy drzwiach i wyszedł z sali operacyjnej.



W dyżurce nie było nikogo. Większość lekarzy rozeszła się już do domów, dyżurni poszli pewnie na obiad, może ktoś jeszcze kręcił się po oddziałach, ale na laryngologii panował ten charakterystyczny przejściowy spokój. Normalny dzień pracy praktycznie się skończył, a dyżur tak naprawdę jeszcze nie zaczął, bo nie wszyscy wyszli. Martwa godzina.

Aleks wstawił wodę na kawę. Właściwie powinien się przebrać i zbierać do wyjścia, bo na szesnastą trzydzieści był umówiony na squasha, a chciał jeszcze wstąpić do domu po sprzęt, którego zapomniał wrzucić do bagażnika przed wyjazdem do pracy. Wypadałoby może również coś zjeść. Ale nie był głodny.

Na squasha też, prawdę mówiąc, nie miał dzisiaj zbytnej ochoty, choć nie chciał sprawić zawodu swojemu staremu przyjacielowi Arturowi Nyce, z którym niezmiennie, zawsze w środy i soboty, spotykali się w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji na Ursynowie.

Był po prostu zmęczony. Zmęczony, a poza tym miał chandrę. W zimie częściej przytrafiały mu się takie stany, a już zimy po rozwodzie były pod tym względem szczególnie dokuczliwe.

Żeby się nieco pocieszyć, pomyślał o zbliżającym się

weekendzie. Była co prawda dopiero środa, wczesne popołudnie, ale on postanowił nie brać tego pod uwagę i myślał o spędzeniu niedzieli z Marysią.

Zabierze ją do Pizza Hut. Marysia uwielbia pieczywo czosnkowe i kartofelki w ziołowym sosie. Tak, a potem kino. Uśmiechnął się na myśl o słownej grze, którą oboje uwielbiali.

„Tatusiu, a na co pójdziemy?” – padało pytanie, a odpowiedź zawsze była tylko jedna, bez względu na repertuar: „Hmm, popatrzmy...” – Aleks przedłużał chwilę zastanowienia, a Marysia chichotała. „No tak, znalazłem, może na... nachosy z sosem serowym!”. u

W tym momencie oboje wybuchali śmiechem. To była ich gra, taki tajny szyfr, przeznaczony tylko dla nich dwojga. Tak mało mieli siebie.

Myśl o córce przyniosła ulgę.

Zalał wodą trzy łyżeczki nescafé classic i usiadł w fotelu z kubkiem w rękę.

Zdaży na squasha, tylko chwilę odpocznie.

Kilkuminutowy relaks przerwało pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął.

To na pewno żaden z kolegów. Oni nie mają w zwyczaju pukać. Pewnie któraś z pielęgniarek przyszła pozawracać głowę jakimś kwitkiem do wypisania.

Przez chwilę pożałował, że jednak nie wyszedł wcześniej. Dać się złapać biurokracji. To może zepsuć mu humor na resztę dnia.

Usłyszał skrzypienie wolno otwieranych drzwi, jakby do wchodzącego nie dotarło jego zaproszenie, co było zresztą całkiem prawdopodobne, bo szafa skutecznie filtrowała nie tylko obraz, ale i dźwięk. Natręt sprawdzał nieśmiało, czy w pokoju ktoś jest.



To na pewno nie pielęgniarka, spekulował Aleks. One po prostu wchodzi.

- Przepraszam... – usłyszał niepewny kobiecy głos.
- Tak, proszę. – Aleks wstał i zrobił krok w stronę drzwi.
- ...szukam doktora Wendta – głos wciąż dobiegał zza

szafy. I kroki.

On też zrobił kolejny krok.

I zamarł.

Stała przed nim najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu. Nie był to typ modelki – dziewięćdziesiąt-sześćdziesiąt-dziewięćdziesiąt, miniówka, szpilki, czerwone paznokcie – za którą oglądają się wszyscy faceci. Zupełnie nie to.

W tej dziewczynie nie było niczego wyzywającego.

Na oko miała około dwudziestu pięciu lat. Kruczoczarne, naturalnego koloru włosy, niezbyt długie, były skromnie związane w koński ogon, odsłaniając twarz o regularnych rysach. Nieco zadarty nos przydawał jej miłego, pogodnego, nieco szelmowskiego wyrazu, a oliwkowa karnacja dopełniała obrazu śródziemnomorskiej piękności. Tym, co przyprowadzało o zawrót głowy, były oczy: czarne i nieodgadnione, pełne równocześnie tajemniczości i przedziwnego ciepła, wytwarzały dystans, dając jednak odczuć, że gdzieś głęboko kryją się pokłady pozytywnych emocji.

Ta twarz, prawie bez makijażu, była niespotykane wyrazista, a emanująca z niej mieszanka pewności siebie i serdeczności robiła naprawdę piorunujące wrażenie. Poza tym Aleks pomyślał, że ta kobieta kogoś mu przypomina, ale było to nieuchwytnie, zupełnie nie kojarzył go.

Jej ubranie było stonowane i gustowne. Miała na sobie kremowy golf i dopasowane, brązowe, wełniane spodnie, podkreślające zgrabną sylwetkę. Eleganckie zamszowe buty

na obcasach i ciemnobordowy, doskonale skrojony płaszcz idealnie harmonizowały z resztą. Klasa.

Aleks, stojąc przez kilka sekund naprzeciwko dziewczyny, zdał sobie sprawę, że musi mieć bardzo głupią minę.

– To ja jestem doktor Wendt. Czym mogę służyć? – powiedział wreszcie niepewnie, a słysząc swój głos, odniósł niejasne wrażenie, że należy do kogoś przebywającego za ścianą.

– Dzień dobry, doktorze, nazywam się Monika Szymańska. Jestem córką Władysława Szymańskiego.

No właśnie. Teraz już wiedział, do kogo jest tak bardzo podobna.

– Witam, proszę spocząć. – Gestem zaprosił ją, by usiadła w fotelu. Sam zajął miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie stolika. Nie mógł się powstrzymać od gapienia się na nią, a nie chciał zostać uznany za natręta czy podrywacza, więc szybko spojrzął w okno.

– Proszę mi powiedzieć wszystko o stanie ojca – odezwała się. – Wczoraj wróciłam z zagranicy i dowiedziałam się, że jest w szpitalu. Nie mogłam przyjść wcześniej – dodała tonem usprawiedliwienia.

– Tak, oczywiście, rozumiem. – Aleks powoli zaczął odzyskiwać pewność siebie. – Zresztą stan pani ojca jest przecież stabilny, to nie jest nagle, ostre zapalenie wyrostka... Niestety. – Westchnął.

– No właśnie. – Dziewczyna posmutniała. Nie patrzyła na Aleksa, tylko wpatrywała się w swoją rękę skubiącą szew torebki. – Proszę mi powiedzieć szczerze, jest bardzo źle? – Zawiesiła głos, jakby chciała zaczarować rzeczywistość, jakby teraz miało paść magiczne zaklęcie, które wszystko zmieni.

Tylko kto miałby je wypowiedzieć?

– Tak, jest bardzo źle – odrzekł szczerze Aleks. – Oczywiście robimy jeszcze badania, oceniamy rozległość zmian. Należy jednak brać pod uwagę to, że u każdego chorego ma inny przebieg, można nagle zachorować, jak i nagle wyzdrowieć. Mam jednak obowiązek poinformować panią, jako najbliższą rodzinę chorego, że rokowania są w tym przypadku bardzo niepomyślne.

Starał się mówić spokojnie, by złagodzić znaczenie wypowiedzianych słów, ale był świadomy, że barwa jego głosu w ogóle nie nadaje się do tego typu wypowiedzi. To były najtrudniejsze rozmowy. Większość lekarzy chowała się za medycznym żargonem i Aleks stwierdził, że też to robi. Co ja gadam? – zganił się w duchu. „Rokowania”? „Rozległość zmian”? Nie można bardziej po ludzku? Ale jak ma to powiedzieć? „Proszę pani, pani ojciec wkrótce umrze”?

– I naprawdę nie ma żadnej nadziei? – Głos dziewczyny się załamał. – Może operacja? – zapytała bez przekonania.

– Niestety, zmiany nowotworowe w gardle pani ojca są zbyt rozległe, żeby można je było usunąć. Proszę mi wierzyć, gdyby zabieg był możliwy, nie wahałobyśmy się ani chwili. Zobaczymy, może zdecydujemy się na zabieg zmniejszający po prostu masę guza i opóźniający jego rozwój, na pewno też, już niedługo, będzie potrzebna tracheotomia, czyli założenie rurki umożliwiającej ojcu oddychanie. Ja wiem, że to brzmi koszmarnie, ale za chwilę nowotwór przerośnie całkowicie dolną część krtani. Będzie stopniowo zwężać drogi oddechowate, aż w końcu całkowicie je zamknie.

– Boże... – wyszeptała tylko. Smutek w jej oczach był czarniejszy niż one same. Nie popłynęła jednak ani jedna łza, co trochę zdziwiło Aleksa. Jest taka silna czy tak naprawdę los ojca jest jej obojętny?

– Tak, to nie są dobre wiadomości – przyznał. – Ale nie może się pani załamywać. Teraz ojciec będzie pani bardzo potrzebował. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

– Wiem. – Przygryzła wargi. – Ojciec ma tylko mnie. Odkąd mama zmarła sześć lat temu, jestem jego jedyną rodziną. Nie ma rodzeństwa, ja też jestem jedynaczką. Jego ukochaną córeczką. – Uśmiechnęła się gorzko, jakby do siebie.

Aleks też się uśmiechnął, zachęcająco, jakby chciał dać Monice do zrozumienia, że jeśli ma ochotę mówić, on chętnie jej wysłucha. Malak mawiał, że rodzina jest warta dla pacjenta więcej niż cała służba zdrowia razem wzięta. I rozmowa lekarza z rodziną także. Szczególnie na tym, w głównej mierze onkologicznym oddziale, miało to specyficzny wymiar.

Można powiedzieć, że ludzie umierali tu jak wszędzie indziej, śmierć nie dzieliła ich na lepszych i gorszych, nikogo specjalnie nie wyróżniała, nikogo nie oszczędzała, ale była wielka różnica pomiędzy tymi, którzy odchodzili trzymani za rękę przez najbliższych, a tymi, którzy umierali w samotności.

A może nie ma żadnej różnicy, może to tylko lekarze i pielęgniarki tak sobie to wszystko poukładali w głowach, żeby podtrzymywać na duchu chorych i ich rodziny?

A może samych siebie?

Aleks dobrze wiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mu przejmować się każdym chorym z osobna, nie wolno emocjonalnie angażować się w leczenie. A tym bardziej nawiązywać bardziej zażyłych stosunków z rodzinami. To rodzaj samoobrony. A także sposób, by nie dawać bliskim złudnej nadziei.

Ludzie często nie rozumieją, że lekarz pomaga ludziom, a nie człowiekowi, że nie może przeżywać każdego przypadku.

Bo zwariuje i nikogo nie wyleczy.

I to nie jest znieczulica.

To dlatego lekarze nigdy nie leczą swoich bliskich. Zawsze proszą o to kolegów.



Nie wiedział, dlaczego patrząc na tę dziewczynę, czuje tak ogromny smutek. Nie potrafił tego w żaden sposób wytłumaczyć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Pójdę już, panie doktorze – odezwała się w końcu Monika. – Bardzo dziękuję za wyjaśnienia. Będę tu często przychodziła, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Nie mam. Wręcz przeciwnie. Powinna pani.

Nie był do końca pewny, czy powiedział to, by podkreślić dramatyzm sytuacji, czy po prostu znów chciał ją zobaczyć.

Wstała i powoli ruszyła do drzwi.

Po jej wyjściu jeszcze co najmniej przez minutę siedział nieruchomo.

Nie myślał o niczym. Po prostu siedział.

Wreszcie spojrzął na zegarek.

Psiakrew, spóźnił się na squash.

## Rozdział 6

Aleks odsunął się nieco z krzesłem na kółkach i szybkim ruchem zdjął z głowy lusterko laryngologiczne.

– Antybiotyk będzie pani brała co dwanaście godzin, czyli rano i wieczorem po jednej tabletkie – tłumaczył kobiecie w średnim wieku siedzącej przed nim. – Co najmniej przez sześć dni, nie wolno przerwać, nawet jeżeli poczuje się pani całkiem dobrze – dodał stanowczo.

– Dziękuję, panie doktorze. – Kobieta wstała i podeszła do biurka.

Wręczył jej receptę.

– Jeszcze raz bardzo serdecznie chciałam podziękować...  
– W jej ręku nie wiadomo skąd pojawiła się koperta.

Aleks zeszywniał.

– Proszę to schować. Natychmiast – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Rozumiemy się?

– Przepraszam, chciałam tylko... – Kobieta wyglądała na lekko przerażoną jego reakcją. Zarumieniła się.

– Wiem, co pani chciała... – dodał nieco łagodniej, przecież kobieta nie miała złych intencji. Nie powinien na nią krzyżeć. – ...i dziękuję bardzo za dobre chęci. Ale jeżeli chce pani pomóc służbie zdrowia, to na pewno znajdzie pani jakąś fundację, która się tym zajmuje. Proszę zasilić ją swoją wpłatą.

Aleks nie był typem ideowca. Właściwie w ogóle go nie obchodziło, że niektórzy koledzy dorabiają sobie na dyżurach, przyjmując prywatnych pacjentów ambulatoryjnie, a w niektórych przypadkach nawet operując ich w godzinach pracy przy użyciu szpitalnego sprzętu i pomocy personelu. Nie oceniał ich, z niczym ani z nikim nie walczył.

On po prostu tego nie robił.

Nawet nie zastanawiał się dlaczego. Ojciec wpajał mu niezbyt wesołą prawdę, że zawód lekarza, no, może z małymi wyjątkami w postaci ginekologów z Beverly Hills, to nie jest najlepsza droga do dużych pieniędzy.

„Wielkiej forsy nie zrobisz, ale z drugiej strony z głodu nie zginiesz”, tłumaczył, rozmawiając z kilkunastoletnim synem o wyborze zawodu. „Medycyna to ciężki kawałek chleba, ale nigdy nie upadniesz niżej niż ze słuchawkami na uszach w jakimś wiejskim ośrodku zdrowia. A gdy będzie wojna i pieniądze stracą wartość, to ludzie podzielą się z tobą ostatnią kromką chleba”.

Trudno było sobie wyobrazić taką sytuację w dwudziestym pierwszym wieku w samym środku Europy, ale brzmiało sugestywnie.

Jedno było pewne: Aleks nie poszedł na medycynę dla pieniędzy. W ogóle nie był materialistą. Nie miał nawet prywatnego gabinetu i nie rozpaczał z tego powodu.

Wręcz przeciwnie. Bez zazdrości, a nawet z pewnym

współczuciem patrzył na kolegów biegających z obłądem w przemęczonych, niedospianych oczach między szpitalem, dyżurami, przychodnią specjalistyczną, prywatnym gabine-tem i wizytami domowymi wieczorem, na zakończenie dnia. Ciągłe spóźnieni, niemający na nic czasu, zasypywani tele- fonami nawet w weekendy, zaczynający pracę o ósmej rano, a kończący często po dwudziestej drugiej. Jeżeli w ogóle. Po dyżurze niejednokrotnie pędzili do kolejnej pracy.

O nie, to nie dla niego. A już szczególnie teraz, kiedy nie ma rodziny.

Nie żeby był leniwy, ale pogoń za lepszym samochodem czy ładniejszym mieszkaniem nigdy go nie interesowała. Zresztą to między innymi było przyczyną jego konfliktów z Ewą.

Zawsze uważała, że jest za mało ambitny, ale tak naprawdę chodziło jej o to, że za mało zarabia. Pieniądze nie liczyły się dla niej tylko w pierwszym, romantycznym okresie ich zna- jomości. Gdy po urlopie macierzyńskim poszła do pracy, zobaczyła, jak żyją ludzie, zaczęła stawiać Aleksowi coraz większe wymagania, marudzić, że powinien otworzyć pry- watną praktykę, znaleźć sobie pracę w prywatnej klinice. Doskonale czuła się w wyścigu szczurów, jak mawiał, gdy chciał jej dopiec. Pod tym względem bardzo się różnili.

Nie tylko zresztą pod tym.



No, na dzisiaj koniec, pomyślał z ulgą.

Kobieta, nieco speszona, zamknęła za sobą drzwi izby przyjąć.

Od rana dyżur był koszmarny, ciągle coś się działo, jakby całe miasto postanowiło doprowadzić Aleksa Wendta, lekarza



dyżurnego Szpitala Miejskiego, do obłądu.

I prawie się to udało. Klótnie w poczekalni, zdenerwowane rejestratorki, wrzeszczące dzieciaki – to i jeszcze więcej musiał znosić przez cały dzień.

Poza tym nie znalazł czasu, by zjeść choćby kanapkę. Był zmęczony i zły.

– Panie doktorze, obiad już całkiem zimny. – W drzwiach pojawiła się głowa salowej, pani Wiktorii.

– Nazwijmy go wczesną kolacją i podgrzejmy, pani Wiktorio, mogę prosić? – Wiedział, że kobieta trochę porzędzi, ale w końcu uda mu się wysłać ją do kuchni. – Zaraz muszę iść na obchód – dodał błagalnie, licząc na swój urok osobisty.

– No dobrze. – Wiktorii, która, jak wszyscy zgodnie twierdzili, była starsza niż budynek szpitala, uśmiechnęła się. – Ale jak się pan będzie tak odżywiał, to pan jakiego wrzodu dostanie. – Utyskiwanie było dodatkiem gratis do każdego posiłku.

– Ja go nie dostanę, ja już go mam – mruknął Aleks.



– Pani Aniu, idziemy na obchód – rzucił, wchodząc do dyżurki pielęgniarek.

– Ciasteczko, doktorze, przed obchodem? Sama piekłam.

Trzeba przyznać, że Shakira wyglądała dziś wystrzałowo, zupełnie jakby szła na imprezę. Miała włosy prosto od fryzjera i stonowany, ale dość wyraźny makijaż. W dyżurce pachniało świeżym ciastem i perfumami.

– A co to się stało, pani Aniu, wszystkie dyskoteki w mieście pozamykano, że pani się do wypieków domowych wzięła? – Żart nie był może najwyższych lotów, lecz Aleks

nigdy nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie.

Dziewczyna nie czyniła w jego kierunku żadnych zachęcających gestów, ale sposób, w jaki patrzyła, niezmiennie go onieśmielał.

– To z wczorajszych urodzin – wyjaśniła trochę speszona. – Proszę spróbować, pycha. – Podała mu talerzyk i nałożyła kawałek czegoś, co, jak powiedziałby fachowo Sawicki, nosiło znamiona szarlotki.

– Psiakrew, to już ta osiemnastka? Niewiarygodne. – Komplement wyszedł już nieco lepiej, jednak Aleks natychmiast zdał sobie sprawę, że życzenia byłyby zdecydowanie bardziej na miejscu.

– Doktor bardzo miły. – Shakira roześmiała się dźwięcznie i dziewczęco. – Ale nie, doktorze, ja już stara dupa jestem. – Do twarzy jej było z tym kultowym tekstem. – Dwudzieste trzecie. – Zmrużyła zalotnie oczy.

– Nooo, to z okazji osiągnięcia tego emerytalnego wieku wszystkiego najlepszego, zdrowia, szczęścia i pieniędzy. – Ucałował pielęgniarkę z dubeltówki.

Musiało to wyglądać wyjątkowo idiotycznie: jak niezdarne pocałunek lekarza, który za wszelką cenę stara się wyeliminować wszelkie erotyczne podteksty ze swoich kontaktów ze średnim personelem medycznym. Odniósł zresztą wrażenie, że Anka ma ochotę się na niego rzucić.

Całe szczęście, że nikt nie był świadkiem tej żenującej scenki.

– No, z tymi pieniędzmi to doktor lekko przegiął. – Anka nie zwróciła chyba na szczęście uwagi na głupekowaty kontredans Aleksa i wydawała się zadowolona z życzeń. – Nie mam zamiaru zmieniać zawodu. Najwyżej będę klepała biedę – dodała z trochę wesołą, a trochę kwaśną miną.

No tak, pieniądze. Aleks przypomniał sobie rozmowę z ostatnią pacjentką w izbie przyjęć, sprzed zaledwie pół godziny. Tak, lekarz to źle płatny zawód, a o pieniądze tak łatwo, pomyślał gorzko.

Coś mnie dzisiaj, psiakrew, ta forsa prześladowuje.

– Hm, *never say never* – mruknął pseudofilozoficznie, co raczej trudno było uznać za życzenia rychłej poprawy kondycji finansowej pielęgniarskiego stanu.

Taak, najwyraźniej nie jest dziś mistrzem błyskotliwej riposty. Zapadło niezręczne milczenie.

– Może kawki do tego ciasta? – zagaiła Anka, jakby bała się, że ich sam na sam za szybko się skończy.

– Nie, dzięki, chodźmy już na ten obchód. – Aleks odstawił talerzyk na biurko i z ulgą ruszył do sal chorych.



– No i jak się czujemy, panie Piasecki? Opatrunek nie uwiera?

– Nie... ale boli... ciągle... panie doktorze. – Chory wyszeptał te słowa ledwie słyszalnie. Z jego szyi wystawała przymocowana białą tasiemką rurka tracheotomijna.

– To dopiero trzecia doba po zabiegu, szwy cały czas uciskają. Proszę się nie martwić, damy coś przeciwbólowego na noc – odrzekł Aleks. – Pani Aniu, proszę pamiętać o panu Piaseckim – zwrócił się do pielęgniarki.

Obchód na oddziale męskim był, można powiedzieć, monotematyczny. Ograniczał się praktycznie do rozmów na temat zabiegów laryngektomii, czyli całkowitego usunięcia krtani.

Część chorych czekała na operację, część była już po. Różnica była bardzo widoczna – ci pierwsi jeszcze mówili

normalnie, a w ich oczach widać było nadzieję, że może jednak wszystko będzie dobrze, że operacja coś da. Ci drudzy nie mogli mówić i byli przestraszeni. Wpatrywali się w lekarza błagalnie, jakby chcieli usłyszeć dobre wieści.



Obchód zbliżał się do końca. Druga część dyżuru zapowiadała się spokojnie. Chorych pozabiegowych Aleks już i tak obejrzał wcześniej, podczas porannej zmiany opatrunków. Rany pooperacyjne goiły się raczej bez powikłań, reszta to były proste kilkudniowe przypadki: przegrody nosa, polipy, jeden chory pourazowy, ale już przygotowywany do wypisania.

Nic szczególnego.

Przynajmniej do momentu otwarcia drzwi do sali numer dwadzieścia jeden.

To była mała dwuosobowa sala na końcu korytarza.

Nosiła niechlubne miano sali złych rokowań.

Na oddziale obowiązywała niepisana zasada, by nie umieszczać chorych nieuleczalnych i rekonwalescentów po zabiegach w tych samych salach. Nie z powodu dyskryminacji jednych czy drugich. Raczej dla ich dobra. Pacjenci po zabiegach jak nikt potrzebowali pozytywnej energii pod każdą możliwą postacią, wszystkiego, co mogło dać im siłę do dalszej walki. Trzeba im było pokazać, że mają po co i dla kogo żyć, że wciąż, pomimo kalectwa, są potrzebni. Nakłaniano rodziny i bliskich, by pomagali tym ludziom wrócić do życia.

Chorzy nieuleczalni potrzebowali przede wszystkim spokoju.

Dlatego w sali dwadzieścia jeden leżał tylko jeden pacjent.

Władysław Szymański.

Aleks wszedł do sali i na moment znieruchomiał, a idąca za nim Anka wpadła na jego plecy. Spojrzała na niego z mieszaniną zdumienia i irytacji.

– Przepraszam, pani Aniu – wymamrotał, nie odrywając wzroku od łóżka Szymańskiego.

Bo przy łóżku siedziała Monika.

Aleks zdał sobie sprawę, że przez tych kilka dni, które minęły od ich pierwszego spotkania, przez cały czas o niej myślał.

Dziwne, ale nie były to jakieś konkretne myśli, nie zastanawiał się nad tym, co ona robi w danej chwili, nie przywoływał jej obrazu, nie fantazjował.

Nie, po prostu czuł jej obecność. W jakiś niewiadomy, organiczny sposób, bardziej instynktownie niż świadomie. Nie było w tym podtekstu erotycznego. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak reagował na kobiety, nawet te, które mu się podobały. Nie, tu z całą pewnością nie chodzi o zwykłe podobanie się.

Cholera wie, co to właściwie jest. Czyżby się zakochał?

– Dzień dobry państwu – powiedział pewnym głosem, gdy ochłonął. Ani ojciec, ani córka nie zwrócili na szczęście uwagi na niefortunne entré dyżurnej pary.

– Dzień dobry. Może ja wyjdę, nie chcę przeszkadzać w obchodzie. – Monika nie wyglądała na speszoną, ale wstała, jakby chciała zasygnalizować swój respekt dla instytucji obchodu. A może dla lekarza?

Dzisiaj włosy miała rozpuszczone, co nadawało jej romantyczny wygląd, jakże kontrastujący z tym wybitnie nieromantycznym miejscem. Miała na sobie obszerny kremowy sweter w serek i jasnobeżowe spodnie. Nawet Aleks wiedział,

że to drogie ciuchy, a ich wybór był dobrze przemyślany. A gdyby tego nie wiedział, wystarczy, że zerknął na Ankę, która obrzuciła Szymańską od stóp do głów niechętnym spojrzeniem i nie odpowiedziała na powitanie. Zupełnie jakby wiedziała, że Monika bardzo się Aleksowi podoba. A może było to aż nazbyt widoczne?

– Nie, proszę zostać, to zajmie mi tylko chwilę – powiedział uprzejmie, choć miał ochotę spędzić w tej sali kilka najbliższych godzin. – Jak się pan czuje? – spytał Szymańskiego.

– Z dnia na dzień słabiej – odparł spokojnie starszy pan. – Ale domyślam się, że to jest właśnie tak, jak ma być w moim przypadku...

Aleks nie podjął tematu. O czym tu zresztą mówić?

– Córka przyniosła zdjęcia sprzed pobytu tutaj, o które pan prosił, doktorze – ciągnął Szymański. Zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, oparł się na łokciu, ale widać było, że przychodzi mu to z trudem. Monika pomogła mu oprzeć się o poduszki.

– Proszę nie wstawać, obejrzę je później. – Aleks nie wiedział, że z jego strony to zwykle szukanie pretekstu do kolejnego kontaktu z Moniką. – Niech sobie państwo nie przeszkadzają. – No, wyszło nawet zgrabnie.

Zanim Aleks opuścił salę ich spojrzenia na moment się spotkały. Boże, co ta dziewczyna ma w oczach?!

# Rozdział 7

Ciszę dyżurki zakłóciły dźwięki hymnu amerykańskiego.

Parę miesięcy temu Aleks uznał, że *Gwiazdzisty Sztandar* to melodia idealna na dzwonek telefonu komórkowego, i przez jakiś czas był szczerze ubawiony reakcjami ludzi, gdy go słyszeli.

Naprawdę śmiesznie było wtedy, gdy zapomniał wyłączyć komórkę, przedłużając wizę w ambasadzie USA. Na wspomnienie miny konsula stemplującego mu paszport uśmiechnąłby się chyba nawet na własnym pogrzebie. Jednak ostatnio sygnał wydawał mu się coraz bardziej idiotyczny i miał zamiar go zmienić.

Jakoś ciągle o tym zapominał.

Oderwał wzrok od komputera i sięgnął po telefon.

„Bazyl” – migaly literki wyświetlacza.

To go trochę zaskoczyło.

Bazyl, czyli Janek Chrapek, dzwonił do niego nie więcej niż kilka razy w roku.

Właściwie w święta i... to wszystko. Od czasów studenckich bardzo się od siebie oddalili. Przyjaciele z roku, a przede wszystkim partnerzy z zespołu, wokalista Wendt i perkusista Chrapek, tworzyli rdzeń formacji Medipower, a jako że do

balowania żadnego z nich nie trzeba było specjalnie namawiać, spędzali razem dużo czasu, bo studencko-koncertowa impreza trwała niekiedy kilka dni. Nie było lepszego kompana niż Bazyl.

Zabawne były też kulisy powstania tej ksywki. Janek, wzorowy skądinąd student, był bez wątpienia największym podrywaczem w historii istnienia krajowych fakultetów medycznych.

Zresztą być może nie tylko medycznych.

I nie tylko krajowych.

On po prostu nie miał sobie równych. Ktoś kiedyś powiedział, że każda dziewczyna przebywająca przez dłuższą chwilę w jego towarzystwie zaczyna odczuwać narastające poczucie winy, że jeszcze nie poszła z nim do łóżka.

Było to tym dziwniejsze, iż nie można było powiedzieć o Bazylu, że jest przystojny. Niski, bynajmniej nie szczupły, teraz już lekko łysiejący, nie był mężczyzną, o jakim marzą kobiety. Miał jednak mnóstwo wdzięku, poczucie humoru i niezaprzeczalny talent do podrywu.

Któregoś dnia na imprezie koleżanka z roku – jedna z nielicznych, które na niego nie poleciały – zapytała go wprost:

– Jasiu, co ty, chłopie, robisz, że te wszystkie dupy tak na ciebie lecą?

Chrapek zrobił minę będącą połączeniem tajemniczości i śmiertelnej powagi.

– Ja na nie patrzę... – przewrócił oczami, zawiesił głos, jakby recytował kwestię z Hamleta – tak jak... – umilkł, a napięcie rosło... – bazyliszek!!! – wykrzyknął w końcu.

Przestraszona koleżanka, cofając się, o mało nie wpadła w sałatkę.



Taki był Bazyl. Chodząca zagadka.



– Siema, Bazyl – rzucił Aleks do słuchawki.  
– Witam pana doktora. – Zabrzmiało to tak, jakby slyszeli się wczoraj.

– Co tam slychać w akademickim świecie?

Bazyl po studiach dostał pracę w Klinice Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej, zrobił specjalizację w uniwersyteckim szpitalu i kończył pisać doktorat.

Jak widać talent do podrywu nie był jego jedynym talentem.

– O, bracie! Nie ma żartów! Medycyna przez duże meee – zabeczła jak koza. – Nie to, co w tym waszym grajdołku.

Zawsze się tak przekomarzali. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Miejski to doskonała placówka i mało który szpital w kraju może się z nim równać. Wiadomo też było, że w tak zwanym środowisku akademickim często więcej jest zwykłej bufonady i karierowiczostwa niż rzetelnej wiedzy i kompetencji.

Aleks nigdy nie ubolewał, że nie zostanie profesorem. Nie miał naukowych ambicji.

– No właśnie, tym bardziej się dziwię, po co ta meee-  
dycyna do mnie dzwoni. Salowych zabrakło? – Aleks postanowił, że pora przejść do rzeczy. Czego ten Bazyl od niego chce? Może wyciągnąć go na wódkę? Mogłoby być przyjemnie. Jak za dawnych lat.

– Nie, ostatnio przyjęliśmy Malaka – odciął się bezczelnie Chrapek – ale... – spoważniał – do rzeczy...

– No?

– Ty, brachu, nie uwierzysz, jaką ja dostałem propozycję...

– Spróbuj, może uwierzę, daj mi szansę – rzucił kpiąco Aleks.

– Nie, no poważnie ci mówię. – Bazyl był naprawdę zaferowany. – Zadzwoił do mnie Rysiek Milewski, pamiętasz, on był rok niżej od nas, w grupie z tą rudą, no wiesz, z tą, co Gazda się spotykał, nie pamiętam, jak jej było...

– Jej było Mańka. Pamiętam, że nie wiedziałem, czy to imię, czy nazwisko. Bożena Mańka. Ale tego Milewskiego nie kojarzę jakoś... no ale nieważne, dawaj dalej...

– Internista z Chmielnej... no dobra, zobaczysz gębę, to sobie przypomnisz. Ja z nim w kosza grałem kiedyś, stąd go bliżej znam. On teraz, okazuje się, działa przy organizacji Balu Medyka, karnawałowego, w Labie.

Lab było skrótem od nazwy S.Q. LAB, kultowego klubu studentów medycyny, istniejącego nieprzerwanie od czasów przedwojennych, obecnie, po kapitalnym remoncie, przeżywającego drugą młodość już nie tylko w charakterze klubu studenckiego, ale także, można powiedzieć, środowiskowego, mającego integrować lekarską brać bez względu na wiek, specjalizację i światopogląd. Temu miały służyć różnego typu imprezy, z których najbardziej znaną i prestiżową był właśnie doroczny Bal Medyka.

– No i co? Dał ci darmowe wejściówki, że tak przeżywasz? – Bazyl miał dość irytujący zwyczaj dochodzenia do sedna przez opłotki. – Streszczaj się, chłopie...

– No już, przecież mówię, oni podobno gadali ostatnio w gronie organizatorów i z ludźmi z zarządu Laba i ponoć zgodnie doszli do wniosku, że byłoby super, gdybyśmy my, no wiesz...

– Nie, no Bazyl, ty mi tylko nie mów, że to jest to, co myślę – przerwał mu przerażony Aleks.

– No właśnie... żebyśmy zagrali. Znów, po latach. Jako gwiazda... na tym balu... no... – sapnął Bazyl.

– No chyba twój! – wykrzyknął Aleks, używając ich kultowego powiedzonka, pełniącego taką samą funkcję jak: „Pojechało cię!?”. No, Bazyla na pewno pojechało. Nie ma co do tego wątpliwości. – Ty wiesz, ile ty masz lat? W lustro spójrz, gwiazdo od siedmiu boleści. No nie, pęknę ze śmiechu, Bazyl, czy ty kiedyś wydorosłeś? Pozwól, że ci przypomnę, my nie jesteśmy Pink Floyd, żeby nasz występ po latach był muzycznym wydarzeniem. Chyba ci się nudzi.

– Otóż wyobraź sobie, że się mylisz – Bazyl przeszedł do kontrataku.

– To znaczy, że jesteśmy Pink Floyd? Bazyl, weź apap, masz gorączkę!

– Nie, to znaczy, że to będzie wydarzenie. Milewski mówi, że jak padł pomysł, to się wszyscy na zebraniu organizacyjnym podjarali, i że każdy pamiętał naszą kapelę, a niektórzy nawet poszczególne kawałki. Nawet nucić zaczęli. Stary, my, kurna, byliśmy popularni!

– Jasne, zaraz się popłaczę ze wzruszenia. Jak mi jeszcze powiesz, że ktoś chce za to jakąś kasę dać, to schodzę z dyżuru i lecę na próbę.

– Niestety – westchnął Bazyl – w temacie *Money for Nothing* wyraźny nacisk na to drugie. Ale za to *chicks for free* – dodał wesolutko.

– Tak, tylko wszystkie po czterdzieście – mruknął Aleks.

– Nie marudź, będzie wesoło...

– O taaak, w to nie wątpię. Było miło i przyjemnie, była

dupa... ale ze mnie! – Aleksowi to powiedzonko wydało się wyjątkowo adekwatne do sytuacji. – Gadałeś z Barrym i Larrym? W nich cała nadzieja na ostatnie słowo rozsądku – rzucił głosem kaznodziei.

Barry i Lany, czyli bliźniacy Adam i Mirek Grossowie, tworzyli wyjątkowo zgrany, szarpany duet. Próżno było szukać formacji mającej w swoich szeregach gitarzystę i basistę bardziej do siebie pasujących. Właściwie mogli w dowolnym momencie koncertu wymienić się instrumentami i pewnie nikt by nie zauważył różnicy. Dziwne, gdyż prawdę mówiąc, bardzo często grali upiornie nierówno, co doprowadzało Bazyla do szewskiej pasji.

No cóż, trzeba przyznać, że był naprawdę doskonałym perkusistą, a szarpani, niestety, miernymi muzykami. Aleks jednak nie pozbyłby się ich za żadne skarby świata, nawet gdyby upomniął się o nich Prince do swojej nowej płyty.

Barry i Larry mieli po prostu serce do grania.

Jedno. Na dwóch.

– Rozmawiałem – odparł Bazyl tajemniczo.

– No i...? – Aleks zawiesił głos w nadziei, że bliźniacy wysmiali Bazyla tak samo jak on.

– Byli zachwyceni! – Chrapek triumfował.

– No to mamy przesrane – rzucił filozoficznie Aleks, ale w głębi duszy zaczynał się cieszyć na to granie z przyjaciółmi. Entuzjazm Bazyla był najwyraźniej zaraźliwy. – To kiedy pierwsza próba? – spytał rzeczowo.

– Liderze, decyduj! – wykrzyknął Bazyl z emfazą.

– Czwartek.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Gdy skończyli rozmawiać, Aleks przez dłuższą chwilę

zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że się zgodził. Boże, jak on już jest daleko od takiego życia. Tyle się w międzyczasie wydarzyło. Miał żonę, nie ma żony, miał rodzinę, nie ma rodziny.

Slogan *sex, drugs and rock'n'roll*, który niezmiennie przyświecał przyjaciółom z zespołu i ich kumpłom oraz kręcącym się zawsze koło nich panienkom, w jego przypadku ograniczał się do trzeciego członu w wersji odtwórczej.

Rock'n'roll leciał z odtwarzacza. W samochodzie.

Przed oczami stanęły mu obrazy z czasów spędzonych z Ewą.

Z tych najlepszych.

Z tych bez kłótni, zarzutów, udowadniania racji, wymagań i fochów. Potrafili wtedy jechać na koncert Pearl Jam do Berlina, podejmując decyzję godzinę przed wyjazdem, po prostu tankując samochód i ruszając w drogę. Fakt, że nie mieli biletów, był wbrew pozorom dodatkową atrakcją, a nie, jak mogłoby się wydawać, przeszkodą. Albo organizowali imprezę praktycznie z minuty na minutę, ot tak, po prostu zapraszając znajomych, żeby wpadli. Później zaczęli sobie wmawiać, że właściwie nic się nie zmieniło, że tylko brakuje czasu, bo przecież dojrżeli i ponoć wydorośleli.

Ale to nie była prawda. Kiedyś mieli energię, radość bycia razem bez względu na to, gdzie się znajdowali i co robili.

A później już nie.

Brakowało mu tego.



Te smutne refleksje przerwało pukanie do drzwi dyżurki.

– Proszę! – zawołał, mając nadzieję, że zobaczy uśmiechniętą twarz Moniki Szymańskiej.

Ale kroki, które usłyszał zaraz po otwarciu drzwi – wolne szuranie – dawały pewność, że zbliżającą się osobą nie jest Monika.

To były kroki Władysława Szymańskiego.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie doktorze.

– Nie przeszkadza pan, proszę wejść, panie Władysławie.

– Przyniosłem te zdjęcia. Wreszcie.

– Dziękuję, proszę usiąść. – Aleks wziął od Szymańskiego dużą szarą kopertę. Zauważył, że chory jest bardzo osłabiony, jakby pobyt w szpitalu powoli wysysał z niego życie. – Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję. – Szymański mówił powoli, z wysiłkiem. – Prawdę mówiąc, połykanie nie jest od pewnego czasu moją ulubioną czynnością. – Uśmiechnął się smutno.

Wendt podziwiał spokój i siłę tego człowieka. Obserwował go od pierwszych dni pobytu na oddziale i był pod wrażeniem jego osobowości. Nawet w obliczu zbliżającej się śmierci Szymański potrafił zachować coś, co Aleks nazwał zdystansowaną godnością. Czasami odnosiło się wrażenie, że Szymański jest komentatorem rzeczywistości, że to, co się dzieje, choć bardzo dramatyczne, w ogóle go nie dotyczy, rozgrywa się gdzieś obok i jest przedmiotem chłodnej analizy.

Jak silny trzeba mieć charakter, żeby z takim spokojem obserwować własne umieranie?

I czy rzeczywiście budzi to tylko podziw, czy podziw i przerażenie?

Aleks wyjął z koperty plik klisz rentgenowskich dużego formatu. Były to zdjęcia tomograficzne szyi chorego.

Nowotwór Władysława Szymańskiego ukazany był w kolejnych przekrojach, od małego ziarenka do dużej rozlanej masy.

Zdjęcia pochodziły sprzed kilkunastu tygodni. Rak był wtedy zdecydowanie mniejszy niż obecnie.

Aleks potrzebował ich, żeby ocenić dynamikę zmian. Musiał porównać je ze zdjęciami wykonanymi przed kilkoma dniami. Wiadomo, że guz przez ten czas się powiększył, do stwierdzenia tego nie trzeba żadnych zdjęć. Istotne jest jednak nie to, jak bardzo urósł, tylko w którym kierunku.

Rak Władysława Szymańskiego rósł umiarkowanie szybko, ale, niestety, w bardzo niedobłą stronę.

Zamiast naciekać gardło w głąb zachyłku gruszkowatego lub na zewnątrz, gdzie mógłby rozwijać się relatywnie długo, nie czyniąc aż tak wielkich szkód, on, niestety, wybrał sobie kierunek na krtań, wgrzyzając się w jej ścianę i przemieszczając w jej światło.

A to oznacza tylko jedno: niedługo to światło się zamknie. Szymańskiego czeka powolna śmierć przez uduszenie.

– No, minę ma pan nietęgą, doktorze. Chyba ze mną bardzo źle – odezwał się chory.

– No cóż... – Aleks nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Doktorze, tylko błagam, niech pan nie owija w bawełnę. Mam prawo znać prawdę i proszę mi go nie odbierać. – Głos Szymańskiego był słaby, ale stanowczy.

– Dobrze, panie Władysławie, postaram się wyłożyć sprawę jasno i zwięźle. Otóż dynamika rozwoju pańskiego guza wskazuje na złe rokowanie. A mówiąc wprost, nowotwór powoli, ale systematycznie niszczy krtań i należy się liczyć z tym, że w bliższej lub dalszej przyszłości po prostu ją zamknie. – Aleks przez chwilę pokazywał pacjentowi na zdjęciach plamy przedstawiające kolejne fazy rozwoju raka, tłumacząc specyfikę zmian i grożące konsekwencje.

– Rozumiem – powiedział w końcu chory.

Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Był blady, ale trudno powiedzieć, czy przyczyną tego jest to, co usłyszał, czy może padające pod kątem światło. Patrzył Aleksowi prosto w oczy. Lekarz poczuł dreszcz na plecach.

– Nie chcę w tej chwili o niczym przesądzać. – Aleks nie mógł wytrzymać tego spojrzenia, zajął się więc wkładaniem zdjęć do koperty, jednego po drugim. – Decyzja nie może być podjęta tylko przeze mnie, muszę ją skonsultować z ordynatorem, ale uważam, że bezwzględnie konieczny będzie zabieg operacyjny...

– Domyślam się – przerwał mu Szymański – że ten zabieg nie wyleczy mnie nagle w magiczny sposób. Gdyby tak było, przeprowadzono by go dawno temu, prawda?

– Tak, ma pan rację. Nie mówię o zabiegu radykalnym. Nie usuniemy całego guza. To raczej pewne.

– Więc po co ten zabieg? – Szymański sprawiał wrażenie, jakby dobrze wiedział, po co. A mimo to stanowczo domagał się wyjaśnień.

Aleks zaczął się zastanawiać dlaczego. Chce go przyłapać na kłamstwie? Na próbie pocieszenia, zatajenia, jaka jest naprawdę sytuacja?

– Zmniejszymy masę guza – zaczął ostrożnie – przez co nieco spowolnimy jego rozwój... – Zawiesił na chwilę głos, ale wyczekiwanie w spojrzeniu Szymańskiego kazało mu kontynuować. – Poza tym, a może przede wszystkim, sprawimy, że będzie pan mógł oddychać – zakończył z ulgą.

– Rurka? – Tylko jedno słowo. Zabrzmiało trochę jak zakłęcie.

– Tak. – Nie było sensu się nad tym rozwodzić. Wszystko jasne.



– A więc mam być jak ci nieszczęśnicy tutaj?  
– W przeciwnym wypadku pan umrze, panie Władysławie. – To miał być ostateczny argument, ale gdy Aleks wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że zabrzmiały trochę śmiesznie, jak głupia pogróżka. Przez chwilę miał ochotę się roześmiać. Boże, to przemęczenie, za dużo dyżurów, pomyślał.

Roześmiał się za to Szymański.

Jego śmiech był szczery. Nie miał nic z teatralności, nie pobrzmiwała w nim nuta hysterii. I to było przerażające.

– A to niezłe – zaśmiewał się. – W przeciwnym wypadku umrę. To mi dopiero wiadomość. Ale się przestraszyłem.

– Panie Władysławie, chciałem przez to powiedzieć... – Aleks był zupełnie zbity z tropu.

– Przepraszam, panie doktorze. – Szymański spoważniał. – Doskonale wiem, co chciał pan powiedzieć, i nie mam zamiaru się z tego naśmiewać. Wkurzyło mnie tylko, gdy pan powiedział, że decyzję co do ewentualnych działań musi pan skonsultować z ordynatorem.

– Bo muszę... – Aleks zastanawiał się, do czego chory zmierza.

– Pragnę jednak zaznaczyć, że to nie ordynator ani również nie pan, doktorze, będzie leżał jak warzywo z rurką w gardle, pozbawiony możliwości wypowiedzenia nawet tak wiekopomnych słów jak „pocałujcie mnie w dupę”. Nie chcę znaleźć się w takiej sytuacji, rozumie pan? Co z tego, że pożyję trochę dłużej? Chodzi o jakość tego życia, proszę pana. Wy, lekarze, zaślepieni chęcią ratowania życia za wszelką cenę, w ogóle nie bierzecie tego pod uwagę. A życie to nie tylko czynności fizjologiczne, to coś o wiele więcej, a ja nie

chcę być tego czegoś pozbawiony. – Ostatnie słowa Szymański wypowiedział głośno i gniewnie. Ironia i spokój znikły.

– Oczywiście do przeprowadzenia zabiegu wymagana jest bezwzględnie pańska zgoda, i to na piśmie – zapewnił pospiesznie Aleks. – Nikt nie ma zamiaru tego podważyć, proszę mi wierzyć.

Szymański poprawił się w fotelu. Oddychał ciężko, próbując się uspokoić.

Odwrócił głowę i przez chwilę patrzył w okno, jakby był sam. Potem zamknął oczy i przez ułamek sekundy Aleksowi wydawało się, że zrobiło mu się słabo.

Ale po chwili Szymański spojrzał przenikliwie na Aleksa, po czym pochylił się w jego stronę i powiedział cicho:

– Doktorze Wendt, powiem panu, jakie jest moje zdanie. Mam nadzieję, że zabrzmi równie śmiesznie, jak pańska propozycja...

Ale żadnemu z nich nie było w tym momencie do śmiechu.

– Po moim trupie.

Szymański wstał i wolnym, ale pewnym krokiem wyszedł z dyżurki, nie oglądając się za siebie.

I dobrze, że się nie obejrzał, bo nie zobaczył łez w oczach lekarza.

## Rozdział 8

Od długiego czasu był tylko jeden powód, dla którego Aleks lubił weekendy. Powód miał siedem lat, wiecznie potarganą, krótką blond czuprynkę i ogromne niebieskie oczy, jak zwykł mawiać dziadek: „po hydrauliku, bo u nas w rodzinie nikt takich nie miał”.

Gdyby nie Marysia, weekendy byłyby nie do zniesienia.

Kiedy mieszkali razem, było zupełnie inaczej. Jeżeli tylko nie miał dyżuru, zawsze wymyślali coś z Ewą, żeby mała miała chwilę radości spędzoną z zapracowanymi w tygodniu rodzicami. A to basen, a to ślizgawka czy wypad za miasto. Aleks uwielbiał wymyślać coraz to nowe wyzwania.

To był najpiękniejszy czas w jego życiu.

Na pewno trochę go idealizował, to normalne, ale po wyprowadzeniu się ze wspólnego domu, wciąż niewykończonego, z wiecznie zaniedbanym ogródkiem, ale jednak przytulnego, do sterylnego, zimnego mieszkania, weekendy, podczas których nie mógł się spotkać z córką, były bezbarwne i jałowe. Nie pomagała świadomość, że wreszcie ma swobodę, na której brak tak często przecież narzekał, że może spokojnie poczytać czy obejrzeć mecz, wyskoczyć na piwo, pobiegać. O tak, teraz może obejrzeć wszystkie mecze świata,

jeden po drugim, przeczytać całą Bibliotekę Narodową, ale na żadną z tych rzeczy nie miał ochoty.

Podobnie było z balowaniem. Kiedy w czasie małżeństwa musiał wymykać się na imprezę z kumplami, nierzadko wymyślając karkołomne usprawiedliwienia, to dopiero była frajda. Było w tym coś z harcerstwa i szpiegowskich akcji. Teraz powoli uzmysławiał sobie, że nie są już na studiach, że większość kolegów ma ułożone lepiej lub gorzej życie i że kawaler z odzysku tak naprawdę jest dla wszystkich tylko kłopotem.

Prawdą jest więc, że kiedy Marysia była chora lub wyjeżdżała dokąds z matką, już w sobotę Aleks najzwyczajniej w świecie wpadał w megadeprechę. Długo spał, pałętał się bez celu po mieszkaniu, nie chciało mu się nigdzie wychodzić, a zdarzyło się raz i drugi, że spędził wieczór w wyjątkowo zajmującym towarzystwie butelki Jacka Danielsa, uzalając się nad sobą.

Dzisiaj jednak było zupełnie inaczej. O czternastej odbierał Marysię od matki i miał zamiar zrobić jej niespodziankę.

Zabierał ją na próbę zespołu.

Początkowo nie był zachwycony propozycją Bazyla, żeby kolejny raz pograć w sobotę. Po pierwsze, był zmęczony i przygnębiony ostatnimi dniami w pracy, po drugie, chciał spędzić jak najwięcej czasu sam na sam z córką.

Ale po pierwszej próbie bakcyl muzyczny znów zaatakował. To było jak niewyleczona do końca infekcja. Przypominał sobie przedkoncertową adrenalinę, satysfakcję, gdy dobrze wykonał jakiś kawałek, poczucie wspólnoty z kolegami.

Postanowił więc zabrać córkę ze sobą. Zresztą jeżeli ma się czegoś od ojca nauczyć, skorzystać na spotkaniach z nim, to

musi go poznać z każdej strony i wiedzieć, co robi.

Zatrzymał samochód przed bramą.

Przechodząc przez ogródek, poczuł ukłucie w sercu.

Dokładnie takie samo jak za każdym razem.

Matko, a tuje ciągle nieprzycięte, pomyślał. A miał to być piękny i zadbany ogródek. No cóż, widać Ewie na tym nie zależy.

Przyspieszył kroku i znalazł się przy drzwiach, na których wisiała ciągle ta sama staromodna kołatka.

Zapukał dwa razy.

Minęło zaledwie kilka sekund i Ewa otworzyła drzwi. Jak zwykle Marysia kilka minut przed umówioną godziną kręciła się po przedpokoju, nerwowo poszukując kolejnych części garderoby, zmieniając to płaszcz, to rękawiczki, bo te przecież zupełnie nie pasują, czym doprowadzała mamę do rozpacz.

Wiadomo, królowny tak mają.

– No cześć – rzuciła Ewa niechętnie. – Wejdiesz?

Nie zabrzmiało to jak zaproszenie. Zresztą Aleks nie zamierzał przebywać w towarzystwie byłej żony dłużej niż to konieczne. Czuł się jak intruz i nie mógł uwierzyć, że z tą kobietą coś go kiedyś łączyło.

– Nie, dzięki, spieszymy się – odrzekł.

– A dokąd to się dzisiaj wybieracie? – zainteresowała się Ewa.

– Ooo, to jest niespodzianka, którą przygotowałem dzisiaj dla tej eleganckiej niewiasty. – Aleks uściskał dziewczynkę, która tymczasem zdążyła zawisnąć na jego szyi.

– A propos, czy możesz jej wytłumaczyć, że słomkowy kapelusz z wakacji nie pasuje do wełnianego płaszcza?

Aleks nie cierpiał tego chwytu. Ewa jak zwykle próbowała osiągnąć efekt wychowawczy, wykorzystując jego. Pod tym względem była niereformowalna.

Zawsze miał na końcu języka jakąś ciętą uwagę, ale dawno postanowił, że nie da się sprowokować.

– Milady, myślę, że powinnaś wziąć pod uwagę opinię pani stylistki. W końcu to wybitny fachowiec od mody.

Ewa spiorunowała go wzrokiem, ale Marysia posłusznie zdjęła kapelusz i założyła białą wełnianą czapkę, co oznaczało, że kryzys został zażegnany.

– Tylko proszę cię, bez wariactw. – Troskliwa matka musi mieć ostatnie słowo.

– Eee, to nigdzie nie idziemy. – Nie mógł sobie odmówić drobnej uszczypliwości.

Marysia zachichotała. Piorun wzroku Ewy uderzył po raz drugi. Całe szczęście mała, już gotowa, wybiegła na dwór, zatrzaskując za sobą drzwi.



– Tatusiu, co to za niespodzianka? Jedziemy do zoo? – Marysia była podekscytowana.

– Nie, ale odwiedzimy dość podobne miejsce. – Aleks zrobił minę szeryfa z Nottingham, czyli uniósł jedną brew, przymykając oko, co oznaczało, że informacji tej nie należy brać zbyt poważnie.

Marysia uwielbiała takie abstrakcyjne przekomarzanki.

– Jakie miejsce jest podobne do zoo? Park?

– No tak, moja córka znów została Dzieckiem Dosłownym. Nie zgadniesz, moja droga... otóż... jedziemy na próbę! – zakończył z patosem.

Dziewczynka osłupiała.

– To znaczy, że potem wrócimy i pojedziemy jeszcze raz, tym razem na dobre? – Marysia za żadne skarby nie chciała zostać Dzieckiem Dosłownym, ale widać było, że temat wyraźnie ją przerasta. Była zdezorientowana.

Jednym słowem, niespodzianka się udała.

– O Jezu, córeczko, nie. Jedziemy normalnie, tylko na próbę. To znaczy na próbę zespołu. Muzycznego.

– A, taką próbę... – Dziewczynka nie mogła się zdecydować, czy się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Milczała przez chwilę, pijąc przez słomkę sok jabłkowy.

– Tatusiu, czy to ten zespół, co mama o nim opowiadała, że tam śpiewałeś, jak ja byłam całkiem malutka?

– A co opowiadała?

– Że wtedy byłeś bardzo ładny.

– Ha, ha, a teraz nie jestem? – Aleks był szczerze rozbawiony, ale starał się tego nie okazywać.

– Teraz mama już tak nie mówi.

Marysia na chwilę posmutniała. Widać było, że dobrze wie, co się dzieje z ich rodziną. Już nie jest małym dzieckiem. Po chwili postanowiła jednak wziąć się w garść.

– Ale nie martw się – powiedziała buńczucznie – teraz ja tak mówię: jesteś ładny!

Aleks mocno ją przytulił. Jak to dobrze, że ją ma.



Po godzinie próby Larry i Barry wciąż grali nierówno. Bazyl się wkurzał, tym bardziej że sytuacja była dziwna, bo to raczej gitara grała równo z perkusją, tworząc, jak to wykrzyczał,

„opozycyjną sekcję rytmiczną”, w stosunku do której, niestety, bas wypadł horrendalnie krzywo.

Blizniacy pocili się, klnąc pod nosem, bo głośno, przy dziecku, przecież nie wypada.

Dziecko natomiast bawiło się wspaniale. Na początku Marysia była zestresowana, oglądała tylko z zaciekawieniem sprzęt, ale po pół godzinie podskakiwała w rytm muzyki. Najpierw na bok powędrowała kurtka, a później sweterek. Coraz bardziej podobała jej się niespodzianka przygotowana przez tatę. Dodatkową atrakcją był teatrzyk odgrywany w przerwach przez podstarzałych rockmanów, którzy kłócili się, pocili, przeklinali, robili śmieszne miny i powtarzali w nieskończoność poszczególne kawałki.

Im bardziej było nierówno, tym zabawa była lepsza.

Aleks czuł się dziwnie lekko i spokojnie. Patrzył na córkę i przyjaciół i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odpływały wszystkie zmartwienia i stres.

Wreszcie był choć trochę szczęśliwy. Nie wiedział dokładnie, co wywołało taki stan, przecież to tylko próba zespołu, a jednak.

W końcu przestał się nad tym zastanawiać i wczuł się w muzykę.

Śpiewało mu się coraz lepiej. Powoli, z każdą zwrotką, z każdym refrenem wracały wspomnienia z cielecych lat.

Uwielbiał śpiewać.

Już jako kilkuletni chłopiec stawał w swoim pokoju przy „mikrofonie”, jak nazywał wyjmowaną w tajemnicy przed rodzicami podpórkę do kwiatów z nasadzoną na nią kuchennym sitkiem, i koncertował wniebogłosy.

To była jego ulubiona zabawa.



Może dlatego, że jako jedynek, dziecko zapracowanych rodziców, spędzający dużo czasu sam, miał dosyć ciszy, a może dlatego, że nieprzewidywalna jak zwykle natura tak pomieszała geny, iż jemu właśnie przypadł ten śpiewający.

Wiele osób, słuchając go, mówiło, że ma dar od Boga. Potrafił w jakiś tajemniczy sposób skupiać na sobie uwagę słuchaczy. Tego nie da się wyćwiczyć, to się po prostu ma lub nie.

Jednak nigdy nie traktował śpiewania poważnie.

To ironia losu w czasach, gdy miliony miernot oddałyby życie za karierę piosenkarza: facet obdarzony takimi możliwościami traktuje śpiewanie jak zabawę, nic sobie nie robiąc z zachwyków i pochwał.

No i po co komu te geny?

Tylko raz pojawiło się wahanie. Tylko raz, gdy był młody, poważnie pomyślał, że może jednak...

To była jego tajemnica. Jego muzyczny sekret.

Stara historia z czasów studenckich, ważna tak naprawdę tylko dla niego.

Medipower było już wtedy znaną i bardzo lubianą w świecie akademickim kapelą. Głównie za sprawą Aleksa, bo przecież Lany i Barry nie grali wtedy ani trochę równiej niż teraz. To dla Aleksa stołeczne kluby wypełniały się publicznością, to jego głos został parę razy ciepło opisany w lokalnej prasie i to jego piosenka *100ry* została kilka razy puszczone na radiu. Zespół nie wykraczał poza amatorski ruch studencki, ale na scenie wypadał naprawdę zawodowo.

I wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Muffin był postacią absolutnie kultową. Ludzie mówili, że następny taki kompozytor i gitarzysta urodzi się w tym kraju za pięćset lat. Zespół No, któremu od kilku lat liderował, z

każdą płytą zyskiwał nowe rzesze fanów. Powoli odchodząc od młodzieńczego, buntowniczego, undergroundowego wizerunku, nie dał się jednak zmielić w popowym mikserze na lekkostrawną papkę i wciąż był synonimem świeżego, przemyślanego, nowoczesnie rockowego brzmienia.

I to Muffin je tworzył.

Gazety prześcigały się w relacjonowaniu wywołanych przez niego skandali, przepowiadając rychłą śmierć z przedawkowania wszelkiego typu używek, a on nic sobie z tego nie robił. Po prostu pisał coraz lepsze kawałki i nagrywał coraz lepiej się sprzedające płyty.

To właśnie wtedy zadzwonił do Aleksa.

– Wiesz, że Goldi odszedł? – zapytał bez zbędnych wstępów, gdy tylko upewnił się, że rozmawia z „tym doktorem”, jak to określił.

Też pytanie! Wszyscy wiedzieli, że Goldi zniknął. Każde dziecko to wiedziało. Od miesiąca cała bulwarowa prasa nie pisała o niczym innym, tylko podawała kolejne wersje odwykowej terapii Iva Goldmana, wokalisty No. Plotkowano, że leczy się w jakiejś luksusowej klinice za granicą albo że zaszył się z jakimś cudotwórcą od leczenia uzależnień na Mazurach. Że tak naprawdę wyjechał do Stanów, gdzie zamierza zrobić karierę. A w ogóle to jest nieuleczalnie chory i pozostało mu kilka miesięcy życia. Jak było, nie wiadomo, fakt faktem, że Goldiego wzięło, a jego następcy wciąż nie było.

– Pewnie, że wiem – odrzekł Aleks.

– To może wpadłbyś do nas na próbę? Podobno dajesz radę. – Muffin nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić Aleksowi, skąd o tym wie.

– No daję – potwierdził Aleks, trzymając się konwencji rozmowy.

Muffin podał mu adres i odłożył słuchawkę, nie przejmując się tym, czy Aleks zdążył go zapisać. Pewnie, w końcu „ten doktorek” nie jest jedynym wokalistą na świecie.

Dwa dni później miał okazję zaśpiewać największe hity ostatnich lat.

I *Orange lady*.

I *Maximum*.

I wszystkie inne.

Bite dwie godziny.

Wypadło genialnie. Kapela grała o trzy klasy lepiej niż jego chłopaki, a magia fantastycznych utworów prowadziła Aleksa przez kolejne frazy, na granicy podświadomości, zawsze tam, gdzie głos powinien uzupełnić brzmienie instrumentów.

Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Nigdy tak bardzo nie zagłębił się w muzykę. Nigdy nie wlała się do jego wnętrza, poruszając każde, najdrobniejsze zakończenie nerwowe. Śpiewał jak natchniony.

– Kurwa, chłopie, ty jesteś lepszy niż Goldi. – Muffin, który w czasie próby nie odezwał się ani słowem, po zakończeniu grania nie krył zadowolenia.

– Bo chyba trochę mniej ćpa. – Siermiężny dowcip Egon, basisty zespołu, nie spotkał się z aprobatą lidera.

– Zamknij się, Egon, o przyjacielu mówisz! Dobra, Aleks. – Po raz pierwszy Muffin zwrócił się do niego po imieniu. – Przemyśl to sobie. Możesz zacząć od zaraz. W przyszłym tygodniu gramy w środę w Katowicach i w weekend we Wrocławiu.

Wstał, włożył gitarę do futerału i wyszedł, jakby uznał, że sprawa jest załatwiona, że się dogadali. Lecz Aleks do niego zadzwonił. I znów było lakonicznie.

– Wiesz, Muffin, ja chyba jednak zostanę lekarzem – powiedział po prostu.

– Taak, a ja myślałem, że na tej planecie nie ma ludzi bardziej pojebanych ode mnie – stwierdził Muffin pośpiesznie.

I odłożył słuchawkę.



Po próbie w doskonałych nastrojach siedzieli sobie we dwójkę w Pizza Hut przy dużej pepperoni.

– I co, fajna była niespodzianka? – Aleks z radością patrzył na zadowoloną buzię Marysi.

– Suuuper – sapnęła, odgryzając duży kawałek pizzy i popychając go pieczywem czosnkowym.

Jak zwykle.

Przez chwilę panowała cisza, tylko od czasu do czasu przerywana mlaskaniem. Nagle Marysia spoważniała i zadała mu pytanie:

– Tatusiu, dlaczego ty właściwie zostałeś lekarzem?

– Bo to piękny zawód – odpowiedział Aleks równie poważnie.

Był zdecydowanym przeciwnikiem traktowania małej protekcyjnie, co często robiła Ewa. Tłumaczył jej wiele razy, że dzieci mają swoje problemy, do których podchodzą poważnie, i pytania, na które powinny otrzymywać poważne odpowiedzi. Ale najczęściej, niestety, wygrywała koncepcja „nieodbierania dzieciństwa”. Ewa na ogół zbywała małą,

udzielając jej infantylnych odpowiedzi, a tak naprawdę nie miała czasu z nią rozmawiać. Aleks zastanawiał się często, dlaczego tak walczyła, żeby Marysia została z nią. Czyżby to była jedynie sprawa ambicji?

Marysia milczała, wpatrując się w ojca, jakby czekała na to, co jeszcze powie.

– Tatuś, ty jesteś dobrym lekarzem, prawda? – zapytała, gdy Aleks się nie odezwał.

Zastanawiał się, do czego córka zmierza, i był pewny, iż nie jest to ubolewanie z powodu tego, że tatuś nie został gwiazdą rocka.

– Staram się. A dlaczego o to pytasz?

– Dziadek Karoliny z naszej klasy zmarł w szpitalu i ona mówiła, że lekarze nie mogli mu pomóc. A ja powiedziałam, że mój tata na pewno by pomógł, bo jest dobrym lekarzem. Pomógłbyś mu, prawda? – Nadzieja w jej głosie zbiła Aleksa z tropu.

– To nie jest takie proste – odparł po dłuższej chwili.

– Dlaczego?

– Czasami nawet najlepszy lekarz nic nie może zrobić. Jeżeli człowiek jest bardzo chory albo bardzo stary, to po prostu umiera. I żaden lekarz mu nie pomoże.

– Nawet gdy bardzo się stara? – Nadzieja w głosie Marysi była coraz słabsza.

– Nawet gdy bardzo się stara.

Dziewczynka posmutniała. Widać było, że śmierć w rodzinie przyjaciółki wywarła na niej duże wrażenie. Wdarła się do beztroskiego, dziecięcego świata, nie pytając o pozwolenie. Marysia siedziała przygarbiona i rysowała widelcem wzorki z keczupu.

Aleks też stracił humor.

Wróciło zmęczenie i przygnębienie ostatnich dni.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

Wreszcie Marysia spojrzała na niego tak smutnym wzrokiem, jakiego nigdy u niej nie widział, i powiedziała tonem dorosłej osoby:

– To chyba nie jest piękny zawód...

## Rozdział 9

Gabinet docenta Malaka był urządzony po spartańsku. Jak na „żołnierza” przystało.

Poza typowym wyposażeniem laryngologicznym – fotелеm i stolikiem z narzędziami – była tam kozetka, taka zwykła, służąca do ewentualnego badania ogólnego i neurologicznego, proste dębowe biurko i dwa fotele.

Na wszystkich ścianach wisały półki, na których stały setki książek, co ciekawe, nie tylko medycznych.

Wchodząc, odnosiło się wrażenie, że głównym elementem wyposażenia gabinetu jest... porządek.

Żadnych zdjęć, pamiątek z podróży, żadnych bibelotów. Nic osobistego.

Jedyny wyjątek stanowiła mała kolekcja modeli samolotów wojskowych, ale i ona nie była wyeksponowana, lecz wstydliwie pochowana to tu, to tam, trochę tak, jakby ktoś zapomniał ją wyrzucić podczas wiosennych porządków.

Zresztą stosunek do tego hobby najlepiej charakteryzował Malaka.

Wszyscy wiedzieli, że Docent uwielbia sklejać modele, a o lotnictwie wojskowym, od jego początków aż po dzień dzisiejszy, wie prawie wszystko.

Ale on nigdy nie przyznał się, że skleja modele, bo kocha lotnictwo.

O nie, on to robi, bo modelarstwo to dla chirurga doskonałe ćwiczenie manualne.

W przeciwieństwie do typowych hobbystów, którzy o swojej pasji potrafią mówić godzinami, Malak za jakąkolwiek rozmowę na jej temat w godzinach pracy ukarałby zapewne surowo wszystkich jej uczestników ze sobą włącznie.

Cały Docent.

– Proszę, proszę, doktorze Wendt – zwrócił się do wchodzącego Aleksa. – Niech pan siada.

Aleks zajął miejsce w jednym z wygodnych foteli. Zapadł się w nim głęboko i po chwili poczuł dość niezręcznie, bo wyglądało to trochę, jakby wpadł na koniaczek, a nie w służbowej sprawie. Przesunął się więc do przodu, siadając na brzegu fotela. Teraz wyglądał pewnie jak przerażony interesant.

Jakoś głupio.

Wrócił do poprzedniej pozycji.

Na szczęście Docent notował coś zapamiętane i nie zauważył tego „tańca z owsikami”, jak Aleks nazwał w myślach swoje zachowanie.

Po chwili Malak podniósł wzrok znad notatek i zdjął okulary.

– Słyszałem, że niedługo przeobrazi się pan w gwiazdę muzyki – zagaił z kwaśnym uśmiechem.

Aleks zastanawiał się przez chwilę, czy to może łagodna forma wypowiedzenia pracy i czy reakcją powinno być natychmiastowe, pełne pokory udanie się na poszukiwanie wiejskiego ośrodka zdrowia, gdzieś w promieniu stu kilometrów od stolicy, który mógłby być ewentualnym miejscem



zasłużonej pokuty nieodpowiedzialnych laryngologów.

– No cóż, panie docencie... – zaczął z miną mającą wyrażać skruchę.

– Brawo, młody człowieku. Sztuka to doskonale uzupełnienie dla medycyny – nie pozwolił mu dokończyć Malak. Aleks nie był pewny, czy to tylko wstęp do katastrofy i czy ten miły ton jest taktyczną zmyłką. Może docent chce uspić jego czujność, by po chwili wykrzyczeć, co myśli na temat głupkowatych wyczynów poważnego lekarza.

Ordynator był w Miejskim na laryngologii władcą absolutnym.

Władcą dusz i umysłów, a nie tylko godzin i miejsca pracy. Na planecie Docenta Malaka lekarz był w pracy, nawet kiedy spał, i nieliczące z właściwą postawą sny również mogły zostać poddane surowej krytyce i doczekać się surowej kary.

Aleks postanowił więc się nie odzywać i czekać.

– Lekarz musi mieć możliwość odreagowania – ciągnął Malak. – To konieczne w tym zawodzie. Stres i przygnębienie, związane z ciągłym obcowaniem z ludzkim cierpieniem, muszą znaleźć gdzieś ujście. A sztuka to najlepszy sposób jego poszukiwania...

Aleks powoli upewniał się, że nic mu nie grozi. Nie wiadomo dlaczego, ta ludzka twarz ordynatora zawsze go zaskakiwała. Przecież przekonał się nie raz, że szorstki i niezbyt przyjemny w kontaktach Malak to tak naprawdę mądry i wrażliwy człowiek. Za każdym jednak razem, gdy to stwierdzał, był zdziwiony.

– Do tego potrzebny jest jednak talent. A słyszałem, że pan go ma, doktorze...

– Nie mnie to oceniać, panie docencie. Ludzie różne rzeczy mówią – rzucił Aleks skromnie.

– O pańskich zdolnościach raczej same dobre. Złych, w każdym razie, nie słyszałem. Zresztą chętnie się przekonam. Moja edukacja w zakresie nurtów muzycznych zatrzymała się co prawda na etapie Franka Sinatry, ale jestem raczej wdzięcznym słuchaczem.

Aleksa znowu ogarnęło przerażenie.

Ostre gitarowe brzmienia Medipower mają tyle wspólnego z Frankiem Sinatra, co przemarsz stada słoni z mistrzostwami Europy w jeździe figurowej na lodzie.

Egzekucja więc została zaledwie odroczone.

– Czy mogę wręczyć panu docentowi zaproszenie? – zapytał ze słabą nadzieją w głosie. Ostatniej szansy mógł upatrywać w tym, że deklaracja chęci ze strony szefa nie przerodzi się w czyn.

– Dziękuję bardzo, już mam. – Ostatnie złudzenia przysły jak bańka mydlana. – Dostałem od profesora Niedzielskiego z ortopedii z Akademii. Miał jedno na zbyciu. Tak więc proszę się strzec – rzucił Malak z uśmiechem. – No dobrze, muzyka piękna rzecz, ale wypadaloby też może trochę popracować. – Docent dał w ten sposób do zrozumienia, że czas na pogaduszki się skończył. – Co to za problem z tym Szymańskim? – Jego ton stał się nagle poważny i służbowy.

Aleks szczegółowo zreferował historię choroby pacjenta. Wiedział, że może być wypytywany o najdrobniejsze szczegóły, bo znajomość wszystkiego, co dotyczy chorego, była dla Malaka wręcz obsesyjnie istotna. „Nie wyleczysz człowieka, jeśli go nie znasz”, mawiał.

Po zakończeniu wywodu przez chwilę patrzył na zamyślonego szefa. Przeszło mu nawet przez myśl, że starszy pan zasnął.

– Dobra, proszę pokazać te zdjęcia – usłyszał jednak po chwili.

Tomogramy krtani powędrowały kolejno do przeglądarki rentgenowskiej wiszącej na ścianie obok stolika z narzędziami. Docent przypatrywał się dokładnie każdemu z nich, choć zmiany były aż nadto widoczne.

Była to kolejna, bardzo charakterystyczna cecha ordynatora laryngologii. Ten nerwus i furiat w kontaktach z ludźmi uspokajał się podczas badania lub śledzenia wyników. Rozważał najdrobniejszy element zdjęcia, każdą, pozornie nieważną morfologię lub rozmaz krwi. Przypominał detektywa.

Aleks podszedł do przeglądarki razem z nim, ale oczywiście nie odważył się odezwać, nim pryncypał nie skończył oględzin.

– Sprawa jest ewidentna. – Malak wreszcie zdjął tomogramy z podświetlacza. Usiadł za biurkiem i gestem zaprosił Aleksa, by zrobił to samo. – Ten człowiek się udusi, i to niedługo – podsumował.

– Tak, panie docencie. – Aleks nie mógł nie zgodzić się z wersją, którą sam, relacjonując przypadek, zasugerował. – Problem jednak w tym, że chory kategorycznie odmawia zgody na jakąkolwiek ingerencję chirurgiczną.

– Nawet na tracheotomię? – Malak nie krył zdziwienia.

– Przede wszystkim na tracheotomię – potwierdził Aleks. – Nie zaakceptuje rurki.

– I jest pan pewny, doktorze, że poinformował pan go o wszystkich konsekwencjach? Że pacjent dokładnie zrozumiał, o co w tym chodzi? – Szef jak zwykle dociekał, czy wszystkie konieczne czynności zostały wykonane jak należy.

– Oczywiście. To bardzo inteligentny człowiek... o bardzo niezwykłej, silnej osobowości... Trudno z nim dyskutować. Sprawia wrażenie, że pogodził się z tym, co go czeka, że wszystko wie, że wszystko zaplanował...

– Tak... – Malak zawiesił głos, jakby chciał zmusić podwładnego do dokończenia rozpoczętej myśli.

Przez chwilę w gabinecie panowała krępująca cisza.

– On chce umrzeć, panie docencie – odezwał się Aleks i natychmiast zamilkł, jakby powiedział coś wstydliwego.

– Nikt nie chce umierać! – wykrzyknął ordynator, pochylając się nad biurkiem w stronę Aleksa.

Malak był lekarzem z powołania, a tacy potrafią zachowywać spokój, gdy ratują ludzkie życie, jednak reagują agresją, gdy są bezsilni.

Jego słowa zabrzmiały tak absurdalnie, że Aleks uśmiechnął się w duchu, bo przypomniawszy mu się zabawna historyjka, którą opowiadał mu ojciec.

Wendt senior odbywał zaraz po studiach staż na oddziale chirurgicznym u legendarnego profesora Rostkowskiego, którego pokolenie Aleksa znało już tylko z opowiadań, przekazywanych często w formie dykteryjek. Rostkowski, wielka sława chirurgii, prawdziwy przedwojenny profesor medycyny, uwielbiany przez pacjentów i podwładnych, był uroczym staruszką o błyskotliwym umyśle i wielkim sercu. Słynął z tego, że był oazą spokoju i anielskiej wręcz cierpliwości, prawdziwy flegmatyk. Miał charakterystyczną wadę wymowy, seplenił, jak mawiali starsi lekarze, w sposób historyczny, tworząc sformułowania, które przeszły do historii i które na trwałe weszły do słownika studentów i lekarzy.

Stanisław Wendt, jako młody stażysta, przed wielu laty

uczestniczył w obchodzie na chirurgii prowadzonym przez Rostkowskiego. Spokojny zazwyczaj profesor, poinformowany przez pielęgniarkę oddziałową o nagłym zgonie chorego, którego operował kilka dni temu, a który dobrze rokował, wpadł w szal i śliniąc się obficie, wyseplenił: „Siostró, ja w ogóle słyszeć nie chcę, że pacjent umarł!”.

Aleks na to wspomnienie z trudem zachował powagę.

To wszystko przez nerwy i przemęczenie, skrytykował się w duchu. Za dużo dyżurów.

Ta chwila milczenia wyszła mu na dobre, bo docent nieco się uspokoił.

– Medycyna to nie poletko do rozważań dla domorośłych filozofów, doktorze Wendt – odezwał się Malak, akcentując każde słowo. – To sztuka pomagania ludziom. W niektórych przypadkach, można by rzec – nie lada sztuka.

– Ależ, panie docencie, to właśnie chciałem powiedzieć. – Aleks nie był do końca pewny, co właściwie chciał powiedzieć, ale nie czuł się na siłach polemizować z szefem. – W ostateczności, jeżeli nie będzie innego wyjścia, wykonamy tracheotomię w fazie asfiksji, ze wskazań życiowych.

– I co, będziemy tak sobie patrzyli, jak facet się dusi, jak chwyta łapczywie powietrze? Jak powoli sinieje, jak jego oczy nabiegają krwią... – Malak specjalnie odmalował tak straszny obraz, chcąc wyrzucić na słuchacza jak największe wrażenie. – ...i będziemy dla zabicia nudy toczyli etyczne pogawędki na temat tego, czy już powinniśmy interweniować, czy jeszcze może mamy czas na herbatkę! – Znów podniósł głos.

– No to co ja mam zrobić, panie docencie? – Aleks marzył o tym, żeby jak najszybciej wynieść się z ordynatorskiego

gabinetu. Miał nadzieję, że Docent sam go wyrzuci, a tymczasem on tylko pogłębił jego rozterki.

Jednak Malak nagle się uspokoił i opadł na oparcie krzesła. Co znamienne, gotów zdusić w zarodku najmniejszy przejaw buntu czy choćby zwykłego nieposłuszeństwa, poproszony o pomoc lub radę, nigdy nie odmawiał.

Za to chyba wszyscy cenili go najbardziej.

– Spitfire – powiedział.

– Słucham? – Aleks spojrział na pryncypała, jakby ten był mieszkańcem innej planety. O co mu chodzi?

– Spitfire, angielski myśliwiec z czasów drugiej wojny światowej – wyjaśnił spokojnie Docent.

– Mhm... – mruknął Aleks, wciąż nie wiedząc, do czego szef zmierza.

– Wielu do dziś uważa, że był wolniejszy i miał dużo mniejszą siłę ognia niż konkurujący z nim podówczas messerschmitt... – Docent wskazał stojący na biurku model. Aleks nie wiedział co prawda, który z wymienionych przed chwilą samolotów ów model przedstawia, ale z oczywistych powodów nie odważyłby się zapytać.

Postarał się więc zrobić najbardziej inteligentną i zaciękwioną minę, na jaką było go stać.

– A jednak Niemcy nie wygrali bitwy o Anglię. – Nie wiadomo, czy to stwierdzenie kończy wątek, czy wręcz przeciwnie, jest wstępem do jakiejś tezy.

Aleks postanowił się nie odzywać.

– Tak więc, jak nie siłą, to sposobem, doktorze Wendt. Uniwersytet nazywano kiedyś Akademią Umiejętności. Musi pan dotrzeć do chorego, przestać być dla niego mądrą umięjącym tylko wygłaszać frazesy. Musi się pan stać w jego

oczach człowiekiem, a nie bankomatem z lekarstwami. Wtedy dopuści pana do swoich decyzji. Pora na lekarską dojrzałość, Wendt. Najwyższa pora. W razie czego proszę spytać ojca. W Internecie nie piszą, jak zostać dobrym i mądrym lekarzem. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Oczywiście, panie docencie.

– Aha, jeszcze jedno. Proszę nawiązać kontakt z rodziną. Ten człowiek ma córkę, o ile dobrze pamiętam. Była u mnie chyba dwa tygodnie temu. Sprawiała wrażenie rozsądnej. Niech ją pan poprosi o pomoc. To się przydaje. Wsparcie rodziny jest w takich momentach bardzo ważne.

– Tak jest. – To była jedyna odpowiedź, która przyszła Aleksowi do głowy.

Zamykając za sobą drzwi gabinetu przełożonego, miał złe przeczucia. Nie wiedział, czy za bardzo przejmuje się przypadkiem Szymańskiego, czy może wręcz przeciwnie, za mało.

W ogóle nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

I jeszcze Monika.

– Spitfire... jasne... – mruknął ze złością.

# Rozdział 10

Potrawka z indyka była koszmarne słona.

Boże, co za gówno, pomyślał Aleks, grzebiąc widelcem w talerzu w poszukiwaniu niezmięsanego z sosem ryżu.

Zresztą nie był głodny. Po rozwodzie przeszedł na szpitalny tryb żywienia i trzeba przyznać, że bohaterstwo znosił najbardziej nowatorskie koncepcje dietetyczne tutejszych kucharek, choć czasami miał szczerą ochotę wkroczyć do ich rondlowego sanktuarium i wylać im te pomyje prosto na łby.

Odpędził od siebie tęskne myśli o kaczce w pomarańczach przyrządzanej przez Ewę.

Poezja.

– No i co tam, doktorze Wendt? Jak przygotowania do wielkiego show? – usłyszał za sobą głos adiunkta Wydry.

Odwrócił głowę i ujrzał starszego kolegę zbliżającego się do jego stolika z tacą, na której spoczywał talerz z dużą porcją potrawy.

Miał już, co prawda, szczerze dosyć powtarzających się bez końca pytań o koncert, ale rozumiał, że w plotkarskim świątku Miejskiego bal, a w szczególności taki występ, jest wielkim wydarzeniem.

Poza tym lubił Wydrę, więc postarał się o uśmiech.



– No, to się okaże dopiero po liczbie jajek lecących w kierunku sceny – odparł wesoło.

– Z mojej strony, niestety, nic nie nadleci. Nieobecny, usprawiedliwiony. Mogę tylko życzyć powodzenia.

– A co się stało, że pan adiunkt taki mało towarzyski?

– Lecę do Berlina na targi optyczne. Może uda się naciągnąć dyrekcję na nowy mikroskop operacyjny... – Wydra włożył do ust kęs indyka. – Boże, jakie to słone! – Skrzywił się niemilosiernie. – Dlaczego mnie pan nie ostrzegł?

Aleks się uśmiechnął i już chciał coś odpowiedzieć, gdy z głośnika wiszącego nad wejściem do stołówki wydobył się charkot, a potem komunikat:

„Doktor Wendt z laryngologii proszony pilnie na oddział. Powtarzam, doktor Wendt...”.

– No to już sobie podjadłem – westchnął, ale w jego głosie próżno byłoby szukać nuty smutku. Popołudnie o suchym pysku jest jednak mniejszym złem niż wcinanie tego paskudztwa.

– To dzisiaj pański dzień konsultacyjny?

– Właśnie.

– No cóż – Wydra wskazał stojący przed nim talerz – szczerze powiedziawszy, niezbyt dużo pan traci.

– Oprócz przemilego towarzystwa – skwitował Aleks, może nieco zbyt wesoło.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Powodzenia.

Wydra to naprawdę miły człowiek.

Aleks postawił prawie nieruszony posiłek na blacie pod napisem „Zwrot naczyń”.

– Nawet zjeść spokojnie nie dadzą – rzuciła jedna z kucharek z nieszczerym współczuciem. – A taka dobra potrawka.

– Delicje – odparł Aleks z uśmiechem, który, miał nadzieję, był tak kwaśny, jak to wspaniałe danie słone.



Zaraz po wejściu na oddział zobaczył wychylającą się z dyżurki pielęgniarek oddziałową Krysie Liszkę. Jak zwykle wszystko pod kontrolą, pomyślał.

– O, dobrze, że pan jest, doktorze – powitała go. – Przepraszam, że przeszkadzam w obiedzie, ale jest pilna tamponada na pediatrii, podobno bardzo leci.

– Bardzo leci to doktor Sawicki na Beatę z laboratorium, a na pediatrii jest zapewne obfite krwawienie, pani Krysiu. – Aleks wiedział, że z oddziałową może sobie pozwolić na uszczypliwy żart.

– Żeby tak leciało, jak doktor Sawicki na tę zdzirę, to musiałyby pęknąć aorta – odcięła się Liszka.

Za to ją lubił.

– A poza tym niech pani nie nazywa tej porażki obiadem – rzucił, odwracając się w stronę wyjścia. – No dobra, idę.

Aleks rozważał przez chwilę zalety długonogiej Beaty z laboratorium, na którą, prawdę powiedziawszy, leciało pół szpitala, nie tylko Sawicki.

O mało nie zapomniał przez to zabrać z gabinetu zabiegowego zestawu do tamponady.



Po wyjściu z windy na drugim piętrze od razu znalazł się w bajkowym świecie.

Tylko że była to smutna bajka.

Wszystkie ściany na korytarzach i w salach chorych pomalowane były na wesołe kolory i aż roiły się od Calineczek, Czerwonych Kapturków i innych sympatycznych postaci. Miało to umilić dzieciom pobyt w miejscu, które samo w sobie jest zaprzeczeniem wszelkich miłych skojarzeń.

To tak, jakby ofiarom powodzi ufundować kostiumy kąpielowe albo wyprodukować krzesło elektryczne w stylu art déco.

Aleksowi zawsze przy okazji wizyt tutaj przychodziły do głowy tylko takie skojarzenia.

Idąc korytarzem, zaglądał przez przeszklone ściany do wypełnionych zabawkami pokoików.

Dzieci były z pozoru zajęte sobą, bawiły się, rozmawiały, niby nic nadzwyczajnego, ale wszystko rozgrywało się jakby w zwolnionym tempie. Nie było zwykłego dziecięcego gwaru, tej jedynej w swoim rodzaju radości, niespotykanej u dorosłych.

Nie było, bo te dzieci były dorosłe. A ta dorosłość była naznaczona cierpieniem.

I smutkiem.

I śmiercią.

Wszystkie były bardzo blade i na skutek chemioterapii prawie całkowicie pozbawione włosów. To sprawiało, że jedno było podobne do drugiego. Prawie nie do rozróżnienia.

Wrażenie podobieństwa jeszcze się pogłębiało przy spojrzeniu w oczy małych pacjentów. Wszystkie, bez względu na rozmiar i barwę, miały ten sam wyraz.

O dziwo, w tych oczach nie było strachu, nie było też żalu czy pretensji.

Była w nich tylko rezygnacja.

– Dzień dobry, doktorze Wendt – przywitała go sympatyczna jak zwykle oddziałowa. – Dziękujemy, że się pan pofatygował. Ania krwawi już od dwóch godzin. Na początku ledwo leciało, próbowałyśmy coś same do noska wpychać, co tam głowę panu zawracać, ale z piętnaście minut temu jak chlusnęło, tośmy się wszystkie przestraszyły.

– Spokojnie, zaraz coś poradzimy. – Aleks uśmiechnął się przyjaźnie.

Pielęgniarki z pediatrii są bardzo sympatyczne.

Ordynator oddziału, doktor Walbuszowa, bardzo dbała nie tylko o zawodowe kompetencje personelu, ale także, a może nawet przede wszystkim, o jego ponadprzeciętne oddanie pracy.

Nikt się temu nie dziwił, to naprawdę nie jest łatwy kawałek chleba.

Aleks wszedł do sali, gdzie na łóżeczku leżała wychudzona dziewczynka w wieku około dziesięciu lat, z głową odchyloną do tyłu. Z nosa, pomimo wystających z obu dziurerek kawałków waty, ściekały dwie równoległe strużki krwi. Dziecko leżało spokojnie, cierpliwie czekając na pomoc. Siedząca obok młoda pielęgniarka trzymała je za rękę.

– O, widzisz, Aniu, już przyszedł pan doktor. Zaraz nie będzie nic z noska leciało – powiedziała, wstając i ustępując miejsca Aleksowi.

– Dzień dobry, Aniu – przywitał się Aleks najcieplejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odparła mała cichutko. – Tylko trochę słabo. – Na jej buzi pojawił się nikły uśmiech.

To było bardzo charakterystyczne w tej grupie maluchów.

Dla nich „dobrze” oznaczało coś zupełnie innego niż dla zwykłego człowieka.

Aleks pomyślał przez moment o dzieciach, które zwykle przychodziły do niego na dyżur.

Często trafiały tam z powodu banalnych infekcji górnych dróg oddechowych, przyprowadzane przez przewrażliwionych rodziców, i były niezdolne. Jak to dzieci.

Ta dziewczynka była ostatnią, którą można by posądzić o dobre samopoczucie, a jednak leżała spokojnie i starała się być miła dla lekarza.

– Zaraz trochę zatkamy noski i już nic nie będzie ciekło.  
– Aleks zaczął powoli wyciągać z nosa dziewczynki prześiąkniętą krwią watę. Odruchowo cofnęła głowę.

– Nie bój się, kochanie. Nie będzie bolało.

– Wiem, już to miałam kilka razy.

Powoli, pewnymi ruchami tamponował nos, wprowadzając kolejne fragmenty gazy do obu przewodów nosowych.

Dziecko było rzeczywiście bardzo osłabione. Zarówno choroba, jak i leczenie odcisnęły piętno na całym organizmie. Stan ogólny był zły. Bardzo.

Wziął do ręki szpatułkę.

– Otwórz buźkę, proszę. Zajrzę teraz do gardziółka.

Mała posłusznie wykonała polecenie. Jednak nawet pełne rozwarście szczęk było dla niej wysiłkiem. Na szczęście tylna ściana gardła była sucha.

– No i po krzyku – powiedział Wendt z uśmiechem. – Do wesela się zagoi. – Poglaskał dziewczynkę po główce.

Była prawie zupełnie łysa.

– Wesele mają dorośli. – Stare porzekadło zostało wzięte na poważnie. – A ja nie będę dorosła.

– Jak to?

– Bo ja już niedługo umrę.

Aleksa zatkało.

Był przerażony nieprawdopodobną mieszaniną bólu i smutnego spokoju emanującą z tego drobniotkiego ciała. Z pomocą przysła stojąca wciąż obok pielęgniarka.

– Aniu, nie wygaduj takich rzeczy – skarciła małą. – Wyzdrowiejesz i jeszcze będziesz się bawiła z dziećmi. – Podeszła do łóżka i zaczęła poprawiać pościel.

Dobre i to. Doświadczenie pozwala panować nad emocjami.

– Umrę i pójdę do nieba. I tam będę się bawiła – dodała dziewczynka, jakby opowiadała bajkę.

Tego było już dla Aleksa za dużo. Nie czuł się na siłach, by z nią rozmawiać. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, dodać dziecku otuchy, podtrzymać nadzieję.

Ale po prostu nie potrafił. Miał ściśnięte gardło.

– Będzie dobrze, Aniu. Odpocznij teraz – wymamrotał.

– Jeżeli przestanie krwawić, jutro można usunąć tampon – powiedział do pielęgniarki, pospiesznie wpisując konsultację do historii choroby.

Chciał jak najszybciej wyjść. Uciec od nieszczęścia, którego przerastało. Przystawił pieczętkę i ruszył do drzwi.

– Dziękuję panu. Do widzenia – powiedziała mała słabym głosem, który brzmiał jak wyrzut sumienia.

– Do widzenia, Aniu. Do widzenia, siostró. – Zabrał narzędzia i prawie wybiegł, nie oglądając się za siebie.



Gdy wrócił na oddział, stwierdził, że przed drzwiami dyżurki czeka na niego niespodzianka.

Monika Szymańska chodziła spokojnie po korytarzu, rozmawiając po cichu przez komórkę. Zobaczywszy Aleksa, rozłączyła się pospiesznie i schowała telefon do torebki.

Jak zwykle wyglądała bajecznie i zbliżając się do niej, miał czas zdać sobie sprawę, że wciąż wywiera na nim takie samo wrażenie jak za pierwszym razem. Dzisiaj była w krótkim gustownym żakieciku, który doskonale pasował do grubej wełnianej spódnicy sięgającej skromnie za kolana, odsłaniającej jednak smukłe i doskonale w proporcjach łydki.

Poczuł dreszcz i lekkie swędzenie w okolicy określanej przez anatomów mianem krzyżowo-lędźwiowej.

– Dzień dobry, doktorze – powiedziała z tym swoim zabójczym uśmiechem, będącym skrzyżowaniem Mony Lisy w Luwrze z Angeliną Jolie w *Tomb Raiderze*.

– Witam, pani Moniko – odrzekł oficjalnie. – Mam nadzieję, że nie czeka pani zbyt długo.

– Nie, skądże, dopiero co wyszłam od ojca. Siostry powiedziały mi, że jest pan na konsultacji, ale niedługo powinien pan wrócić.

– No i jestem. Zapraszam – powiedział, otwierając drzwi dyżurki i puszczając ją przodem. – Proszę, śmiało. Niech się pani rozgości. Kawa? – spytał, podchodząc czajnika.

– Proszę nie robić sobie kłopotu. Chyba że pan też będzie pił. – Nie była zakłopotana, ale też starała się nie zachowywać zbyt swobodnie.

Była naturalna i wyjątkowo zmysłowa.

– Ciężki dzień dzisiaj, więc kawa w miłym towarzystwie dobrze mi robi. Mleko, cukier?

– Dziękuję. Czarna.

Siedziała przy stoliku i rozglądała się po gabinecie. W

pewnym momencie jej wzrok padł na leżące obok cukierniczki zaproszenia na bal.

Aleks od kilku dni miał niejasne wrażenie, że zaproszenia leżą w każdym pomieszczeniu, w którym się znajduje, i w jakiś niewytłumaczalny sposób zaśmiecają rzeczywistość.

Zapowiedź ich koncertu, jako głównej atrakcji, była w oczy intensywnie żółtym kolorem, używanym chętnie przez grafików opracowujących promocje w gazetkach supermarketów.

– Ooo, Medipower! Kojarzę! – wykrzyknęła Monika. – Zaraz, zaraz, jak to było... – Zmrużyła oczy, przeszukując zakamarki pamięci – jakoś tak... „Rockandrollowe doktory”...

– „...słuchaj ich, nie będziesz chory!” – dokończył Aleks i oboje wybuchnęli śmiechem.

Ten niezbyt mądry slogan był zdecydowanie bardziej znany niż jakikolwiek utwór zespołu.

Monika z zainteresowaniem przyglądała się gęsto zadrukowanej kartce.

– Doktorze, tutaj piszą, że to pan! – Miała taką minę, jakby dowiedziała się, że to on zdobył bramkę w ostatnich derbach Chelsea-Arsenal.

– Takie tam wygłupy – mruknął speszony.

Z jednej strony sprawiło mu przyjemność, że odkryła coś, co czyni go interesującym lub może bardziej intrygującym. Z drugiej – nie licowało to z jego pozycją lekarza prowadzącego, do której w ich wzajemnych kontaktach zdążył się już przyzwyczaić.

– Boże, super – dodała, nie zwracając uwagi na jego zmieszanie. Jej podniecenie było zupełnie nieadekwatne do kalibru sprawy, a jednak z całą pewnością można było stwierdzić, że nie jest udawane.



Monika Szymańska była impulsywną kobietą i Aleks powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że jest to cecha, która chyba najbardziej go w niej pociąga.

Ma temperament.

– Nie posądzałam pana o takie zainteresowania. Jest pan zawsze taki poważny. – Wprawiała go w coraz większe zakłopotanie.

– To stare dzieje. Ale nie jestem znów aż takim sztywniakiem, na jakiego wyglądam – próbował żartem wyjść z krępującej sytuacji.

Prawie się udało.

– Wcale pan nie wygląda – skwitowała, jakby znała go od dzieciństwa.

Temat wydawał się wyczerpany, co Wendt przyjął z ulgą, ale w tym momencie na twarzy Moniki pojawił się szelmowski uśmiezek. Natychmiast zmieniła go w grzeczną minkę pensjonarki, co dało komiczny, ale uroczy efekt.

– Przepraszam, że pytam, doktorze... – zaczęła niby nieśmiało, ale widać było, że wie doskonale, do czego zmierza.

– Tak?

– Może to się panu wydać zbyt śmiało z mojej strony, proszę mi powiedzieć, jeżeli to nierealne... – Coś mówiło Aleksowi, że wyraz zakłopotania na jej twarzy nie jest szczególnie szczery.

– O co chodzi? – spytał zachęcająco.

– No cóż, pomyślałam sobie, że może byłaby możliwość zobaczenia tego koncertu.

Zastanawiał się, czy ta dziewczyna potrafi również rumienić się na zawołanie.

Nie, to już byłaby przesada. Ale rumieniec jest prawdziwy, naczynia krwionośne nie kłamią.

– Ależ oczywiście – odparł szarmancko. – Proszę się czuć zaproszoną. Tylko uwaga, bal to jest wyłącznie z nazwy. W rzeczywistości to zwykła doktorska popijawa. Mam nadzieję, że się pani nie rozczaruje.

– Naprawdę to nie będzie kłopot? – Była wyraźnie podniekszycowana.

– Żaden – zapewnił Aleks w najbardziej przekonujący sposób, na jaki go było stać. Chciał mieć pewność, że Monika nie zmieni zdania. – Lab to nie Carnegie Hall, nietrudno o wejściówki – dodał z uśmiechem.

Schowała zaproszenie do torebki, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Triumfu.

– Doktorze, co będzie z ojcem? – Tej błyskawicznej zmianie tematu towarzyszyła błyskawiczna zmiana nastroju.

Monika spoważniała dosłownie w ułamku sekundy.

Kolejne zaskoczenie. Jakby po kliknięciu komputerową myszą otworzyło się zupełnie nowe okno programu.

Aleks był zdezorientowany, ale zafascynowany tą kobietą. I nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

– No właśnie – zaczął powoli – dobrze, że pani przyszła, bo chciałem o tym z panią porozmawiać, pani Moniko. Sytuacja jest, można powiedzieć, patowa. Oczywiście nikt nie może zmusić taty do poddania się leczeniu. To jest szpital, a nie kolonia karna. Pacjent ma prawo podjąć decyzję... – Zamilkł na chwilę.

– Ale? – Monika wyczuła bezbłędnie, że będzie jakieś „ale”.

– Ale można go przekonać... może...

Monika spojrzała na niego, jakby właśnie zaproponował wspólny wypad na Marsa w przyszły weekend.

– Nie zna pan mojego ojca, doktorze. Proszę mi wierzyć, mniej więcej z równym skutkiem mógłby pan przekonywać deszcz, żeby zaczął padać z dołu do góry. Jeżeli ten facet coś postanowi, to nie ma takiej siły, która mogłaby to zmienić.

– Nawet pani?

– Szczególnie ja.

– Szczególnie?

– Tak. Po pierwsze dlatego, że zawsze będę córeczką, czyli kimś, za kogo podejmuje się decyzje, a nie kimś, czyjej decyzji się podporządkowuje. A po drugie dlatego, że trudno przekonać kogoś do czegoś, do czego samemu nie jest się przekonany.

– Jak to? Nie chce pani ratować ojca?

– A mogę?

To wbrew pozorom nie było pytanie.

– Jeżeli chce się kogoś ratować – ciągnęła, patrząc przed siebie, zupełnie jakby była sama w pokoju – dobrze byłoby chociaż wiedzieć, czy jest jakaś szansa. – Odwróciła się do Aleksa i spojrzała na niego z mieszaniną ironii i smutku.

– A pani wie? – Aleks nie spodziewał się takiej reakcji z jej strony.

Co ta dziewczyna sobie myśli?

– Wiem. Mojemu ojcu nic już nie pomoże. Chyba tylko cud – zakończyła ostro.

Wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia. Po chwili jej twarz złagodniała.

– Przepraszam, panie doktorze – zaczęła zupełnie innym, serdecznym tonem. – Bardzo przeżywam chorobę ojca. Nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić. Proszę mi wybaczyć. Nie chciałam być niegrzeczna.

– Nic się nie stało. Rozumiem panią doskonale.

- Muszę to sobie poukładać w głowie. Jeszcze o tym porozmawiamy.
- Z pewnością. Gdyby pani czegoś potrzebowała...
- Dziękuję, dam sobie radę. – Uśmiechnęła się smutno. – Do zobaczenia.



Aleks usiadł przy stoliku, wypił ostatni łyk kawy i wybrał numer.

– Halo? – usłyszał w słuchawce dziecięcy głos. Nie wiadomo dlaczego poczuł ulgę.

- No cześć, córeczko.
- O, cześć, tato. Stało się coś?
- Nie, tak dzwonię.
- Głos masz jakiś smutny.
- A bo ciężki dzień miałem.
- Ale już wszystko dobrze?
- Tak, już wszystko dobrze.
- Chcesz mamę do telefonu?
- Nie... nie trzeba... tak tylko chciałem powiedzieć, że cię kocham.
- Na pewno wszystko dobrze?
- Na pewno.
- Ja też cię kocham, tatku.

# Rozdział 11

Zebranie było nudne jak flaki z olejem.

Gdyby Aleks miał jakiegokolwiek ambicje naukowe, chętnie przyjąłby oferowany mu zaraz po studiach etat w Szpitalu Akademickim. Teraz byłby już pewnie dawno po doktoracie i zastanawiałby się wieczorami, którego z kolegów i w jaki sposób podgryźć w rozpoczynającym się wyścigu o profesurę.

Ale jemu dobrze było w Miejskim i nie zamierzał tego zmieniać.

Ale, niestety, doktor Malak miał ambicje naukowe.

I dlatego często zwoływał zebrania.

No bo przecież trzeba pokazać „tym z Akademii”, że nie mają monopolu na pchanie światowej medycyny do przodu.

W rzeczywistości, ma się rozumieć, wcale nie pchali, a szpital niebędący uniwersyteckim stał na z góry straconej pozycji w rywalizacji o naukowe splendory, bo tak już po prostu jest na tym świecie. Lecz Malak oczywiście wiedział swoje i ani myślał dawać za wygraną.

Szczególnie w kontekście zbliżającego się nieuchronnie dorocznego zjazdu Towarzystwa Laryngologicznego, na którym dzielna ekipa Miejskiego miała godnie się zaprezentować

i zabłysnąć przed szacownym gremium zaproszonych z całego kraju, i nie tylko, sławnych specjalistów, zajętych własnymi karierami i mających gdzieś ekipę razem z bagażem jej wiekopomnych badawczych dokonań.

Nie wszyscy jednak, jak widać było z przebiegu zebrania, podzielali głęboki sceptycyzm naukowca Wendta, ochoczo zgłaszając się do przygotowania kolejnych serwowanych przez docenta, niczym dania à la carte, tematów.

– „...na wybranym materiale klinicznym”. Do przygotowania tego tematu proponuję zespół w składzie: doktor Pawlak, doktor Wendt... – W monotonnym głosie Malaka ukryty był jednak sygnał ostrzegawczy.

Dźwięk własnego nazwiska wyrwał Aleksa z rozmyślań i zmusił do natychmiastowej analizy rozmiarów kłęski.

Niestety, były pokaźne, gdyż katastrofa dotyczyła zarówno obszarów niewiedzy, jak i zakresu wiedzy.

W tym pierwszym polu znajdował się temat pracy, którego Aleks po prostu nie usłyszał, co bardzo komplikowało ewentualną obronę. Przez chwilę rozważał, co prawda, ekstremalnie ryzykowny wariant, polegający na wyrażeniu prośby o powtórzenie tematu, widząc jednak triumf na twarzy Pawlaka, natychmiast porzucił tę samobójczą koncepcję.

Drań już wie, że Aleks jest w głębokiej defensywie, i tylko czeka na odpowiedni moment, żeby to wykorzystać.

Aleks co prawda nie wiedział, jaki jest temat, ale wiedział na pewno, że praca z Pawlakiem będzie gehenną.

Jednym słowem, koszmar.

Za wszelką cenę musi temu zapobiec.

Zresztą najwyższy czas, bo w sali konferencyjnej od dłuższej chwili panowało niezręczne milczenie, a Pawlak spoglądał na Aleksa jak wąż na bezbronną mysz.

Pozostawał tylko skok w przepaść z nadzieją na miękkie lądowanie.

– Panie docencie, pozwalam sobie poprosić o zmianę składu zespołu – wypalił Aleks desperacko.

W akustyce, nauce jakże pokrewnej laryngologii, funkcjonuje pojęcie tak zwanej ciszy cyfrowej. Powstaje ona po komputerowym usunięciu wszelkich, nawet najdrobniejszych szumów z nagrania dźwiękowego.

Po tych słowach w sali zapadło właśnie coś w tym rodzaju.

Oczy wszystkich skierowały się na nieszczęśnika ośmie-lającego się podważyć decyzję, od której bardziej niepod-ważalny był chyba tylko wyrok Sądu Ostatecznego.

– A z jakiegoż to powodu? – Malak nie spieszył się z rozpętnianiem nawałnicy.

No cóż, przecież prędkość walca drogowego nie ma więk-szego znaczenia w procesie przejeżdżania dżdżownicy.

– Otóż chciałbym – kontynuował Aleks z miną straceń-ca, ale odważnie – oczywiście, jeżeli pan docent pozwoli, podjąć wyzwanie i zmierzyć się z tym tematem samodzielnie...

Boże, tylko z jakim tematem!?! – pomyślał z rozpaczą.

– ...zbliżający się zjazd – brzmiało to trochę, jakby czytał z kartki, ale nie miał wyboru, musiał iść na całość – jest dla mnie niepowtarzalną szansą na zaprezentowanie własnych dokonań... – Dalej kartka była pusta, ale najgorsze miał już za sobą.

Lądowanie UFO na szpitalnym podwórku wywołałoby zapewne mniejsze zdziwienie zespołu.

Wszyscy aż za dobrze znali oddanie doktora Wendta sprawom rozwoju nauki i najbardziej przychylni usytuowa-liby go w dziesięciostopniowej skali nie wyżej niż w okolicach

jednego i trzech dziesiątych.

Pawlak wyglądał jak zdjęcie z podręcznika interny, prezentujące zaawansowane stadium choroby Gravesa-Basedowa, objawiającej się wytrzeszczem oczu.

Nawet Malak był zdziwiony. Chyba do końca nie uwierzył w tę nagłą cudowną przemianę, ale do Aleksa zaczęło docierać, że być może powołanie tego kuriozalnego zespołu nie było tak zupełnie przypadkowe. Ordynator wiedział przecież, że potencjalni współpracownicy czują do siebie antypatię.

Szczwany lis chciał zmusić leniwego „naukowca” do jakiegokolwiek reakcji.

No i chyba się udało.

– Proszę, proszę, co ja słyszę, doktorze Wendt – powiedział ordynator z nieskrywaną satysfakcją. – Być może ten rewolucyjny patos w pańskiej wypowiedzi nie jest do końca uzasadniony, proszę nie zapominać, że Bastylia już została zburzona. – Słuchanie takich docinków było ceną, którą Aleks musiał zapłacić za wyjście cało z opresji. – Ale pańskie ambitne założenie traktuję jako pewien rodzaj zobowiązania. Więcej pracy naukowej – wydał wyrok.

Ale wpadłem, pomyślał skazany.

– Czy jest pan pewny, że pański entuzjazm nie jest spowodowany niechęcią do pracy z doktorem Pawlakiem? – Pytanie było rzucone jakby od niechcienia, ale nie pozostawiało wątpliwości, że Malak to przewrotny drań.

– Ależ skądże, panie docencie – wykrztusił świeżo upieczony badacz. – Praca z doktorem Pawlakiem to prawdziwa przyjemność.

Nadczynność tarczycy przeszła u Włodka płynnie w nadciśnienie tętnicze.



Skurczowe musiał mieć chyba dobrze powyżej dwustu, taki był czerwony.

– W takim razie rozdział tematów uważam za zatwierdzony. – Po wygranym meczu Docent postanowił zejść do szatni. – Jutro zostaną umieszczone na serwerze już z nazwiskami prezentujących. Dziękuję państwu.

Są i dobre wiadomości: jutro Aleks dowie się, jaki ma temat. Przy wyjściu z sali zderzył się z Pawlakiem.

– Panie przodem – rzucił z satysfakcją.



Przechodząc obok dyżurki pielęgniarek, natknął się na wychodzącą na korytarz Shakirę.

– O, no właśnie szłam pana szukać – powiedziała zaferowana.

– O, no właśnie mnie pani znalazła – odparł wesoło.

Może jednak to dobry dzień.

– Przed chwilą dzwonił z patologii. Zaczynają sekcję Janosza.

– O psiakrew, zupełnie zapomniałem.

– Powiedziałam, że jest pan na zebraniu. Nie mogą czekać, bo mają napięty plan, więc prosili, żeby dołączył pan w trakcie.

– Dawno dzwonił?

– Parę minut temu.

– Dobra, idę. Kurczę, ja się chyba starzeję.

To jednak nie jest dobry dzień.

– Powinna pani chociaż powiedzieć „ależ skądże” – rzucił na odchodnym.

– Ależ skądże – usłyszał z daleka. – Pan już jest stary.

Bardzo śmieszne, pomyślał.

Rzeczywiście, zupełnie zapomniał o sekcji Janosza.

Wina leżała całkowicie po jego stronie. Patologia informowała lekarzy leczących o sekcjach pacjentów zmarłych na ich oddziałach z wyprzedzeniem. Jego też uprzedzili wczoraj, nawet zapisał to na jakiejś kartce.

Pogrzebał w kieszeni.

O, na tej.

Mógł powiedzieć patologom, że będzie na zebraniu, albo Malakowi, że będzie na patologii. Był tym bardziej na siebie zły, że sekcja mogła stanowić idealne usprawiedliwienie nieobecności na zebraniu lub choćby na jego części, bo Docent, w przeciwieństwie do wielu innych ordynatorów, opinie patologów traktował bardzo poważnie.

„Diagnoza patologa jest przynajmniej zawsze trafiona”, mawiał.

W wielu przypadkach można by powiedzieć, że lepiej późno niż wcale.



Od wejścia uderzył Aleksa specyficzny zapach prosektorium.

Kwaśny odór formaliny połączony z mdlą wonią, jaką wydzielają tylko ludzkie zwłoki.

Niepowtarzalna kombinacja.

Jak oni tu wytrzymują? – to pytanie Aleks zadawał sobie zawsze, wchodząc do tego specyficznego pomieszczenia. Odpowiedź była prosta i pojawiała się niezmiennie po upływie zaledwie kilku minut: przyzwyczajenie.

Na szczęście prosektorium mieściło się w osobnym budynku.

Ściany i podłoga wyłożone były białymi kafelkami i Aleks często miał wrażenie, że znalazł się na dnie basenu, z którego spuszczone woda.

Wrażenie to potęgował fakt, że ta stosunkowo duża powierzchnia była prawie pusta.

Stały tam tylko stoły prosektoryjne. Ich kamienne powierzchnie zwiększały jeszcze poczucie chłodu, odczuwanego wręcz fizycznie, pomimo panującej wewnątrz pokojowej temperatury.

U szczytu każdego z nich, czyli tam, gdzie zwykle układano głowy nieboszczyków, znajdowały się metalowe tace na niskich nóżkach, do złudzenia przypominające stoliczki używane czasem w hotelach do serwowania śniadań do łóżka.

Na nie trafiały wyjęte ze zwłok narządy, które później można pokroić na kawałki, by dokładnie je zbadać.

Ale najdziwniejszym elementem wyposażenia stołu był... prysznic. Taki jak w zwykłej łazience. Już na studiach studenci opowiadali dowcipy o „wpadnięciu na szybki prysznic” czy „seksie pod prysznicem”. Faktem jest, że do tej pory nie wymyślono lepszego sposobu mycia organów przed przystąpieniem do oględzin.

Stół sekcyjny był ilustracją rosyjskiego powiedzenia: *i śmieszno, i straszno*.

Na takim właśnie stole leżały zwłoki Roberta Janosza.

Wendt doskonale go pamiętał. Pięćdziesięciokilkuletni, potężnie zbudowany facet, który pojawił się na oddziale na początku ubiegłego roku z typowym rozpoznaniem: rak krtani.

Dużo palił. Wypisał się na własne życzenie, twierdząc, że będzie się leczył u energoterapeuty czy innego znachora, i wrócił z przerzutami do płuc...



– No, cześć, Aleks, wreszcie się jaśnie pan pofatygował – przywitał go Hektor Dragan.

Była to postać tak komiczna, że aż budząca sympatię.

Doskonale pasował do prosektorium!

Kruczoczarne, farbowane włosy nie maskowały faktu, że Hektor już dawno temu obchodził czterdzieste urodziny. Walczył jednak dzielnie o wizerunek przedwojennego amanta, przylizując włosy dużą ilością brylantyny, co upodabniało go do Rudolfa Valentino w *Synu szejka*.

No, może nie do końca, bo znakiem firmowym lekarza był cienki wypielęgowany wąsik, zmieniający image przedwojenny w image diaboliczny, wskazujący, że miejscem pracy Hektora nie jest plan filmowy w Hollywood, a zdecydowanie mniej romantyczne prosektorium.

Pół szpitala dowcipkowało, że tam sypia, a na kolację zjada smażone na masełku przysadki mózgowie.

To były idiotyczne żarty, bo Hektor był bardzo fajnym facetem. Wesołym, serdecznym i zabójczo inteligentnym, co poniekąd tłumaczyło fakt, że większość miejskich lekarzy wołała po cichu rozpowiadać bzdury na jego temat niż stoczyć z nim potyczkę słowną.

Aleks parę razy był świadkiem takiej pyskówki i wiedział, jak smutny koniec czeka adwersarzy tego sympatycznego ekscentryka, który zwykł mawiać, że często w czasie sekcji zdarza mu się natrafiać na symptomy śmiertelnej choroby, jaką jest przeciętność.

– Czołem, wredny łapiduchu – rzucił Aleks wesoło, podchodząc do stołu. – Czy ty myślisz, że tak mnie ciągnie do tej twojej Śmierdzilandii, że się specjalnie spieszę?

– Poczekaj, chłopaku, aż tu trafisz, to nie będzie ci tak wesoło – odgryzł się Dragan, naciągając gumowe rękawiczki.

– Co prawda, prysznic już brałem, ale i tak dziękuję za zaproszenie.

– Prysznic to drobiazg, tobie zaproponowałbym piłeczkę.

Aleks przez chwilę nie chwycił. Jaką piłeczkę?

Tak, znów dał się zapędzić w kozi róg.

Patolog wziął ostrą piłę, zaprezentował ją koledze, jakby chciał mu ją sprzedać, robiąc przy tym minę sugerującą, że ten musi jeszcze nieco podszkolić sztukę riposty, po czym spokojnie przystąpił do otwierania czaszki.

– Boże, Hektor. – Aleks się skrzywił. – Czy ty to musisz tak... ręcznie?

Rzeczywiście, większość patologów używała do odcinania górnej części pokrywy czaszki ostrzy piłujących osadzonych na elektrycznych wiertarkach silnikowych. Dragan był jednak zwolennikiem narzędzi używanych w prosektoriach od wieków.

– Nie cierpię tego jazgotu. Jak z kiepskiego filmu o seryjnym mordercy, który ściga ofiarę z pilarką ogrodową – przychnął, lecz Aleks podejrzewał, że prawdziwą przyczyną jest przedwojenny styl, któremu patolog hołduje.

Nosił muszkę i tweedowe marynarki jak Sherlock Holmes.

Jakiś elektryczny gadżet z supermarketu? Nie, to zdecydowanie nie w jego stylu.

Mózg tymczasem wylądował na tacy i został obmyty z krwi. Miejsce piły w rękę mistrza zajął „skalpel hipopotama”, czyli nóż sekcyjny podobny do zwykłego chirurgicznego lancetu, jednak kilkakrotnie od niego większy.

Mózg podczas autopsji kroi się na plasterki nie grubsze niż około półtora centymetra. W ten sposób unika się przeoczenia jakiegś istotnej zmiany zlokalizowanej głęboko w tkance.

– Były jakieś objawy mózgowie? – zapytał Hektor, oglądając dokładnie każdy kolejno odcinany fragment.

Pytanie było o tyle uzasadnione, że rak dość często daje przerzuty do mózgu, a objawy mogą utrudnić diagnostykę. Nieskojarzone z pierwotnym ogniskiem nowotworu, imitują padaczkę lub inne zaburzenia o charakterze stricte neurologicznym.

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł Aleks, oglądając mózgowie „kromki”.

– Dobra, mózg czysty – stwierdził w końcu Dragan, co oznaczało, że nie znalazł ani jednego patologicznego, przerzutowego ogniska.

Pracował spokojnie i metodycznie. Stwierdzenie, że przyjemnie patrzeć na tę doskonale zorganizowaną robotę, byłoby może trochę nie na miejscu, zważywszy na dość specyficzne okoliczności, ale fakt pozostawał faktem, że fachowiec był z niego nie lada.

Teraz zabrał się do klatki piersiowej. Najpierw rozcięcie i odwarstwienie skóry oraz tkanki podskórnej, potem w ruch poszedł sekator o zakrzywionych ostrzach, którym przecięte zostały po kolei wszystkie żebra. Wreszcie fachowo założony rozwieracz sprawił, że ich oczom ukazało się wnętrze klatki piersiowej: typowe płuca palacza.

To sformułowanie jest powszechnie używane dla określenia wyglądu tkanki płucnej, w której pęcherzyki są przez lata poddawane zgubnemu działaniu dymu nikotynowego. Naturalny, ciemnoróżowy kolor zdrowego płuca ciemnieje coraz bardziej z powodu odkładających się wewnątrz pęcherzyków substancji smolistych. Widok był tak sugestywny, że działał stokroć lepiej niż powszechnie reklamowane w mediach środki wspomagające rzucanie palenia.

Żadne gумы czy plasterki nie mogły się z nim równać.

Nie to jednak interesowało lekarzy pochyłonych nad stołem. Od razu wiedzieli, że znaleźli to, czego szukali.

Płuco było twarde i w wielu miejscach nie słyszało się przy ucisku charakterystycznej krepitacji, czyli szelestu typowego dla dobrze napowietrzanej tkanki płucnej.

W powoli rozcinanych nożyczkami drogach oddechowych co rusz widać było białe ogniska nowotworu, jakby ktoś rozsywał na powierzchni narządu mąkę.

Coraz więcej i więcej. Praktycznie całe płuca były zajęte zmianami nowotworowymi.

– Brawo, klinicysto – powiedział Dragan. – Jeden zero dla ciebie, rozpoznałeś poprawnie.

– Taak, było jeden zero – mruknął Aleks ni to sarkastycznie, ni to refleksyjnie. – Tylko później strzelili nam kilka goli i koniec meczu – westchnął, patrząc na zwłoki.

– No cóż, zawsze kiedyś nadchodzi dziewięćdziesiąta minuta. – Hektor rozpoczynał właśnie otwieranie jamy brzusznej. – Chcesz obejrzeć brzuch?

– Nie. Zobaczyłem, co chciałem zobaczyć. Jakby coś było w wątrobie, daj mi znać.

– Dobra, nie ma sprawy. Trzymaj się – rzucił Dragan, nie patrząc na wychodzącego Aleksa.

I tak się kończy historia Roberta Janosza, myślał Aleks, wracając na laryngologię. Zastanawiał się, czy mógł coś zrobić.

Czy byłby w stanie, postępując inaczej, odwrócić bieg wydarzeń?

Gdyby facet został wtedy w szpitalu, gdyby dał się zoprowaować... gdyby...

Nie czuł się winny. Tak tylko się zastanawiał.

Ten pacjent podjął decyzję.

I poniósł jej konsekwencje.  
Tak to już jest.



Po powrocie na oddział wziął się wreszcie do zaległych papierów. Boże, ile tego jest, pomyślał, spoglądając na piętrzącą się na biurku górę historii choroby.

Lekarz to zdecydowanie najbardziej zbiurokratyzowany zawód na świecie. Niestety, nie da się tu niczego załatwić „na gębę”.

Po mniej więcej godzinie miał już szczerze dosyć, więc pukanie do drzwi przyjął z ulgą. Ktokolwiek to był, stanowił idealne usprawiedliwienie odejścia od monitora i wypicia kolejnej kawy.

– Wejść! – krzyknął dziarsko.

W drzwiach stanął Szymański.

Ułga natychmiast zamieniła się w niepokój.

Nie każdy chory wywoływał w nim takie uczucie. Po prostu Aleks nie potrafił spojrzeć na Szymańskiego, nie myśląc o Monice i o tym, co mu powiedziała. To powodowało, że w jego obecności czuł się nieswojo.

– Nie przeszkadzam, doktorze? – zapytał pacjent.

– Nie, skądże. Proszę, panie Władysławie, niech pan siada.

– Dziękuję. Jestem coraz słabszy.

Rzeczywiście, wyglądał bardzo źle: blady, policzki zapadnięte, poruszał się z wyraźnym trudem, a jego oddech już po kilku krokach stawał się ciężki, świszczący. Niestety, to były początki duszności.

I nic nie zapowiadało, że jego stan się poprawi.

Aleks usiadł po drugiej stronie stołu.



– Słyszałem, że rozmawiał pan z córką na mój temat – zaczął Szymański.

Nie ma co, konkretny facet, pomyślał Wendt.

– Tak, rzeczywiście – odparł ostrożnie – próbowałem jej wytłumaczyć, jak dokładnie przedstawia się sytuacja...

– Próbował pan ją przekonać, żeby na mnie wpłynęła... Ale to zupełnie zrozumiałe – przerwał mu Szymański spokojnie.

– Rzeczywiście, nie ukrywam, ale chciałem także poznać pańskie motywy, pański sposób rozumowania.

– Trzeba było zapytać mnie.

– Pytam...

– O co konkretnie?

– Dlaczego? Czasem bliscy lepiej znają odpowiedź na to pytanie niż my sami. Potrafią bardziej obiektywnie spojrzeć na nasze położenie, bo obserwują je z dystansu.

– Pan nie wie, doktorze Wendt, jak duży mam dystans do swojego położenia. – Jego uśmiech był smutny, a zarazem ironiczny.

– Niestety, chyba wiem. Stanowczo zbyt duży. I to jest właśnie problem.

Szymański pokiwał głową. Zamilkł, jakby starał się coś sobie przypomnieć.

Po chwili zacisnął pięść i podsunął do góry rękaw piżamy.

Na przedramieniu, nieco powyżej nadgarstka, był wytatuowany numer.

– Wie pan, co to jest? – zapytał, patrząc lekarzowi w oczy.

– Wiem – odparł Aleks cicho.

– Auschwitz. Miałem jedenaście lat.

Aleks nie wiedział, jak zareagować. Znow na chwilę zapadła cisza.

– Żydowskie dzieci nie miały lekko – ciągnął Szymański, jakby mówił do siebie. – Testowali na nas te cudowne lekarstwa, które miały ratować życie na froncie wschodnim. Przeżyło może pięć procent dzieciaków, które dostawały te świństwa. A wśród nich ja.

Znów ciężki oddech. I cisza.

– To byli lekarze. Mieli białe fartuchy, słuchawki. Robili mądre miny. Prawdziwa... służba zdrowia. – Szymański próbował się uśmiechnąć, nie był to jednak uśmiech, ale grymas bólu.

– Jest pan uprzedzony do lekarzy? – Aleks natychmiast pożałował, że zadał to pytanie.

– Niech pan się nie bawi w domorosłego psychologa, doktorze Wendt. To nie jest historyjka z gatunku tych, że podkładałam świnie kolegom z pracy, bo ciotka w dzieciństwie łapała mnie za siusiaka. Niech pan nie będzie infantylny.

Aleks poczuł, że ma czerwone uszy.

– Chciałem panu tylko uzmysłwić – podjął Szymański po chwili – że w pewnych sytuacjach człowiek zaczyna nabierać dystansu do swojego położenia, jak pan to zgrabnie ujął. To było wiele lat temu, a jednak pamiętam każdy dzień, każdą godzinę. Inaczej po czymś takim patrzy się na własne życie... na śmierć... gdy nadchodzi... to wszystko jest takie względne... można przecież powiedzieć, że miałem szczęście...

Aleks uniósł pytająco brwi.

– Matka nie miała. Nie przeżyła. A może właśnie miała?  
– To nie było ani pytanie, ani stwierdzenie. – A tak na marginesie, doktorze, mój ojciec był lekarzem. Starym, przedwojennym, żydowskim chirurgiem – dodał nieco pogodniej.

– Przepraszam za to pytanie o uprzedzenie – powiedział cicho Aleks. – Mój ojciec też jest chirurgiem.

– Wiem.

Aleks był zaskoczony, że Szymański o tym wie, ale uznał, że pytanie skąd byłoby nie na miejscu.

– Pan przesiąkł medycyną, doktorze Wendt. Wiem, jak to jest, kiedy od dziecka człowiek wychowuje się w domu, w którym nie mówi się o niczym innym. Niech pan powie, czy gdy był pan małym chłopcem, rodzice też zabierali pana do szpitala, kiedy nie było opiekunki?

– Zdarzało się, to normalne, kiedy rodzice pracują...

– Siostra oddziałowa robiła panu herbatkę i mógł pan się bawić słuchawkami... Medycyna była wszędzie dookoła, prawda? W końcu nie wyobrażał sobie pan, że mógłby pan w życiu robić coś innego. Wszystko jest takie proste. Prędkiej czy później zdaje pan sobie sprawę, że stał się pan jej własnością, że ona za pana myśli, podejmuje decyzje, powolutku podporządkowuje sobie całe pańskie życie...

– Do czego pan zmierza? – Aleks czuł dziwny niepokój.

– ...pewnego dnia – Szymański jakby nie usłyszał pytania – staje się pan bardziej lekarzem niż człowiekiem.

– Nie wiedziałem, że jest jakaś różnica.

– Teoretycznie nie ma.

– Teoretycznie?

– Po co ta hipokryzja? – Ton Szymańskiego stał się nieco bardziej protekcyjny. – Czyż nie jest prawdą, że lekarze dzielą świat na lekarzy i całą resztę? Czy nie wspierają się nawzajem w każdych okolicznościach?

– Wszędzie jest solidarność zawodowa. Prawnicy są tacy sami.

– Tak, tylko że na stole operacyjnym trudniej jest złożyć apelację.

Aleksowi coraz mniej podobał się kierunek, w którym zmierzała rozmowa. Nie wiedział dlaczego, ale czuł się manipulowany. Nie mógł co prawda odmówić temu człowiekowi racji, ale odnosił wrażenie, że Szymański nie ma zamiaru go do niczego przekonywać, tylko wymóc na nim określone zachowanie.

– Panie Władysławie, muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, co chce pan swoim wywodem osiągnąć.

– Nic szczególnego. Tak sobie rozmawiamy, prawda? Po prostu Bóg dał lekarzom władzę nad życiem i śmiercią. Ja się tylko zastanawiam, jak różnie można tę moc wykorzystać... ot co. Nie zawracam już więcej głowy, panie doktorze... Chciałem chwilę porozmawiać o tym, co mówiła mi córka. Pójdę już.

– Oczywiście, niech pan wypoczywa, panie Władysławie.

Chory podniósł się ciężko z fotela. Widać było, że ta rozmowa bardzo go zmęczyła.

Powoli podreptał do drzwi.



Aleks wrócił do komputera, lecz wypełnianie kolejnych rubryk w historiach chorób mu nie szło. Nie mógł się skoncentrować.

Czego ten facet chce? To pytanie dręczyło go jak bolący ząb. To jasne, że nie przyszedł pogadać o blaskach i cieniach zawodu medyka.

Więc po co?

Czego może chcieć pacjent w ciężkim stanie od swojego lekarza prowadzącego oprócz jak najlepszej możliwej terapii?

Wsparcia? Dobrego słowa? Podtrzymania na duchu?

Nie wiadomo dlaczego, ale wszystkie te stwierdzenia, jakże oczywiste, akurat w przypadku Władysława Szymańskiego wydawały się absurdalne.

Nie, ten facet nie chce, żeby podtrzymywać go na duchu. Przyszedł zasiać w duszy Aleksa niepewność i teraz będzie czekał, co się stanie.

## Rozdział 12

– Wystarczy tego odsłuchu?! – Głos akustyka Wojtka Misiaka z trudem przebijał się przez agresywne dźwięki gitary Barry'ego.

Pytanie skierowane było do Aleksa, który od kilkunastu minut stał przy mikrofonie, testując coraz to nowe poziomy głośności i proporcje instrumentów.

– Daj więcej i zdejmij trochę tego szarpidruta z lewej, bo słyszę gitarę zamiast własnych myśli. – Ostatnia część zdania utonęła w potwornym jazgocie wywołanym sprzężeniem zwrotnym. – Matko Boska, Barry, odsuń się od tego pieca, bo za chwilę trzeba będzie dzwonić po laryngologa!

– Nie znam żadnego dobrego – rzucił sprawca zamieszania, pochylając się nad wielkim wzmacniaczem Marshalla, zwanym piecem, i coś przy nim majstrując.

– Za to ja znam kilku dobrych gitarzystów – odciął się Aleks.

– Jasne, Jimmy Page już leci, żeby przygrywać do twojego wycia. – Teraz z głośników wydobył się przenikliwy pisk.

– Jezu, odsuńcie tego faceta od sprzętu, bo nas zaraz w powietrze wysadzi. – Zza perkusji wynurzyła się głowa Bazyla.

– Masz więcej odsłuchu! – Wojtek, niczym się nie przejmując, spokojnie robił swoje.

Próba dźwiękowa to zdecydowanie najważniejsza część koncertu, a ustawienie odsłuchu dla wokalisty to zdecydowanie najważniejsza część próby dźwiękowej.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Jeśli się nie słyszysz, to fałszujesz jak nieboskie stworzenie, bo bogini akustyka surowo karze tych, którzy nie biorą pod uwagę specyfiki rozchodzenia się fal dźwiękowych w powietrzu.

– Teraz jest dobrze. – Aleks wreszcie był usatysfakcjonowany.

W dawnych czasach, kiedy mieli własnego inżyniera dźwięku, próba trwała czasem tylko kilka minut, tyle, ile trzeba, żeby zapoznać się z akustyką pomieszczenia. Wojtek nagłaśniał wszystkie imprezy w S.Q. Labie, od kabaretów po jazzowe improwizacje, a nie znał specyfiki brzmienia Medipowera, więc nie było lekko.

Aleks wyłączył mikrofon i zszedł ze sceny.

Barry wciąż majstrował przy wzmacniaczu.

Aleks usiadł przy stoliku nieopodal stołu mikerskiego i upił łyk ciągle jeszcze w miarę zimnego piwa.

Browarek, jak za dawnych, koncertowych lat, pomyślał.

Powracały wspomnienia z muzycznej przeszłości.

Sale, w których grywali, były przeważnie obskurne, ale atmosfera zawsze wspaniała. Ludzie po prostu ich lubili, może dlatego, że lekarz to ktoś, kto raczej budzi sympatię, a śpiewający lekarz to coś tak niecodziennego, że sympatię można pomnożyć przez dwa.

A może po prostu dlatego, że całkiem nieźle grali?

W każdym razie w najmniejszej nawet dziurze po koncercie zawsze była balanga. Organizatorzy nie zapominali o zmanifestowaniu uznania, dostarczając im szeroki asortyment napojów wysokowych.

Bywało ostro.

Osobny rozdział stanowiły kobiety.

Nie wiadomo dlaczego w tak zwanym show-biznesie budowanie więzi emocjonalnej między artystą a publicznością odbywa się w zdecydowanej większości przypadków na płaszczyźnie damsko-męskiej.

Gatunkiem muzycznym, który odgrywał kluczową rolę w kształtowaniu tychże relacji, była ballada rockowa, zwana pościelową.

Kobiety nie przepadają raczej za ostrym, agresywnym brzmieniem. Oczywiście zdarzają się fanki metalu, ale są przeważnie tak nabuzowane, że po koncercie strach do nich podejść.

Jeśli chodzi o podryw, zdecydowanie lepiej sprawdzają się melodyjne, spokojne utwory, a odrobina romantyzmu w tekście gwarantuje przychyłność pań.

Trzeba przyznać, że Aleksowi wyjątkowo dobrze wychodziły takie kawałki. Doskonale też rozumiał się w tej materii z Barrym, który, choć z pewnością nie zasługiwał na miano wybitnego wirtuoza gitary i gubił się nie tylko w szybszych pasażach, to jednak potrafił wydobyć z instrumentu ciepłe, spokojne brzmienie, chwytające kobiety za serce.

Tak, ballady to były ich najbardziej znane utwory, a na koncertach przy *Lullaby for Julie*, w szczególności zaś przy *Stu latach samotności*, publiczność w pierwszych rzędach wpadała w ekstazę. Płonęły zapalniczki, a panienki miały maślane oczy.



A po koncercie...

– Tutaj jesteście! – Z zadumy wyrwał Aleksa znajomy głos.

– Cześć, tato – rzucił zaskoczony, odwracając się. – Co ty tu robisz?

– Jak to co? Przyszedłem posłuchać syna – rzekł Wendt senior wesoło.

– Myślałem, że posłuchasz na balu. Przecież masz niedaleko.

Rzeczywiście, rodzinny dom Aleksa, w którym ojciec wciąż mieszkał, teraz już sam, po śmierci żony, znajdował się zaledwie dwie przecznice od klubu. Pięć minut piechotą.

– Ja już się na bale nie nadaję. Straciłem cierpliwość do tego towarzystwa wzajemnej adoracji. Na starość coraz trudniej zmusić się do uśmiechu. – Był to głos zmęczonego życiem człowieka. Starszy pan nie mógł jakoś wrócić do normalnego życia, mimo iż od śmierci żony upłynęły prawie cztery lata. Zaczął unikać ludzi, nie był na przyjęciach czy branżowych spotkaniach, rzadko wychodził z domu.

– Nie uogólniaj, tato. – Aleks stracił już nadzieję, że uda mu się wyzwolić w ojcu dawną radość życia. – Będą tu też twoi prawdziwi przyjaciele.

– Jasne, tylko gdzie oni byli, gdy umierała twoja matka?

– Nie wrócisz jej życia, krytykując wszystkich naokoło. Jej śmierci winien jest wylew, a nie znajomi. – Ile razy już to powtarzał...

– Wiem – uciął ojciec. – Przyszedłem cię zobaczyć. Co się z tobą dzieje, synu? Gdzie ty się ostatnio podziewasz?

Aleks poczuł się winny jak diabli. Rzeczywiście, ostatnio zaniedbał ojca, ale tak naprawdę miał dość przywracania go do życia na planecie Ziemia.

Ale to żadne usprawiedliwienie. Przecież po śmierci mamy i po jego rozwodzie tak naprawdę mają tylko siebie. A jednak tak trudno zrobić pierwszy krok...

– Tak jakoś... nie wiem, nie jestem w najlepszej formie – mruknął, nie chcąc, żeby zabrzmiało to jak głupie tłumaczenie się.

Ale tak właśnie zabrzmiało.

– To nie powinno ci przeszkadzać w tym, by czasem zajrzeć do starego ojca. Poznałeś kogoś? – Pytanie było zadane trochę z nadzieją, trochę z obawą.

– Nie wieki... może... – Aleks sam się zdziwił, dlaczego tak trudno mu odpowiedzieć. Czyżby dlatego, iż odpowiedź jest tak oczywista, że aż boi się jej udzielić?

– No tak, chyba rzeczywiście nie jesteś w najlepszej formie – skonstatował ojciec. – Martwię się o ciebie, Aleks – dodał smutno. – Kilka razy źle mi się śniłeś. Będiesz się z tego śmiać, ale mam złe przeczucia...

Aleksowi nie było do śmiechu. Właśnie uzmysłowił sobie, że tym, co go dręczy od dłuższego czasu, są właśnie złe przeczucia.

Niby nic konkretnego, ale wrażenie, że coś jest nie tak.

– Uważaj na siebie, synu. Po prostu uważaj, nic więcej – rzekł ojciec z troską.

– Będę uważał, tato, obiecuję – powiedział Aleks bez przekonania.

No bo na co tak naprawdę ma uważać?

– Pójdę już. Powodzenia wieczorem. Szkoda, że nie zobaczę cię na scenie...

I takie właśnie były ich kontakty. Niby każdy próbował, ale się nie kleiło.

– Więc może jednak przyjdiesz? – zapytał Aleks.  
Ostatnia *mission impossible*.

– Nie, uwierz mi, to nie byłby dobry pomysł. – Rzeczywiście *impossible*.

– Dzięki, że wpadłeś, mimo wszystko.

– Trzymaj się, synek.

Odprowadzając wzrokiem tego starego smutnego człowieka, Aleks zdał sobie sprawę, jak bardzo go kocha. I jak bardzo brakuje mu mamy.



– ...*In the name of love! One more in the name of love!* – zakończył efektownie Aleks, gdy wybrzmiały wszystkie instrumenty.

Nic tak dobrze nie podgrzewa atmosfery na koncercie, jak trafnie wybrany *cover*. Ludzie chcą słuchać znanych, powszechnie lubianych utworów. Ważne, żeby znaleźć taki, który najlepiej pasuje do temperamentu i możliwości wokalnych wykonawcy.

Aleks miał nieźle brzmiący w wysokich rejestrach głos, a poza tym *Pride*, ta cudowna magiczna piosenka o tym, że ludzka godność i duma jest często ważniejsza niż życie, wzruszała słuchaczy na wszystkich kontynentach praktycznie bez względu na wykonanie.

Aleks ją uwielbiał. I to się czuło, gdy śpiewał.

Aż ciarki przechodziły.

Owacja była fantastyczna. Nikt się nie spodziewał, że stateczna i nieco sztywnawa brać lekarska zareaguje tak żywiołowo.

W górę pofrunęły marynarki, a niektóre młodsze koleżanki i doktorki piszczały prawie jak nastolatki w latach sześćdziesiątych na koncertach Beatlesów.

No, no, pomyślał Aleks, chyba towarzyszo nie żałowało sobie alkoholu, czekając na występ gwiazdorów.

Nadeszła pora na punkt kulminacyjny.

Nadeszła pora na pościelówę wieczoru.

Na dany przez wokalistę znak Barry zaczął melodyjny, ciepły riff, a po chwili w dźwięki gitary wplotły się znane wszystkim słowa:

*Wysmażał deszcz*

*Potargał wiatr*

*Samotności mojej sto lat...*

Wybuchły oklaski. Gdzieniedzie zapłonęły zapalniczki i zamigotały wyświetlacze komórek.

Jest dobrze.

Aleks zamknął na chwilę oczy i dał się nieść ulotnej poezji tego kawałka.

To była piosenka o samotności, ale również o nadziei, że samotność przeminie. Nigdy chyba tekst nie był tak zbieżny z jego życiem, nigdy też chyba nie śpiewał tego utworu z takim przejęciem.

Nigdy nie śpiewał go tak dobrze.

*I nadejdzie wreszcie dzień*

*Gdy zapuka ktoś do drzwi...*

Zaczynając refren, otworzył oczy. Cała sala się kołysała. Większość słuchaczy śpiewała banalny, ale jakże sugestywny tekst, machając czym popadnie i nie zawsze w tempie.

Szaleństwo.

I wtedy uwagę bohatera wieczoru przykuła osoba tuż pod sceną. Stała nieruchomo, zasluchana, jakby zaczarowana przez muzykę. Patrzyła na niego, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół niej.

To była Monika Szymańska.

Aleks poczuł się, jakby urosły mu skrzydła.

Jakby to nie był mały klub z niewygodną sceną, tylko stadion Wembley.

I jakby śpiewał *Stairway to heaven* dla stu tysięcy widzów.

Uzmysłowił sobie, że przez cały wieczór czekał tylko na nią, że chociaż starał się o tym nie myśleć, wciąż szukał jej wzrokiem. I tak naprawdę śpiewał tylko dla niej.

Musiała przesunąć się do przodu, gdy skończył poprzedni utwór, bo wcześniej jej nie zauważył.

Była piękna. W czerwonej wieczorowej sukni bez ramiączek, ozdobionej szeroką falbaną na dole, wyglądała olśniewająco.

Włosy miała wysoko upięte, a jej twarz pozostawała nieruchoma, jakby Monika była gdzie indziej, a właściwie jakby była sam na sam z Alekssem.

Zamknął oczy.

Sala, mikrofon, fortepian, tłum i Monika...

*...by kochać, by kochać sto lat..!*

Wybrzmiała ostatnia fraza. Ukłonił się. Był zmęczony. Przez ułamek sekundy panowała cisza.

A później wybuchła szaleńcza owacja. Ludzie klaskali, gwizdali, wymachiwali rękami, kobiety piszczwały jeszcze głośniejsze i jeszcze energiczniej przepychały się w kierunku sceny.

– Do-kto-ry!!! Do-kto-ry!!! – zaczęło się rytmiczne skandowanie.

Aleks starał się nie patrzeć na Monikę. Musiał trochę ochłonąć.

– Dziękujemy! – powtarzał. – Dziękujemy i życzymy wspaniałej zabawy!

– Me-di-power! Me-di-power! – Publiczność nie zamierzała pozwolić mu zejść ze sceny.

– Dziękujemy! – Aleks kłaniał się i kłaniał. Nie miał już siły bisować.

W końcu nie wytrzymał i spojrzał w tamtą stronę.

Stała w grupie kobiet. Uśmiechała się, biła brawo i skandowała. Była z niego dumna. Widział to.

Jakby znali się od dawna.

Jakby byli razem.

A może to sen? Autosugestia? – zastanawiał się, przez chwilę starając się przywołać nastrój sprzed kilku minut.

Ale to było takie nierealne.

Jakby wydarzyło się w bajce.

Nie miał czasu głębiej się nad tym zastanowić, bo zanosilo się na bisy.



Gratulacjom nie było końca.

Co chwila ktoś podchodził do stolika, wychwalając pod niebiosa ich wokalny-instrumentalne wyczyny, i choć zarówno Aleks, jak i jego koledzy z zespołu doskonale zdawali sobie sprawę ze swoich niedociągnięć – przecież nie grali razem od wieków, a prób było zaledwie kilka – to trzeba przyznać, że miło było pobyc trochę gwiazdą.

Poznawali nowe osoby, z którymi podobno „byli razem na

roku” albo „poznali się podczas praktyk wakacyjnych”.

Trzeba było grzecznie przyznawać, że „oczywiście, pamiętam”, chociaż każdy z muzyków mógłby przysiąc na wszystkie świętości, że większość delikwentów lub, co dużo częstsze, delikwentek widzi po raz pierwszy w życiu.

Co gorsza, te niekończące się wyrazy szacunku i sympatii były dość sownie zakrapiane donoszonym nie wiadomo skąd alkoholem, bo nie wypada przecież z byłym kolegą z roku tudzież koleżanką z praktyk wakacyjnych nie wypić kieliszeczka.

W efekcie, po kolejnym, nie wiedzieć którym kieliszeczku, Aleks zaczął odczuwać przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele i lekki kojąco-wirujący szum, nieśmiało podpowiadający mu, że już niedługo może stać się ofiarą złożoną na ołtarzu własnego sukcesu, przyplacając go kaczem gigantem.

– A ze mną się pan doktor nie napije? – usłyszał za plecami znajomy głos.

Natychmiast wytrzeźwiał.

Tak naprawdę cały czas czekał tylko na ten głos. Monika. Po koncercie stracił ją z oczu.

Kiedy wyszedł z szatni dla personelu, która dziś wieczorem nosiła dumne miano garderoby, rozglądał się po głównej sali, ale nigdzie jej nie było.

Pomyślał, że przyszła tylko na koncert i zaraz po nim uciekła.

Zrobiło mu się smutno.

Wrócił do stolika i zajął się przyjmowaniem wyrazów uznania. Ale Monika chyba wyszła na chwilę na dwór, żeby ochłonać, wróciła i teraz stała przed nim, patrząc wyczekująco.

Z trudem zdobył się na uśmiech. Jak zwykle przy niej był dziwnie spięty i nawet na rauszu nie mógł się rozluźnić.

Dopiero teraz zauważył, że Monika trzyma dwa kieliszki wina. Wziął jeden z nich. Idealne uzupełnienie wypitej wody, pomyślał.

– Za co pijemy? – Nie zamierzał rezygnować, kac też jest dla ludzi.

– Oczywiście za bohatera wieczoru. – Uśmiechnęła się szeroko, ale nie było w tym cienia ironii. – Muszę przyznać, że zupełnie się tego nie spodziewałam – dodała ciepło.

– Czego?

– Takiego... poziomu... to znaczy... sama nie wiem...

Bardzo...

– Było aż tak źle? – zapytał Aleks wesoło.

Powoli odzyskiwał rezon. Pomimo zakłopotania musiał przyznać, że wyjątkowo dobrze czuje się w jej towarzystwie.

– Nie, wręcz przeciwnie – szukała odpowiednich słów – wszystko przez to zaskoczenie. Jak się poznaje kogoś w białym fartuchu, to ostatnim miejscem, w którym można sobie taką osobę wyobrazić, jest scena. To takie... dziwne... a jednocześnie... o, wiem... niepowtarzalne!

– O rany! Zabrzmiało tak, że Clapton pęknie z zazdrości!

– Wiem, to takie babskie i głupie, ale chyba nie jestem zbyt dobra w wyrażaniu zachwyty...

– A ja chyba nie jestem zbyt dobry w przyjmowaniu komplementów. Wniosek? Dość zachwyty. Zdrowie! – Wychylił kieliszek do dna.

– Mam propozycję... Mówią, że to kobieta powinna wystąpić pierwsza...

– Aleks – przerwał jej bezceremonialnie.

– Monika. Uff... szybko poszło – powiedziała z uśmiechem.



– Musimy to uczcić. – Odwrócił się do stolika. – Zaproszę kolegę – rzucił konfidencjonalnie.

– Kolegę? – Monika była wyraźnie zawiedziona.

– Mogę nawet z całą stanowczością powiedzieć: przyjaciela. Moniko, pozwól, że ci przedstawię, mój przyjaciel Jack Daniels – powiedział, unosząc butelkę.

– Wariat. – Roześmiała się.

– Jest bardzo samotny – ciągnął patetycznie – posiedzmy z nim przez chwilę.

– To się nazywa przyjaźń – podchwyciła, wciąż się śmiejąc.

Wszystkie miejsca przy stoliku przeznaczonym dla zespołu były zajęte, wokół wciąż kłębił się tłum rozochoconych fanów, atmosfera stawała się coraz bardziej swojska. Nikt już właściwie nikogo nie słyszał w tym gwarze, więc z butelką i dwiema szklankami rozpoczęli spacer po klubie.

Było to dość przytulne miejsce, bo oprócz głównej sali, ze sceną i parkietem do tańczenia, było tam kilka mniejszych pomieszczeń na dwóch poziomach.

Wystrój był wprawdzie skromny, ale gustowny, ściany obite zielonkawym materiałem stwarzały ciepły i przyjazny klimat, muzyka nie była zbyt agresywna. Didżej, zapewne uprzedzony o zróżnicowanym pokoleniowo towarzystwie, puszczał spokojne hity z lat osiemdziesiątych.

Wszędzie panował niemiłosierny tłok, więc po dwóch okrążeniach zdecydowali się usiąść na schodach, nieco z boku, prowadzących do pomieszczeń gospodarczych na piętrze.

Wyglądali chyba trochę dziwnie, siedząc w balowo-koncertowych kreacjach w takim miejscu z butelką whisky, ale dzięki temu Aleks po raz pierwszy tego wieczoru poczuł się naprawdę swobodnie.

– A co ty w ogóle robisz w życiu, Moniko, poza włączeniem się po podrzędnych nocnych lokalach i uwodzeniem przystojnych wokalistów? – zapytał z uśmiechem.

– Lokal nie jest aż tak mierny... a wokalista nie aż tak przystojny – odparła wesoło. – A poza tym projektuję wnętrza – dodała poważniej. – Długo siedziałam za granicą, a w tej chwili działam na własny rachunek.

– I jak ci idzie?

– Nieźle. Muszę mieć wolny zawód. Nie nadaję się do pracy u kogoś, bo mam wredny charakter. – Zmrużyła figlarnie oczy.

– Właśnie widzę – mruknął Aleks. – Zaprojektujesz moje wnętrze? – zapytał.

– To zależy...

– Od czego?

– ...czy dużo w tym wnętrzu martwej natury.

– Teraz tak.

– A kiedyś była żywa?

– Była.

– To kiedyś znów będzie. Zobacysz.

Zabrzmiało to bardzo zdecydowanie, ale było w tym dużo ciepła.

– Porozmawiajmy jeszcze o tobie – zaproponował. – Właściwie nic mi o sobie nie powiedziałaś.

– Tajemniczość kobiety jest jej najbardziej uwodzicielskim atrybutem.

– Cholera, a ja myślałem, że cycki – wyrwało mu się.

Na szczęście Monika wcale nie wyglądała na speszoną.

– Jedno jest pewne: u mężczyzny jest to inteligencja. – Doskonale wyczuwała jego nastrój. Rozumieli się coraz lepiej.

– I dlatego właśnie jestem taki cholernie uwodzicielski –  
oznajmił Aleks z patosem.

– I skromny.

– Skromność, moja droga, jak powiedział Napoleon Bonaparte – Aleks dolał bourbona do szklanek – została stworzona przez miernoty i dla miernot... Zdrowie!

– Uch... – Monika upiła spory łyk i się skrzywiła. – Niegłupi koleś był z tego Napoleona B. – Westchnęła i oparła głowę na kolanach. Wyglądała naprawdę ślicznie. Aleks nie mógł się na nią napatrzeć.

– Mam ochotę na naleśniki! – oznajmiła nagle.

Aleks spojrzał na nią zdziwiony.

– To tak à propos Napoleona?

– Niezupełnie. – Monika wyraźnie się ożywiła. – A propos pewnej budki nad rzeką.

– Budki?

– Tak. Chodź, nie marudź!

Aleks był zdezorientowany. To było jak sen, któremu się poddawał i podekscytowany czekał, co się wydarzy.

A miał wrażenie, że może wydarzyć się wszystko, jak w historii o Batmanie albo w kreskówce.

Czuł się wolny od ograniczeń stawianych przez rzeczywistość.

Był swobodny, a jednocześnie niewytłumaczalnie przywiązany do tej kobiety.

Nie wiedział, czy to działanie alkoholu, czy magia chwili.

A może i jedno, i drugie?

Prawie biegiem przemknęli obok osłupiałego Bazyla, który szedł właśnie w ich stronę. Wydawał się zaafierowany, jakby miał coś ważnego do powiedzenia, ale na jego koledze wokaliście nie zrobiło to większego wrażenia.

– O, Aleks, dobrze, że je...  
– Później, Bazyl – rzucił Aleks, odbierając z szatni płaszcz Moniki.

I już ich nie było.

Wybiegli na dwór. Aleks zaciągnął się powietrzem, jakby to było najprzedniejsze cygaro. Czuł się wspaniale.



– I bita śmietana... i truskawki... i... czekolada... i jeszcze... wiórki kokosowe. – Monika z zaangażowaniem wybierała składniki potężnego naleśnika.

Aleks obserwował ją z zachwytem. Ileż w niej radości życia, dziewczęcej energii.

Potrzebował kontaktu z tak dynamiczną osobą po długim czasie spędzonym w towarzystwie wyważonych i powściągliwych w wyrażaniu emocji kolegów po fachu. A tak naprawdę potrzebował kobiety. Kobiecego ciepła i bliskości.

Wybrał powidła śliwkowe i czekoladę. Mało oryginalne.

– Mmm... pycha... – mruzczała Monika.

Szli wolno brzegiem rzeki, mijając spóźnionych spacerowiczów z psami. Śnieg błyszczał w świetle latarni, a na niebie, jak na zamówienie, świeciły gwiazdy.

Naleśnik był naprawdę doskonały i choć pochodził z obskurnej budki, Aleks czuł się dużo lepiej, niż gdyby w tej chwili zjadał wykwentne specjały w drogiej restauracji, popijając markowym winem.

Atmosfera tego wieczoru i osobowość towarzyszkii sprawiały, że pomimo mrozu było mu gorąco jak na plaży.

– Zabrałeś ze sobą przyjaciela? – zapytała, przetykając wielki kęs naleśnika. Kuleczka bitej śmietany spadła jej na brodę.

– Przyjaźń nie zna granic – oznajmił radośnie, wyciągając butelkę z kieszeni kurtki.

– Dawaj.

Odkręciła korek i upiła spory łyk.

Aleks był zaszokowany. Nie spodziewał się, że ta elegancka, dystyngowana kobieta potrafi być tak spontaniczna i bezpretensjonalna.

– Na zdrowie – powiedziała z szelmowskim uśmiechem, podając mu butelkę.

Wypił chyba setkę jednym haustem. Był w siódmym niebie. Przez chwilę szli w milczeniu, upajając się chwilą i smakiem naleśników.

– Przychodziłam tu z ojcem, kiedy byłam dzieckiem – odezwała się Monika. Na wspomnienie ojca posmutniała. – Zawsze kupował mi naleśniki. Wiesz, że podobno ta budka stoi tu od przed wojny? Zawsze gdy dostałam dobry stopień, mogłam sobie wybrać takie dodatki, jakie chciałam. To był nasz zwyczaj. Tak naprawdę nie chodziło o czekoladę. Ten naleśnik był jak medal na olimpiadzie. Harujesz parę lat, ale później stoisz na podium i grają ci hymn. I wtedy zapominasz, jak było ciężko.

– Wiem coś o tym. Mnie też rodzice zawsze podnosili poprzeczkę. Zawsze musiałem być najlepszy.

– Aleks, ja nie chcę być najlepsza. Chciałabym znów być małą dziewczynką, której ktoś kupi naleśnika. Tak po prostu...

Miał ochotę ją przytulić, ale się opanował. Nie wiedział, jak Monika zareaguje.

– Ja ci go kupię. – Chciał, żeby to zabrzmiało serdecznie.

– Nie, ty mi go kupiłeś, bo mnie pragniesz.

Aleks zaniemówił.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

W jej oczach widział odbijający się błysk latarni.

Podeszła bliżej.

Całkiem blisko.

– Ale nie martw się– powiedziała cicho – ja ciebie też. –  
Objęła go za szyję i pocałowała. Tak gorąco, tak namiętnie, że  
aż pociemniało mu w oczach. Smakowała truskawkami.

I kokosem.



Rzucili się na siebie już w windzie.

Całował jej włosy, szyję, ramiona.

W taksówce, przez całą drogę do jej mieszkania, nie od-  
zywali się do siebie. Trzymali się tylko za ręce i patrzyli sobie  
w oczy.

Jakby bali się, że ta chwila ucieknie, że sen nagle się  
skończy.

Pokonali korytarz, nie przestając się całować.

Gładził ją po karku, gdy mocowała się z zamkiem su-  
kienki, a ona mruczała jak kotka. Jej włosy pachniały miętą i  
wanilią. Drżała.

Zsunął z niej suknię, a ona pociągnęła go do sypialni.  
Upadli na łóżko.

Aleks był niesamowicie podniecony, ale chciał, żeby to  
trwało... żeby była szczęśliwa... żeby go kochała...

Delikatnie rozpiął czarny koronkowy stanik i zaczął pie-  
ścić jej piersi.

Jej sutki momentalnie stwardniały.

Drażnił je najpierw lekko językiem, na granicy dotyku, tak, żeby bardziej na to czekała, niż czuła.

Zamknęła oczy. Oddała mu się. Jemu i rozkoszy.

Miała cudowne piersi. Pełne, ale jędrne, a skórę gładką jak satyna.

Powoli sunął językiem coraz niżej.

Brzuch.

Jeszcze niżej.

Zsunął jej majtki.

Nie protestowała. Cała była jego.

Teraz dotknął językiem jej stopy. Uniósł nogę i przesuwał się powolutku coraz wyżej, po łydce, po wewnętrznej stronie uda. Zadrzała. Z jej piersi wydobył się cichy jęk.

Zastygła w oczekiwaniu.

Przerwał.

I znów. Druga stopa.

Wyżej... leciutko...

Znów po wnętrzu uda.

– Proszę... – wyszeptała – Aleks... proszę...

Drażnił się z nią.

Znów brzuch. Powoli.

I nagle jego język zagłębił się w niej, a usta pieściły gwałtownie. Wyprężyła się, chcąc go przyjąć jak najgłębiej. Była wilgotna. Chłonał jej smak. Była tak blisko. Była jego. Bez granic. Do bólu. Do końca.

– Tak... tak... błagam – jęczała.

Pieścił ją coraz szybciej. Coraz mocniej...

Nagle przeszył ją spazm rozkoszy. Złapała go za włosy i pociągnęła na siebie. Oddychała szybko.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Jeszcze nie obudziła się z tego cudownego snu.

I wtedy w nią wszedł. Delikatnie, ale zdecydowanie. Głęboko. Znów zamknęła oczy i przywarła do niego ustami. Byli zespoleni. Żądza i czułość. Razem. Najpierw powoli. Potem coraz szybciej. Coraz głębiej. Coraz mocniej.

– Tak... mocniej... jeszcze... – To już nie był szept.

Krzyczała coraz głośniej.

– Jeszcze... proszę... pieprz mnie... Aleks... mocniej... błagam... pieprz mnie!

Czuł coraz większe podniecenie, czuł zbliżającą się falę rozkoszy, chyba na moment stracił przytomność. Odplynęli razem. Nieświadomi. Rozedrgani. Przytuleni.

Długo trwało, zanim się z niej zsunął.

Leżeli obok siebie, dysząc ciężko. Chłonęli ciszę i blask księżyca, który sączył się z okna.

A potem zasnęli.



# Rozdział 13

Psiakrew, znowu przegrali.

Aleks ze złością wyłączył szpitalny telewizor, który psuł się w najciekawszych momentach.

Co dziwne, dzisiaj się nie zepsuł. Wiedział dlaczego. Psuł się tylko, kiedy wygrywali. A więc jednak niezbyt często.

Nie chciał słuchać zawiłych pomeczowych wywodów futbolowych specjalistów, na siłę szukających kolejnych usprawiedliwień kolejnych porażek, bo i tak wszystko to sprowadzało się do słynnego powiedzenia Gary'ego Linekera: „Futbol to taka gra, w której dwudziestu dwóch facetów biega po boisku, a na końcu i tak zawsze wygrywają Niemcy”.

Musiał się trochę uspokoić. Podeszedł do szafy i wyjął schowaną na wyjątkowe okazje butelkę metaxy, prezent od wdzięcznej pacjentki.

Dzisiaj była wyjątkowa okazja.

Wyjątkowo wysoka przegrana wyjątkowych patalachów.

Rozejrzył się za odpowiednim naczyniem. Jedyne, jakie znalazł, była filizanka do kawy.

Dobre i to. Wyplukał ją, choć była czysta, jakby dzięki temu mogła stać się wytworną koniakówką. Odkręcił korek i powąchał.

Boskie. Upił łyk opalizującego trunku. W jego wnętrzu rozeszło się przyjemne ciepło.

Od razu lepiej.

Stał przez chwilę, delektując się, gdy nagle rozbrzęczał się dyżurkowy telefon.

Nie spiesząc się, z filiżanką w ręku podszedł do stolika i usiadł.

Pewnie Sawicki dzwoni trochę ponarzekać na mecz, pomysłał.

Nikt inny nie mógł o tej porze telefonować pod wewnętrzny numer stacjonarny.

– Nieźle dostali w dupę, co, doktorku? – rzucił zaczepnie do słuchawki.

– Aleks? – usłyszał zdziwiony głos Ewy.

Ale wtopa!

– Przepraszam, myślałem, że to Sawicki – powiedział smętnie.

– Niestety, to ja, przepraszam – rzuciła z ironią Ewa.

– Nie ma za co, nie takie rzeczy się przeżywało. – Nie pozostał jej dłużny.



Tak to już między nimi było.

Boże, jak inaczej wyglądają jego kontakty z Moniką.

Na nowo odkrywał bliskość. Dotychczas najważniejszą kobietą w jego życiu była żona. Miał romanse, a kilka cechował podwyższony poziom serdeczności. Jednak wszystkie kobiety porównywał do Ewy. To ona była miłością jego życia.

W tej chwili jednak ze zdumieniem odkrył, że cały smutek i tęsknota, które nierozłącznie towarzyszyły okresowi poprzedzającemu rozwód, jak i późniejsze stany apatii i zniechęcenia, tak często pojawiające się po rozstaniu, ulotniły się jak kamfora zaledwie po dwóch tygodniach od pierwszej nocy z Moniką.

Teraz nie wyobrażał sobie życia bez niej. Nie tylko nie potrafił myśleć o przyszłości, nie myśląc o niej, ale nawet wydarzenia z przeszłości, momenty największego szczęścia, nagle zbladły.

Wydawało mu się, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Zawsze śmiał się z lirycznych wyznań i romantycznych uniesień.

Kurczę, przecież on w ogóle nie jest romantyczny!

Kiedys zaprosił Martę, swoją byłą sympatię, na kolację przy świecach.

Przygotował swoje popisowe spaghetti carbonara, pięknie nakrył stół, puścił nastrojową muzykę.

Dziewczyna była wniebowzięta.

– Boże, Alik – tak go nazywała – potrafisz stworzyć cudowny klimat. Jesteś taki romantyczny – westchnęła zachwycona.

– Mylisz się, kochanie. – Dobrze pamiętał okrutną odpowiedź. – Tworzę takie klimaty nie dlatego, że jestem romantyczny. Tworzę je, bo jestem esteta.

Zachował się jak dupek.

Kolację musiał zjeść sam. Oczywiście przy świecach. Tak bywało wiele razy. A teraz, gdy wychodził od Moniki, zaczynał za nią tęsknić już za progiem.

Myślał o niej w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Tak! Naprawdę się zakochał! A był przekonany, że już nie potrafi.

Uśmiechnął się do siebie.



– Dzięki za dobre słowo. – Z zamyślenia wyrwał go głos Ewy. – Słuchaj, próbowałam się dodzwonić na komórkę, ale nie odbierasz.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu.

Cholera, rzeczywiście, wyciszył aparat, żeby nikt nie przeszkadzał mu w oglądaniu meczu. „6 nieodebranych połączeń” – mówił komunikat na ekranie.

– Przepraszam, oglądałem mecz, był wyciszony.

– No, nie ma to jak ostry dyżur – mruknęła.

– Chwila, to prywatna komórka. Jak sama zauważyłaś, można się jednak do mnie dodzwonić. Ale chyba nie dzwonicz po to, żeby kontrolować przebieg mojego dyżuru? – spytał ostro.

– Nie, oczywiście, przepraszam... – Ewa była wyraźnie speszona.

Aleks wiedział, że przeproszająca Ewa zwiastuje kłopoty.

– W porządku. Stało się coś? – zapytał zaniepokojony.

– Tak, dzwonię, aby ci powiedzieć, żebyś jutro nie planował popołudnia z Marysią.

– Boże, co się stało? – Teraz już naprawdę się zde nerwował.

– Moja mama jest w szpitalu.

Nie zadawał więcej pytań. Ton Ewy nie pozostawiał wątpliwości, że to coś poważnego. Na parę sekund zapadła cisza.

– Zawał – powiedziała wreszcie Ewa. – Drugi – dodała po chwili.

– Wiem. Pamiętam.

Aleks lubił teściową. Była zaprzeczeniem wszystkich dowcipów na temat matek żon. Ona też go lubiła. Mieli naprawdę dobry kontakt.

Rodzice Ewy mieszkali w Krakowie, skąd pochodziła cała rodzina, nie było więc zbyt wielu okazji do spotkań.

Może właśnie dlatego ich stosunki były zawsze takie serdeczne. Aleks często żartował, że kontakty z teściową poprawiają się wprost proporcjonalnie do odległości, jaka ich dzieli.

Mama Ewy była po prostu fajną babką, która nigdy nie stawiała po stronie córki, nie dowiedziawszy się dokładnie, o co chodzi.

Była sędzią i chyba podświadomie w każdej sprawie, nawet zwykłej rodzinnej sprzeczce, starała się wydać sprawiedliwy wyrok.

A teraz wyglądało na to, że wyrok zapadał właśnie w jej sprawie.

A sprawa, Aleks wiedział to aż za dobrze, była raczej z góry przegrana.

Starsza pani od wielu lat chorowała na nadciśnienie. Powoli dołączała się do tego coraz bardziej agresywna choroba wieńcowa, a w końcu również cukrzyca.

Podczas ich ostatniej wizyty w Krakowie nie mogła zrobić dosłownie kilku kroków bez zażycia nitrogliceryny w aerozolu.

W dodatku w ogóle o siebie nie dbała.

Po pierwszym zawale, w odpowiedzi na błagania rodzinnego kardiologa, ograniczyła nieco palenie, a liczbę kaw zmniejszyła do trzech dziennie.

Imponujący wyczyn, jak na człowieka żyjącego na kredyt.

Ale może to właśnie świadomość, że do drugiego zawału może dojść w najmniej oczekiwanym momencie, kazała jej traktować każdy dzień, jakby miał być tym ostatnim?

Nie zamierzała niczego sobie odmawiać.

Aleks, karcąc ją programowo, podobnie jak cała rodzina, w głębi duszy zawsze przyznawał jej rację. Przynajmniej miała coś z życia.

– Czy jest przytomna? – zapytał.

– Tak, ale rozmawiałam przez telefon z lekarzem i powiedział, że jest źle.

– Zadzwoń tam i dowiem się więcej. Gdzie leży?

– U Świętego Jana. Na intensywnej terapii. Dziękuję.

– Nie ma za co. Kiedy chcesz jechać?

– Jak najszybciej. Za godzinę mam pociąg. Zabiorę Marysię. Może zobaczy babcię po raz ostatni. – Usłyszał ciche chlipnięcie.

– Nie mów tak. Nie wolno – powiedział bez przekonania.

– Nie wiem, kiedy wrócę.

– Jasne. Uściskaj mamę ode mnie.

– No pewnie. Zawsze cię lubiła.

– Ewa! – podniósł lekko głos. – Ona żyje!

– Tak, tak, oczywiście.

Przez chwilę milczeli.

– Dobra, zbieram się, bo nie zdążę na pociąg – westchnęła Ewa.

– Zadzwoń, gdy dojedziesz, proszę.

– Dobrze.

– Ewa... – Urwał.

– Tak?

Chciał powiedzieć coś, co nie zabrzmiałoby głupio i

banalnie, chciał okazać ciepło, przecież naprawdę się martwił, ale nie potrafił.

– ...trzymaj się – rzucił tylko i odłożył słuchawkę.



Aleks usłyszał skrzypnięcie drzwi i do dyżurki wparowała pani Wika, najstarsza pielęgniarka na oddziale.

Prawdziwa siostra starej daty, taka, która zna swoje miejsce w szeregu, nigdy nie odzywa się nieproszona i nie zwraca głowy byle czym z byle powodu.

Pojawiła się, a więc był jakiś nie byle powód.

– Panie doktorze, Szymański ma duszności – oznajmiła.

– Jak wygląda?

– Gorzej niż zwykle.

To powiedziawszy, wyszła dziarskim krokiem i udała się do sali chorych, jakby w ogóle nie brała pod uwagę innego scenariusza niż ten, że lekarz dyżurny ruszy za nią.

Skoro ona oceniła sytuację jako poważną, na sprzeciw po prostu nie było miejsca.

Całe szczęście, że nie jestem jej mężem, pomyślał Aleks, po czym pomaszerował do sali numer dwadzieścia jeden.

Alarm był uzasadniony, chociaż nie można powiedzieć, że mają do czynienia z nagłym przypadkiem.

Władysław Szymański z dnia na dzień czuł się gorzej.

Widać było, że nowotwór rozwija się szybko i coraz bardziej zamyka światło krtani, utrudniając oddychanie.

Coraz większe dawki hydrokortyzonu doraźnie pomagały, zmniejszając nieco obrzęk okolicy guza, ale nie było co się oszukiwać, nie miały najmniejszego wpływu ani na jego rozmiar, ani na tempo rozwoju.

To był właściwie jedyny temat, który spędzał Aleksowi sen z powiek w tym szczęśliwym dla niego czasie. Czuł dyskomfort, że spędza cudowne chwile z Moniką, podczas gdy jej ojciec umiera.

Z początku to było nawet poczucie winy.

Wiele razy zadawał sobie pytanie, czy to w porządku, że spotyka się z córką swojego pacjenta. Czy przekracza kompetencje, czy wykorzystuje sytuację?

Na szczęście szybko uzmysłowił sobie, że takie myślenie nie ma sensu. Ale to go nie uspokoiło.

Wciąż czuł się trochę tak, jakby miał niespłaconą ratę kredytu albo jakby wyjechał na urlop, nie załatwiwszy jakiejś bardzo ważnej sprawy.

Kilkakrotnie próbował nawet porozmawiać z Moniką na ten temat, ale za każdym razem brakowało mu odwagi.

A może po prostu nie chciał ani na moment przerwać tej cudownej bajki, którą przeżywał po raz pierwszy w życiu?

A im bardziej zakochiwał się w Monice, tym bardziej był przywiązany do jej ojca – obcego człowieka. Miał poczucie, że nie powinien aż tak się angażować, że jako lekarz musi zachować zimną krew. Czuł, że jest w coś wciągany, ale odsuwał tę myśl, nie chciał się nad tym zastanawiać, bojąc się wniosków, do jakich dojdzie.

Otworzył drzwi sali.

To, co zobaczył, nie napawało optymizmem.

Różnica między człowiekiem, którego nie tak dawno przyjmował na oddział, a chorym leżącym na łóżku była tak wielka, jakby chodziło o dwie różne osoby.

Wychudzony człowiek o ziemistej cerze patrzył na niego wzrokiem, w którym nie było już ani cienia tak charakterystycznej dla niego pewności siebie.



Aleks ujrzał w jego oczach tylko rezygnację i cierpienie.

Jedyne, co pozostało z dawnego Szymańskiego, to godność.

Widać było, że bardzo cierpi, lecz było to cierpienie świadome, jakby... przemyślane.

Wendt poczuł ukłucie w sercu, załała go fala smutku. To nie zwykła troska o chorego, to poczucie straty, pomyślał.

Szymański oddychał ciężko i chrapliwie, każdy wdech wymagał ogromnego wysiłku.

– Tlen, pani Wiko – powiedział Aleks.

Pielęgniarka wprawnym ruchem włożyła Szymańskiemu wężyki doprowadzające tlen do obu dziurek nosa i odkręciła dopływ gazu.

Efekt był natychmiastowy. Oddech pacjenta stał się nieco równiejszy, głębszy. W jego oczach pojawiła się ulga.

– I jeszcze setka hydrokortyzonu. – Wendt usiadł na brzegu łóżka i zbadał tętno na nadgarstku pacjenta.

W innym przypadku zastanawiałby się nad zwiększaniem dawek preparatów sterydowych pomagających doraźnie, jednak dających fatalne skutki uboczne. Po chwili uświadomił sobie jednak, że temu pacjentowi nic już nie zaszkodzi.

– Dwie setki – rzucił.

Tętno było tylko nieco przyspieszone. Słabe. Pielęgniarka wyszła po ampułki z lekiem.

– Jak się pan czuje, panie Władysławie? – zapytał Aleks.

– Trochę lepiej – padła cicha odpowiedź. – Nieprawda. Bardzo źle – dodał Szymański po chwili, a w kącie jego oka pojawiła się łza.

Z wysiłkiem podniósł rękę i ją otarł. Załamanie i bezsilność powoli, lecz nieubłaganie wygrywały batalię o jego świadomość.

Aleks wiedział, że dla takich ludzi jak Władysław Szymański, ludzi, którzy zawsze panują nad sytuacją, poczucie ubezwłasnowolnienia jest gorsze od fizycznego bólu.

Postanowił jeszcze raz spróbować przekonać go do tra-cheotomii, by przynajmniej mógł swobodnie oddychać.

– Chciałbym panu pomóc... – zaczął niepewnie.

– Chciałbyś? Naprawdę? – Chory jakby nagle się ożywił, ale natychmiast się rozkaszał.

– Tak – odparł Aleks z nadzieją. Czyżby wreszcie udało mu się przekonać Szymańskiego do przyjęcia rurki? To byłoby trochę szczęścia w nieszczęściu, mały sukces, którego tak potrzebował.

Chociaż właściwie po co?

Żeby uspokoić sumienie, że coś zrobił? Czyli *non nocere*? Czyli tak, jak trzeba?

Przez chwilę pojawiły się wątpliwości, ale mimo wszystko Aleks był zadowolony, że może wreszcie będzie mógł działać, zamiast siedzieć beczynn timer i patrzeć na powolną śmierć.

– Pomożesz? – Szymański przestał kasłać i spróbował usiąść. Aleks pochylił się, podtrzymując go za ramię i pomagając oprzeć się o poduszkę.

Spojrzał choremu w oczy i zobaczył dziwny błysk.

– Tak, pomogę – odparł, nie wiedząc tak naprawdę, o co Szymańskiemu chodzi.

– Dobij mnie – wycharczał chory. – Dobij !

– Co? – Aleks był tak zaskoczony, że nie potrafił wydu-sić nic więcej.

– Dobij! Proszę! – Szymański złapał go za nadgarstek.

Ten wyniszczony człowiek trzymał jego rękę w stalowym uścisku, a w oczach miał przerażającą determinację.

Aleks poczuł strach. Miał wrażenie, że Szymański chce pociągnąć go w przepaść.

W śmierć.

W piekło.

Próbował się wyrwać. Bezskutecznie.

Wydawało mu się, że to niekończący się niemy film.

W końcu wyrwał rękę, wstał i dopadł do drzwi.

Zderzył się w nich z panią Wiką, wytrącając jej z rąk tackę ze strzykawką.

– Co się stało, panie doktorze? – spytała zdziwiona.

– Nic, nic... proszę podać... proszę... – próbował opanować drzenie głosu – ja muszę na chwilę...

Spojrzał jeszcze na Szymańskiego: leżał spokojnie, odychał głęboko i równo.



Aleks wpadł do dyżurki i oparł się o ścianę przy drzwiach. Dygotał, był spocony, jakby właśnie wyszedł z siłowni.

Dopiero po dobrych kilku minutach tętno i oddech wróciły do normy.

Przemył twarz zimną wodą i otworzył szafę. Tym razem porcja metaxy była adekwatna do sytuacji.

Środek uspokajający. Końska dawka.

Spróbował zebrać myśli. Nie było to łatwe, ale zaczął działać instynkt samozachowawczy.

W sytuacjach kryzysowych nie ma lepszego doradcy.

A więc wreszcie wszystko się wyjaśniło. Po to były te wszystkie rozmowy, jak zarzucanie sieci.

„Dobij mnie”.

Jeżu, co to w ogóle za określenie? – pomyślał. Jeżeli

kiedykolwiek miałby wyobrazić sobie taką sytuację, siebie w takiej sytuacji, Szymańskiego w takiej sytuacji, spodziewałby się eufemizmów, argumentacji, perswazji, cichych i skupionych rozmów o ludzkiej godności, prawie do decydowania o swoim losie, etyce lekarskiej, moralności i Bóg wie o czym jeszcze.

Podświadomie każdy lekarz, a szczególnie taki, który pracuje z nieuleczalnie chorymi, ma świadomość, że nie uniknie takiej rozmowy.

To nie znaczy, że wie, co powiedzieć. Czasem musi po prostu słuchać.

Problem leży w tym, że tu nie ma miejsca na żadną rozmowę, bo przecież nie dobija się ludzi.

Tak, Władysław Szymański wiedział, że nadchodzi moment, kiedy nie ma mowy o jakiegokolwiek dyskusji. Jest życie i jest śmierć.

Aleks upił łyk koniaku. Powoli wracał spokój.

Usiał w fotelu, odchylił głowę do tyłu i na chwilę się odprężył.

I wtedy uzmysłowił sobie coś, od czego pociemniało mu w oczach. W ułamku sekundy wrócił strach, który czuł, uwalniając rękę z uścisku Szymańskiego. Znow zobaczył przepaść, poczuł siłę, która nieubłaganie pcha go w czeluść.

Wiedział, że nie potrafi odmówić Szymańskiemu. Ani Monice.

# Rozdział 14

Był początek marca. Zapadał wczesnowiosenny pogodny wieczór. Jeszcze bezlistne drzewa odcinały się na tle ciemnogranatowego nieba.

Boże, jak tu cudownie, pomyślał Aleks, rozglądając się za swetrem. Gdy zaszło słońce, zrobiło się chłodno.

Prawie przez pół dnia siedział na leżaku, ciesząc się pierwszym naprawdę wiosennym, popołudniowym słońcem.

Z niecierpliwością czekał na ten dawno już zaplanowany wspólny weekend w rodzinnej posiadłości, jak żartobliwie nazywała to miejsce Monika. Uznali, że należy im się chwila wytchnienia, kilka dni bez szpitala i umierania.

„Rodzinna posiadłość” okazała się niewielkim, ale uroczym domkiem w mazurskiej miejscowości, której nazwę Aleks ciągle zapominał. Właściwie nie była to miejscowość, bo chata stała na odludziu, otoczona lasem.

Połykująca w oddali tafla jeziora, nieporuszana najmniejszym nawet wiatrem, pomost i przycumowana do pomostu niewielka łódka uzupełniały ten sielankowy widok.

Chata była urządzona komfortowo i gustownie. Była w niej ciemna dębowa podłoga i kamienny kominek. Prawdziwą

ozdobę stanowiły jednak meble. Czegoś takiego Aleks jeszcze w życiu nie widział. Całe umeblowanie salonu składało się z elementów wykonanych z rogu łosia i jelenia oraz skóry.

Wszystko, od obitej miękką skórą kanapy i foteli po stoliki, kinkiety, a nawet popielniczki i przycisk do papieru, układało się w myśliwską opowieść. Rzeźbione w rogowej masie sceny z polowań ozdabiały każde oparcie, każdy blat i uchwyt. Na ścianach królowały wielkie, dumnie rozpostarte poroża jeleni, biegających zapewne kiedyś po okolicznych lasach. Na podłodze leżały skóry dzików, szaroczarne, pokryte grubym, twardym włosiem.

Prostota, naturalne piękno.

Aleks powoli przyzwyczajał się do tego, że Monika i wszystko, co ją otacza, wciąż go zaskakuje.

– Ojciec przez wiele lat polował – opowiadała, oprowadzając go zaraz po przyjeździe. – Te wiszące poroża to w dużej mierze jego trofea. Resztę zbierał przez lata. Niektóre należały do dziadka. Na początku była to zwykła myśliwska chata. Ojciec rozbudował ją, kiedy byłam mała. Dodał piętro, zmodernizował łazienki, kuchnię. – W jej głosie słychać było entuzjizm zaprawiony podziwem i melancholią.

Całe godziny spędzali w sypialni, w wielkim drewnianym łóżku z dziewiętnastego wieku.

Spali do południa, kochali się, jak mawiał, z przerwami na spanie albo po prostu leżeli w milczeniu, przytuleni, patrząc przez ogromne okno, z którego rozciągał się przepiękny widok.

Bezkresna łąka, teraz jeszcze brunatna, z nieśmiały mi kępami trawy, z jednej strony zamknięta ciemną, groźną

ścianą lasu, z drugiej łagodnie schodząca w dół, do wąskiej plaży z białym piaskiem okalającej małą zatoczkę, jakby odsuniętą na bok przez spokojną, rozciągającą się aż po horyzont toń jeziora.

Bajka.

Czuł, że mógłby zostać tutaj na resztę życia. Nie tęskniłby do pracy, ulic, zgiełku. Nie tęskniłby do ludzi. A gdyby była tu z nimi Marysia, właściwie niczego by mu do szczęścia nie brakowało.

Monika krzątała się, gotując, piekąc smakowite bułeczki albo porządkując uporządkowane idealnie kąty. Dbała o to, żeby miał czas na odpoczynek, na chwilę zadumy, oderwania.

Dawkowała swoją obecność.

Między innymi za to ją podziwiał. Albo jest doskonałym psychologiem, albo po prostu jest wrażliwa i otwarta na ludzkie potrzeby.

A może tylko na jego potrzeby?

Wiedziała, że faceta, który tak długo był sam, nie można zagłaskać. Nie należy nagle zmieniać jego świata, wypełniając go nowym bytem, choćby nie wiadomo jak atrakcyjnym i wspianiałym. Mimo to ich świat był niezwykle intensywny. Intensywna była każda spędzana razem chwila, każde wspólne przeżycie, bez względu na to, czy był to seks, słuchanie muzyki, czy jedzenie sałaty.

Bardzo intensywnie również ze sobą nie byli.

Za każdym razem, kiedy się rozstawali, nieważne, czy na cały dzień, czy choćby na kilkanaście minut, dawali sobie wolność.

Nie było wydzwaniania co godzinę, SMS-ów o treści „kocham, co robisz?”, nie mówiąc o jakimkolwiek kontrolovaniu.

To było co innego niż kontakty, do których Aleks był przyzwyczajony. Ewa była zachłanna, chciała być zawsze przy nim, niepodzielnie rozgościła się w jego rzeczywistości, nie zostawiając przestrzeni na jakąkolwiek prywatność.

Na początku było to fascynujące, czuł się, jakby grał w filmie o miłości, w którym wiecznie uśmiechnięci bohaterowie żyją długo i szczęśliwie w ładnym białym domku, otoczeni gromadką dzieci.

Była tylko jedna różnica: nie można było wyjść z kina. Po pewnym czasie bohaterowie przestali się uśmiechać, a ściany domku prosiły się o remont.

Z Moniką było zupełnie inaczej.

Podświadomie czekał, aż pojawi się znużenie, przecież zawsze w końcu się pojawia. Ale nie tym razem. Znali się niecałe trzy miesiące, a on wciąż był zakochany w Monice, jak w pierwszych dniach.

Może dlatego, że ona też potrzebowała wolności?

Wyciągnął się wygodnie na leżaku. Spod półprzymkniętych powiek patrzył, jak chodzi po ogrodzie, sprawdzając, czy pojawiły się już pierwsze listki.

Była piękna. Bez makijażu, w obszernych džinsach i sportowej bluzie, z włosami związanymi w koński ogon.

Nawet przy banalnych czynnościach w każdym jej ruchu widać było elegancję i harmonię.

Tak, są kobiety, które sprzątają, a wszyscy mają wrażenie, jakby tańczyły. A są też takie, które tańczą, a wszystkim się wydaje, że robią porządki.



Podeszła i lekko przesunęła dłonią po jego podbródku. Otworzył oczy.

– Chcesz kawy? – zapytała.

– Nie, dzięki. Nie potrzeba mi niczego do szczęścia.

– A ja? – Uśmiechnęła się zalotnie.

– No, ciebie już mam. – Lubił się z nią przekomarzać. – Chociaż może wolałbym jednak kawę?

– Niestety, pierwsza odpowiedź się liczy. – Zdjęła wiązany na poręczy pled i owinęła się nim, siadając na drugim leżaku.

– No trudno, jak się nie ma, co się lubi... – Znów zamknął oczy.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. W jego życiu było dużo kobiet, z którymi potrafił rozmawiać. Monika była pierwszą, z którą potrafił też milczeć.

– Ciągle myślę o ojcu – powiedziała nagle, a w jej głosie brzmiał taki smutek, że Aleks miał wrażenie, iż nagle zrobiło się ciemniej.

– Ja też, naprawdę. – Chciał, żeby zabrzmiało to szczerze, chciał, żeby czuła, że jest przy niej, że może na niego liczyć.

Ale chociaż bolało ich oboje, to jednak bolało osobno.

– Ale to nie jest twój ojciec – rzuciła posępnie, jakby czytała w jego myślach. – Przepraszam – rzekła po chwili zmieszana. – Gadam jak idiotka, przecież ty nie tak dawno straciłeś mamę.

– Nie szkodzi, masz rację, w takiej sytuacji nie można zrozumieć drugiej osoby, choćby nie wiem jak się chciało. Ja chcę, ale nie będę udawał, że potrafię.

– Nie musisz. – Monika wstała z leżaka. – Chcę tylko, żebyś mnie przytulił. – Usiadła mu na kolanach.

Objął ją i mocno przytulił. Poczul jej ciepło i lekko miętowy zapach włosów.

Usłyszał cichutkie pochlipywanie, a po chwili Monika rozszlochała się na dobre.

– No, już, cicho. – Głaskał ją po głowie. – Nie płacz...

Powoli się uspokajała. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

W jej oczach malował się bezgraniczny smutek.

– Aleks, ja tego nie wytrzymam. Nie mogę patrzeć, jak on się męczy... – Znowu łzy. – Nie mogę... uciekam stamtąd... żeby nie patrzeć, żeby tam nie być... a przecież powinnam... A teraz mam wyrzuty sumienia, że tu z tobą jestem, a on tam... – Nie chciał jej przerywać. Nie miał zresztą nic mądrego do powiedzenia. Wiedział, że jedyne, co może w tej chwili zrobić, to po prostu być. – Najgorsze jest to, że wciąż mam świadomość, iż powinnam jakoś mu pomóc... Zawsze był taki wymagający... Zawsze musiałam robić to, czego on chciał... nigdy nie potrafiłam się z tego wyzwolić.

Wzięła ze stolika paczkę chusteczek higienicznych. Przez chwilę mocowała się z zamknięciem, w końcu wyjęła jedną i otarła łzy.

Aleks patrzył na nią w milczeniu.

– Ukochana córunka... – prychnęła po chwili. Już nie płakała, ale wyglądała na jeszcze bardziej przygnębioną. – Całe moje życie to spełnianie jego oczekiwań... Zawsze musiałam być najlepsza, zawsze musiałam umieć pokazać, że w każdej sytuacji może na mnie liczyć, że nigdy go nie zawiodę... Nie potrafiłam mu się przeciwstawić... – Ostatnie słowa zgasty, jakby się ich przestraszyła.

Znów mocno ją przytulił. Słyszał, jak bije jej serce, wydawała się taka krucha i bezbronna.

Czuł się za nią odpowiedzialny. Jej problemy stały się jego problemami.

Były takie... namacalne.

Po chwili znów się odsunęła i spojrzała na niego.

– Zawsze był dla mnie wzorem... ideałem... człowieka, mężczyzny. Nawet moje małżeństwo rozpadło się, bo podświadomie szukałam w mężu ojca. Mąż nie stawiał mi wymagań, wyzwania... – dodała z sarkazmem. – Wiesz, co jest najstraszniejsze? – Urwała. – Najstraszniejsze jest to... – podjęła po chwili – że teraz też stawia przede mną wyzwanie, teraz też muszę pokazać, że może na mnie liczyć. – Znów się rozpląkała, tym razem cicho, jakby to nie Aleks był przy niej, ale właśnie ojciec, jakby to do niego mówiła, usprawiedliwiając się, przepraszając za fiasko jakiejś wymyślonej misji.

Aleks milczał. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Wiem, że mnie potrzebuję. Ale uciekam... uciekam, bo nie mam siły. A nie potrafię nie mieć siły. – Znów się do niego przytuliła. – Pomóż mi, Aleks... – To był szept tak cichy, że raczej czuł go, niż słyszał – Błagam cię, pomóż mi.

Tulił ją, ale tak jak ona był zagubiony. Ludzie mówią, że im bardziej jesteśmy w danym momencie szczęśliwi, tym boleśniej poczujemy nieszczęście, które na nas spadnie.

– Jestem przy tobie, jestem... – powtarzał, kołysząc ją w ramionach.

Trochę się uspokajała.

– Pomóż mi... to zrobić – wykrztusiła.

– Moniko, o czym ty mówisz? – Wziął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy. – O czym ty mówisz, dziewczyno?!

To, co w tych oczach zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

To była determinacja granicząca z obłędem.

To było twarde spojrzenie człowieka, który podjął już decyzję i któremu nikt i nic nie będzie w stanie się przeciwstawić. Milczeli przez bardzo długą chwilę.

– Wiesz, o czym mówię – odezwała się wreszcie Monika.

– Nie, Moniko, tak nie można – wyszeptał.

– Nic nie rozumiesz. Ja muszę to zrobić. On tego chce... i ja go nie zawiodę. Nie tym razem. Aleks, to mój ojciec. Nie pomożesz mi?

Aleks nie mógł wykrztusić słowa.

– Zrobię to z tobą albo bez ciebie – oznajmiła twardo.

– Moniko, nie możesz... błagam...

– A co? Powstrzymasz mnie? Zamkniesz? Sama zdobędę lekarstwa...

Aleks chciał coś powiedzieć, zrobić coś, co sprawi, że Monika zmieni decyzję. Może powinien czymś jej zagrozić? Może błagać?

Wiedział jednak, że jej nie powstrzyma. Ale wiedział też, że musi ją chronić.

Nie miał pojęcia, co robić, ale jednego był pewny: nie może stracić tej kobiety.

– Kocham cię, Aleks – powiedziała łagodnie. – Chcę tylko, żebyś mi pomógł... nie mam nikogo, kogo mogłabym o to poprosić.

Znów była sobą. Ciepłą, kochaną Moniką. Jego Moniką.

– Nie chcę, żebyś cokolwiek robił. – Zaczęła głaskać jego rękę. – Tylko bądź przy mnie... potrzebuję cię... nie chcę po tym zostać sama... – Spuściła głowę.

– Moniko, nie musisz... – zaczął.

– A ty byś tego nie zrobił dla swojej matki? – przerwała mu.

Nie miała już siły płakać. Ale to nie była rezygnacja. Teraz przemawiała przez nią siła i miłość do ojca. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Nie wiem... – odparł cicho. – Po prostu nie wiem, co bym zrobił... może...

Ale tak naprawdę już wiedział, choć bał się do tego przyznać.

– Wracajmy do domu. – Wstał z łóżka.

## Rozdział 15

– ...i niech Pan przyjmie ją do Królestwa Niebieskiego, a aniołowie niech się radują.

Monotonny, jakby znudzony głos proboszcza unosił się nad głowami zgromadzonych przy trumnie.

No i niby z czego te anioły mają się tak radować? – pomyślał Aleks. Z tego, że na tej zasranej planecie jest o jedną osobę mniej?

Nie cierpiał pogrzebów. Wprawiały go w koszmarny nastrój, a myśli, które wtedy przychodziły mu do głowy, były przeważnie równie głupie ja ta.

To było najgorsze możliwe zakończenie weekendu.

Wrócił z Mazur w nie najlepszym nastroju. Odwiózł Monikę, ale rozmowa przez całą drogę jakoś się nie kleiła i wspomnienie cudownych chwil spędzonych razem przegrało z chandrą i korkiem na wjeździe do Warszawy.

Rzucił torbę na łóżko w sypialni, wziął prysznic, co przeważnie pomagało, ale już po minucie stwierdził, że tym razem nie pomoże. Zaparzył kawę i ledwo zdążył usiąść w fotelu z *Kocią kołyską* Vonneguta, która była ostatnią przeciwdepresyjną deską ratunku, kiedy zadzwoniła Ewa z

informacją, że stało się i pogrzeb jego teściowej odbędzie się pojutrze w Krakowie.

Po takiej informacji można było już tylko strzelić sobie w łeb albo pójść spać.

Wybrał to drugie.

A teraz stał pod parasolem w strugach deszczu (bo oczywiście jakże mogło być inaczej, jeszcze godzinę temu świeciło przecież słońce), słuchając poetyckich wycopin prze-męczonego księdza i patrząc na twarze przybyłych licznie żałobników, którzy w większości ledwo znali zmarłą, a przyszli, „bo wypada”.

Beznadzieja to mało powiedziane.

– ...i Ducha Świętego. Amen – usłyszał.

No tak, „amen” to właściwe słowo.



Po pogrzebie zabrał Marysię na spacer.

Nie chciał, żeby mała siedziała na stypie ze smętnymi dorosłymi, sam zresztą też nie czuł się dobrze w towarzystwie rodziny i znajomych byłej żony, z których wielu nie znał.

Takich imprez nienawidził chyba jeszcze bardziej niż pogrzebów. Nie potrafił zrozumieć, po co się je organizuje.

Skwapliwie podchwycił więc prośbę teścia, żeby zajął się córką po uroczystości na cmentarzu, bo Ewa nie będzie miała do tego głowy.

Spacerowali więc sobie z Marysią po krakowskich Błoniach, zjadając hot dogi, które może były mniej wytworne niż przygotowany dla gości poczęstunek, ale za to nie wiązały się z koniecznością prowadzenia jałowych dyskusji przy żałobnym stole.

Oczywiście natychmiast po zakończeniu ceremonii wy-  
pogodziło się i wyszło słońce, z ulic znikły parasole i zrobiło  
się ciepło.

Tak, Kraków jest naprawdę cudowny wiosną.

Nie można tego było, niestety, powiedzieć o nastroju  
Aleksa. Ani słońce, ani nawet obecność córki nie mogły za-  
radzić niepokodzie jego duszy.

Śmierć teściowej ostatecznie przepełniła czarę goryczy.  
Może w innych warunkach przyjąłby ją lepiej, spokojniej, ale  
teraz, przy tym wszystkim, co działo się wokół niego, bardzo  
bolała.

Spróbował przez chwilę o tym nie myśleć i rozkoszować  
się słońcem.

Spojrzał na Marysię. Wsunęła już dwa hot dogi, a teraz  
wycierała serwetką ubrudzoną musztardą buzię. Zarumieniała  
się troszkę od pierwszych wiosennych promieni i wyglądała  
słodko.

– Tatusiu, co to znaczy być jak roślina? – zapytała  
zniechęta.

Aleks na moment zaniemówił.

– Gdzie usłyszałaś coś takiego?

– Wiesz, tato, może nie powinnam ci tego mówić... –  
Marysia była zakłopotana. – Bo wiesz, ja to podsłuchałam.  
Ale zupełnie niechcący... – zastrzegła. Postanowił jej nie  
strofować. Nie dzisiaj. – Wiem, że to brzydko podsłuchiwać.

– Dobra, zapomnijmy o tym – powiedział Aleks wielko-  
dusznie.

– No więc dziadek rozmawiał z mamą wczoraj... – cią-  
nęła Marysia. – Zeszłam na kolację, ale jeszcze musiałam  
pójść do łazienki umyć ręce, a oni byli w kuchni, więc tak...  
przypadkiem... usłyszałam, jak rozmawiali...



– I co mówili?

– No i... rozmawiali o babci, że... nie żyje... mama płakała... chciałam wejść, ale pomyślałam sobie, że skoro płacze, to może... no wiesz... będę przeszkadzała... i w ogóle... Dziadek uspokajał mamę, mówił, że tak musiało być... i takie tam... no... a później właśnie powiedział, że to lepiej, że umarła, niż gdyby miała być rośliną...

Marysia spojrzała na ojca pytająco.

No i tak się kończy wygadywanie głupot przy dzieciach, pomyślał, ale po chwili zastanowienia stwierdził, że tak naprawdę to nie były głupoty.

– Marysiu – zaczął łagodnie – człowiek roślina to chory, który nie może wstawać, ruszać się... nic koło siebie zrobić... – Uznał, że taki opis jest bezduszny. – Jest jak... kwiat... – dodał ciszej.

– Kwiaty są kolorowe – zauważyła Marysia.

– Ludzie też bywają. – Uśmiechnął się cierpko. – A przynajmniej trzeba w to wierzyć – dodał po chwili.

– Ale nie ludzie rośliny, prawda?

– Nie – odparł poważnie.

– I dziadzius wolał, żeby babcia umarła, niż... – Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę.

– Nie, na pewno nie – odpowiedział, starając się, żeby zabrzmiało to zdecydowanie, choć nie wiedział, co tak naprawdę miał na myśli teść.

– No to dlaczego tak powiedział?

– Może chciał pocieszyć mamę, znaleźć jakiś malutki plusik w tym wszystkim, żeby nie było jej tak ciężko... nie wiem...

– Dziadek kochał babcie, prawda?

– Tak, bardzo.

– No a przecież jak się kogoś kocha, to nie można chcieć, żeby ten ktoś umarł.

Aleks nagle poczuł, że to dziecinne pytanie jest zaskakująco dojrzałe.

– Prawda, że nie można?

– Nie można – zgodził się. – Chociaż... – Urwał. Jak ma dziecku opowiedzieć o męce umierania i o godności?

– Chociaż co? – podchwyciła Marysia.

– Nie, nic... – mruknął.

Jak siedmioletnia dziewczynka może poradzić sobie z problemem, którego on, dorosły facet, lekarz, i to ponoć niezły, nie potrafi rozwiązać?

– Chcesz lody? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Nie, dziękuję. – To jest chyba jednak dzień smutnych tematów.

Szli w milczeniu. Niebo znów się zachmurzyło, a w oddali rozległ się cichy, przeciągły grzmot. Nadchodziła wiosenna burza.

– Jest daleko – powiedziała nagle Marysia.

– Co jest daleko? – nie zrozumiał.

– Burza. Jest daleko, bo nie widać błyskawicy, a słychać grzmot.

Uwielbiał to jej zainteresowanie otaczającym światem. Był dumny, że ma to po nim, a w wielu kwestiach już teraz go przerastała. Kolekcjonowała wiadomości z tak różnych i dziwnych dziedzin, że czasami wprowadzała go w zakłopotanie. Zapamiętywała mnóstwo nieistotnych z pozoru detali i wykorzystywała w najmniej oczekiwanych sytuacjach. Była też nad wiek dojrzała, co trochę go niepokoiło.

– Babcia też jest daleko – powiedziała. – Może... tam jest jej lepiej?

Aleks spojrział na córkę. Patrzyła przed siebie, jakby wy-  
patrywała burzy, głęboko zamysłona.

– Więc... może... to dobrze, że umarła? – dodała cicho. –  
Tatusiu... ja tęsknię za babcią... – Rozpłakała się na dobre, a  
on ukucnął i mocno ją przytulił.

Niebo rozdarła błyskawica. I zagrzmiało dużo głośniej.

– No dobra, a teraz biegiem do samochodu! – krzyknął  
Aleks.

Pobiegli na skróty, przez trawniki, przecinając wąskie as-  
faltowe alejki.

Wielkie, ciepłe krople kwietniowej ulewy zaczynały wła-  
śnie rozpryskiwać się na parkowych ławkach.

Aleks zdjął kurtkę i otulił nią Marysię.

# Rozdział 16

Biegł.

Coraz szybciej i szybciej. Ile sił w nogach. Byłe dalej, byłe przed siebie.

Ale im więcej wysiłku wkładał w każdy krok, tym jego nogi stawały się cięższe, coraz bardziej sprzeciwiające się popychającej je naprzód sile woli.

Był potwornie zmęczony. Latarnie przesuwwały się przed jego oczami jak na zwolnionym filmie.

Wyrastała przed nim następna i następna, tworzyły coś na kształt świetlnego korytarza, który nie miał końca, który wciągał go w przedziwną przestrzeń, niebezpieczną i nieokreśloną, zamkniętą tylko z dwóch stron wiodącym donikąd szpalerem światła.

Psiakrew, skąd latarnie na środku pustyni? – pomyślał.

Ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Musiał biec.

Byli blisko. Tuż za nim. Słyszał za plecami odgłos ich kroków.

Jak daleko? Kilka metrów? Kilkanaście?

Obejrzał się.

Nic. Ciemno. Pustka.

Może go nie zauważyli? Może ich zgubił?  
Przyspieszył kroku. Jeszcze chwila, jeszcze szybciej.  
Może się uda.

I wtedy znów usłyszał kroki. Wciąż byli za nim.

Musi dać z siebie więcej, jeśli chce uciec.

Nie było już latarni. Aleks zanurzał się coraz głębiej w ciemny zaułek, w matowy mrok.

Widział tylko zarysy budynków po obu stronach. Im dalej biegł, tym stawały się wyższe i wyższe.

Nagle wyrosła przed nim kamienna ściana, wysoka chyba na dwadzieścia metrów.

Niemożliwe, cholera, niemożliwe, pomyślał spanikowany.  
Musi być jakieś wyjście, przecież to jest ulica.

Ulica?

Pustynia?

Podbiegł do ściany. Rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek możliwości wspinaczki. Drabina? Schodki? Choćby mały występ. Rozglądał się, serce waliło mu jak młotem. Nic.

Byli tuż-tuż. Wiedział, że za chwilę wyłonią się z ciemności.

Wtedy je zauważył.

Małe drzwi w rogu. Prawie całkiem zakryte przez opadający po ścianie bluszcz.

Podbiegł do nich, modląc się, żeby nie były zamknięte.

Nie były. Zaskrzypiały stare zawiasy.

Pociągnął mocniej, aż drzwi otworzyły się szeroko.

Kroki stawały się coraz głośniejsze. Za chwilę tu będą.

Przekroczył pośpiesznie próg i stanął...

...nad przepaścią!!!

Jezus Maria, to niemożliwe, pomyślał, nie, tak nie może być... Wiedział, że to koniec. Że nie ma dokąd uciec. Że go mają. I że nie będzie litości.

W ułamku sekundy podjął decyzję: nie dostaną go żywego.  
Skoczył.

W otchłań. W czern. W pustkę.

I w niepewność.



Obudził się zlany potem. Przez chwilę nie mógł dojść do siebie, przetarł oczy, usiadł na łóżku.

Boże, co za horror, pomyślał.

Głowa bolała go, jakby miał kaca, a przecież nic nie pił. Położył się tylko na chwilę po przyjściu z pracy, na chwilę...

Spojrzał na zegarek. Matko, spałem prawie trzy godziny, uświadomił sobie zdziwiony.

Przemęczenie ostatnich dni dawało o sobie znać. Podróże i pogrzeby za pewnością nie były na nie lekarstwem.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był na urlopie. Zresztą po rozwodzie i tak nie miałyby z kim go spędzić, a nie uśmiechało mu się siedzenie w domu przed telewizorem, więc wolał brać dodatkowe dyżury.

Jednak ostatnio było tego chyba za dużo.

Głowa mu pękała. Zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu proszków przeciwbólowych. Oczywiście w domu lekarza lekarstw nie było, ale znalazł w końcu dwie pigułki ibuproenu w kieszeni spodni przeznaczonych do prania.

Popił je zimną kawą, którą zaparzył po przyjściu do domu – zasnął, upiwszy zaledwie łyk – i wtedy nagle przypomniał sobie, że na szesnastą umówił się z ojcem. Dla pewności spojrzął na ścienny zegar wiszący nad kuchennym okapem.

No tak, szesnasta trzydzieści...

Chwycił telefon. Ojciec odebrał po pierwszym sygnale, jakby czekał, aż Aleks zadzwoni.

– Tato, spóźnię się chwilę...

– Już się spóźniłeś, gwoli ścisłości – padło bezlitosne, choć wypowiedziane serdecznym tonem stwierdzenie.

– Przepraszam, zasnąłem po pracy i dopiero co się obudziłem. – Aleks stwierdził, że nie ma sensu kłamać i opowiadać o niezwykle ważnych spotkaniach, które wypadły niespodziewanie.

– To dobrze, bo już się martwiłem, że coś ci się stało. – W głosie ojca słychać było troskę.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Niedługo będę.

– No dobra, czekam – zakończył Wendt, chyba nie do końca przekonany o dobrej formie syna.

Miał rację. Syn nie czuł się najlepiej. I nie dotyczyło to tylko przemęczenia i bólu głowy.

Aleks poszedł do łazienki, by wziąć przed wyjściem szybki prysznic.



Okolica, w której stał rodzinny dom Wendtów, w pełni usprawiedliwiała określenie „chłopak z dobrego domu” użyte w stosunku do jej męskiego potomka. Rozkwitający właśnie majową zielenią Górny Mokotów to z pewnością jedna z najpiękniejszych dzielnic Warszawy. Przy wąskich uliczkach rosły szpalery akacji i kasztanowców, pokrytych wiosennymi liśćmi.

Za drzewami bieleły się murowane ogrodzenia, gdzieniegdzie ustępujące miejsca gęstym żywopłotom strzegącym prywatności mieszkańców.

Zapuszczając się w te rejony, przypadkowy przechodzień miał wrażenie, że czas nagle zaczyna płynąć wolniej, jakby zgiełk i gwar ruchliwych ulic stolicy wchłonęły problemy i pośpiech, zostawiając trochę miejsca dla spokojnej refleksji.

Mieszkając tutaj przez całą młodość, Aleks nie zwracał na to uwagi. Ale ostatnimi czasy, kiedy częstotliwość jego odwiedzin u ojca spadła do poziomu nieprzekraczalnego minimum synowskiej przyzwoitości, za każdym razem parkując samochód przed furtką rodzinnego domu, odczuwał „syndrom Alicji”, jak zwykł to nazywać.

Co prawda, drogę do tego miejsca znajdował za każdym razem bez pomocy białego królika, ale wrażenie odrealnienia było podobne.

To była jego Kraina Czarów.

A w niej mieszkaly wspomnienia. Pojawiały się zawsze na tym krótkim odcinku między jezdnią a gankiem. Otwierały z nim furtkę, przechodziły wąską alejką koło klombów peonii, wchodziły po kamiennych schodkach, tych samych co dwadzieścia lat temu.

Tak, zawsze kiedy myślał „dom”, przed oczami stawało mu to miejsce.

Tylko tutaj czuł się tak naprawdę u siebie.

Nacisnął guzik dzwonka.

Miał wprawdzie klucze, które nie wiadomo dlaczego zawsze nosił przy sobie, ale nigdy nie używał, kiedy ojciec był w domu. Uznał, że to byłoby pogwałcenie prywatności staruszka.

Stał przez chwilę, patrząc na krzaki agrestu piętrzące się pod ogrodzeniem.



Po chwili w uchylonych drzwiach ukazała się uśmiechnięta twarz ojca.

– No, nareszcie. To się nazywa spotkanie o szesnastej – zakpił ojciec, wpuszczając go do środka.

– Przepraszam, tato, położyłem się tylko na chwilę, żeby odpocząć po pracy, a spałem trzy godziny. Jakiś zmęczony ostatnio jestem...

– Nie ma nic gorszego niż spanie w środku dnia. – Ojciec nie mógł odmówić sobie pouczania. Aleks był do tego przyzwyczajony, ale dziś go to drażniło.

Słuchanie pouczeń było ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę.

Gdy tylko przekroczył próg domu, ogarnął go spokój.

Od dawna się zbierał, żeby odwiedzić ojca, wiedział, że powinien wpadać do niego przynajmniej raz w tygodniu, ale teraz czuł, że ma ochotę spędzić z nim trochę więcej czasu.

– Czego się napijesz? – spytał ojciec.

Weszli do kuchni. To właśnie tu, przy kuchennym stole, koncentrowało się zawsze życie towarzyskie w domu Wendtów. To nie znaczy, że nie było salonu. Był, i to nawet dość duży, ładny, z wygodnymi skórzanymi kanapami, zapraszający ciepłem ognia w kominku, ale goście zawsze siadali w kuchni. Najlepiej czuli się na drewnianej ławie z kubkiem kawy w ręku.

Pamiętał do dzisiaj, co mówiła o tym mama: „Jeżeli zapraszasz kogoś do pięknego salonu, dajesz mu możliwość pocucia się szanowanym i cenionym gościem. Jeżeli zapraszasz go do kuchni, może poczuć się domownikiem”.

Tak, kiedyś do tego domu przychodziło mnóstwo ludzi.

A teraz był pusty i cichy.



– Kawę poproszę – odparł Aleks.  
– No to zrób dwie – z uśmiechem powiedział ojciec. To był taki ich żart. Pytania i odpowiedzi nigdy się nie zmieniały.

Wkrótce siedzieli przy stole, popijając kawę i niezbyt uważnie słuchając sączących się ze stojącego na parapecie radia leniwych dźwięków muzyki latynoamerykańskiej.

Aleks czuł się zdecydowanie lepiej, głowa przestała go boleć, a najwspanialsze było to, że tutaj nikt go nie szukał, nikt niczego od niego nie chciał, donikąd nie musiał się spieszyć. Cieszył się tym, z przyjemnością słuchał ploteczek dotyczących znajomych i opowiadał, co w pracy. Aleks znał jednak ojca. Wiedział, że ta beztroska pogawędka nie potrwa długo. Nie pomylił się.

– Dawno cię nie było. – Stary Wendt spowaźniał.

– Przepraszam – powiedział Aleks cicho. Nie chciał mnożyć głupich usprawiedliwień.

– Mama mawiała, że nie przychodzą tylko niewysłane listy i niezaproszeni ludzie – ciągnął ojciec zmęczonym głosem. – Zastanawiam się, czy od kiedy jej nie ma, czujesz się tu nieproszonym gościem.

– Nie, to nie tak... Przecież nie musisz mnie tu specjalnie zapraszać... Ja po prostu...

Tak dużo chciał dzisiaj ojcu powiedzieć, tak bardzo go potrzebował, a tak ciężko mu było z nim rozmawiać, nawet o błahych sprawach. Zresztą zawsze trudno im się było dogadać. Zawsze istniał między nimi dystans. Aleks wiele razy zastanawiał się, dlaczego tak jest. Wiedział, że ojciec go kocha, chce dla niego jak najlepiej, tylko nie potrafi się otworzyć, zdobyć się na większą szczerość, dać synowi więcej ciepła. Aleks miał nadzieję, że po śmierci matki to się zmieni, jednak ojciec jeszcze bardziej zamknął się w sobie,

zobojętniał na wszystko i tak jakoś... poszarzał. Tak, „szarość” to słowo doskonale pasujące do ojca.

A jednak w tym ciężkim czasie Aleks chciał być właśnie z nim.

„Zostaliśmy sami na tym świecie”, pamiętał jego słowa po pogrzebie.

Dzisiaj odczuwał to bardziej niż kiedykolwiek.

– Ale wiesz, bez niej jest tu... inaczej – dokończył cicho.

– „Inaczej” to delikatnie powiedziane – westchnął ojciec ze smutnym sarkazmem.

– Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale zawsze gdy tu przychodzę, zastanawiam się, czy bardziej się smucę, że nie mam jej, czy bardziej się cieszę, że mam ciebie. A z drugiej strony zawsze czuję, że to jest moje miejsce... i przez to jest jeszcze trudniej... Rozumiesz mnie?

– Chyba tak – odparł wolno ojciec.

Znów na chwilę zapadło milczenie.

– Tato... – Stary Wendt podniósł głowę znad kubka z kawą. Ich spojrzenia na moment się spotkały, lecz Aleks szybko odwrócił wzrok. – Chciałbym cię o coś zapytać.

– Dawaj.

– Powiedz mi... – Aleks urwał, jakby szukał odpowiednich słów – powiedz, czy gdy mama żyła... Czy wtedy, gdy była sparaliżowana... kiedy się nią opiekowałeś tyle czasu... kiedy wiadomo było, że już nigdy nie będzie lepiej... powiedz... czy kiedykolwiek... no... czy czasem...

– Jezu, no co? – zniecierpliwił się ojciec.

Aleks jednak jakby tego nie zauważył.

– ...po prostu... czy nie myślałeś wtedy czasem, że lepiej byłoby... gdyby... no, gdyby to się wreszcie skończyło?

Wydukawszy wreszcie pytanie, szybko sięgnął po kubek z kawą.

Przez długi moment żaden z nich nic nie mówił.

Dla kogoś, kto wszedłby teraz do kuchni, byłiby ludźmi słuchającymi radiowego serwisu informacyjnego, który zastąpił teraz latynoskie rytmy.

Dopiero po długiej chwili Aleks zdobył się na odwagę i spojrzął na ojca, który siedział wyprostowany, zapatrzony w okno.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem... – zaczął Wendt matowym głosem. – Nigdy nie mówiłem o tym nawet sobie, ale wiele razy prosiłem Boga, żeby zabrał ją do siebie... była taka... biedna... cierpiałem razem z nią, każdego dnia. Kiedy wszyscy ją opuścili... nikt nie chciał oglądać sparaliżowanego człowieka, który nie wie, jak się nazywa. Ludzie tego nie znoszą. Nie lubią patrzeć na chorobę... Na taką chorobę... Widziałem, jaka jest zagubiona, kiedy nie potrafi wykonać najprostszej czynności... Taka wspaniała, mądra kobieta... Tak, modliłem się... Nie, nie zasługiwała na to... na taką mękę.

Aleks wpatrywał się w zieleń za oknem.

Pamiętał te nieznośnie długie, jałowe godziny, jakie spędzał przy łóżku matki. I swoją bezsilność. Mimo troskliwej opieki pojawiły się odleżyny. Trzeba było amputować nogę w kolanie. A kiedy się nie poprawiło – wyżej. Co jeszcze miała do zaoferowania medycyna, skoro nie można było amputować niczego więcej? Aleks wiedział, że mógłby podać matce całą morfinę i to zakończyłoby wszystko. Jej cierpienie, ich cierpienie... Raz usiadł na łóżku, wziął papierową torbę z kapsułkami i wyobrażał sobie, jak wsuwa do ust matki jedną po drugiej, a ona, ufna albo niezadająca sobie sprawy, co się

dzieje, połyka, połyka... Długo tak siedział. Zapadał zmrok, słyszał cichy oddech matki i wiedział, że nie potrafi tego zrobić. Że nie potrafi zrobić tego ojcu. Potem każdego dnia tego żałował. Aż do jej śmierci.



Aleks odwrócił głowę od okna i spojrzał ojcu w oczy. Był przygotowany na to, co w nich zobaczył.

A zobaczył w nich miłość.

– A jednak brakuje mi każdego spędzonego z nią dnia, każdej godziny... – podjął ojciec. – Wiem, że to trudno zrozumieć, ale dziękuję Bogu, że aż tyle jeszcze pozwolił mi z nią przeżyć. Nie oddałbym tego, walczyłbym o każdą chwilę. Nie dla niej... dla siebie... żeby nie odchodziła, żeby ją mieć. Czy to egoizm? – Spojrzał bezradnie na syna.

Aleks zdał sobie sprawę, że nie tylko on potrzebuje wsparcia.



Posiedział z ojcem jeszcze godzinę, tak po prostu, żeby z nim pobyc.

Rozmowa się nie kleiła, ale chyba po raz pierwszy, odkąd pamiętał, w ogóle im to nie przeszkadzało.

Znów, tak jak tamtego pamiętnego dnia, kiedy mama zachorowała, poczuli się sobie bliscy.

Bo byli sami na tym świecie.



Aleks wyszedł na chłodne wieczorne powietrze. Chyba gdy tak siedzieli w kuchni, spadł deszcz, bo na krzakach w księżycowej poświacie migotały srebrzystobiałe krople.

Pachniało maciejką. Uwielbiał ten zapach.

Powoli, nie spiesząc się, przeszedł przez ogród. Gdy zamknął furtkę, stał jeszcze chwilę, patrząc na oświetlony podjazd i rosnące wokół niego jabłonie.

Jakby chciał przedłużyć tę chwilę, zostać tu na zawsze. Jakby chciał, żeby jutro nie nadeszło.

Wsiadł do samochodu, oparł głowę o kierownicę i odetchnął głęboko. Podjął decyzję. Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer Moniki.

# Rozdział 17

Od rana lało jak z cebra. Po kilku pogodnych dniach bardzo się ochłodziło, a w powietrzu pachniało jesienią, a nie wiosną.

Aleks pomyślał nawet, że to zły znak, taka gwałtowna reakcja nieba, ale zaraz zganił się za idiotyczne skojarzenia.

Dzisiaj jak nigdy dotąd potrzebował spokojnego, krytycznego spojrzenia na sytuację.

Dzisiaj tak dużo od niego zależy.

Stał przy oknie w dyżurce i patrzył na drzewa targane podmuchami porywistego wiatru.

Szpital Miejski był otoczony pięknym parkiem. Przed wojną mieścił się tu ekskluzywny dom spokojnej starości dla stołecznej elity, a teraz po starannie utrzymanych żwirowych alejkach spacerowali rekonwalescenci.

Aleks lubił patrzeć na wracających do zdrowia ludzi, przechadzających się samotnie albo z bliskimi, ale dzisiaj park był pusty, tylko na mokrych ławkach przysiadają od czasu do czasu do czasu ptaki.

Źle spał tej nocy. Znow pojawiały się ciemne, ponure sny, kilka razy zrywał się, a potem próbował zasnąć. Drzemał płytko, niespokojnie. Pocił się, wstawał, żeby napić się wody, i znow nie mógł odpłynąć w sen.

Obudził się jednak dość wypoczęty i godzina po godzinie jak automat wykonywał codzienne czynności, spokojny i na pozór rozluźniony.

Dopiero teraz, pod wieczór, wróciło lekkie podenerwowanie, które dręczyło go od paru dni.

Usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi.

Odwrócił się powoli.

Do dyżurki weszła Monika.

Przytuliła się do niego bez słowa.

Gdy tylko poczuł jej bliskość, zdenerwowanie ulotniło się jak mgła z nadejściem porannego słońca. Wróciła pewność siebie, tak jak wczoraj, kiedy wychodził od ojca.

Znów wiedział dokładnie, co powinien zrobić. Co chce zrobić.

Stali tak przez chwilę, przytuleni, w milczeniu, jakby zawieszeni w czasie, obojętni na wszystko.

Wiedzieli, że dzisiaj niepotrzebne są słowa, niepotrzebne łyzy. Wszystko już zostało powiedziane i nic nie zmieni tego, co się wkrótce stanie.

Ujął jej twarz w dłonie, spojrzał w oczy i zobaczył to, co sam odczuwał: tak, Monika go kocha i teraz to jest najważniejsze. Zawsze będzie, pomyślał.

– Idź do domu, Moniko – powiedział spokojnie. – Ja to zrobię.

Odsunęła się gwałtownie i przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona.

A on był pewny swojej decyzji i wiedział, że się nie rozmyśli.

– Boże, Aleks, nie... nie możesz... – zaczęła, ale umilkła, szukając argumentów. – To jest moja sprawa, mój obowiązek. Nie możesz brać tego na siebie...



Aleksowi przebiegło przez myśl, iż może gdzieś tam, podświadomie, Monika oczekiwała, że on tak właśnie się zachowa.

– Słyszysz? Nie możesz... – powtórzyła.

– Moniko, wiesz dobrze, że to jedyne sensowne rozwiązanie – tłumaczył. – To ja jestem lekarzem, to mój szpital i mój dyżur. Zrobię to tak, że nikt się nie zorientuje. – Uśmiechnął się kwaśno.

Znow ją przytulił.

– Naprawdę tak będzie lepiej – przekonywał. – Dla wszystkich. Dla niego też. Jeśli to będziesz ty, może być mu ciężko, może się rozmyślić... przestraszyć.

To by akurat nie było takie złe, pomyślał Aleks egoistycznie. Znowu przez dobrą minutę stali bez słowa. Aleks głaskał Monikę po włosach.

– Nie będę przy nim! – Zaczęła szlochać.

– No już, uspokój się. Wkrótce będzie po wszystkim, cierpienia twojego ojca się skończą, już nic nie będzie go bolało... Myśl tylko o tym.

– Masz rację, idiotka ze mnie, powinnam cię wspierać, zamiast się rozklejać – powiedziała, odsuwając się od niego i ocierając łzy. – Naprawdę chcesz to zrobić? Jesteś pewny?

– Nie pytaj mnie, czy chcę – odparł poważnie. – Chęci nie mają tu znaczenia. Jestem dorosły, wiem, co robię...

Monika spuściła wzrok.

– Boże, Aleks, dziwnie się czuję...

– Uwierz mi, tak naprawdę będzie lepiej... jeżeli w ogóle w takiej sytuacji może być lepiej. – Zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – A poza tym nie możesz kręcić się wieczorem po oddziale – podjął po chwili. – Ten gnój Włodek dyżuruje dzisiaj ze mną. Wskoczył w ostatniej chwili za

Bożenkę, bo jej dzieciak zachorował czy coś...

– To może nie dzisiaj?

– Nie – rzucił zdecydowanie – drugi raz nie chcę już tego przeżywać. Jutro mógłbym... – nie dokończył. Chciał mieć to już za sobą. Dosyć zastanawiania się i analizowania.

– Rozumiem – pospiesznie odpowiedziała Monika.

Aleks pomyślał, że jakoś szybko się uspokoiła i pogodziła z sytuacją, ale zaraz się za to zgañił. Monika po prostu myśli racjonalnie. Chce dla ojca jak najlepiej...

– Idź teraz do niego, posiedź z nim, pomóż mu się... przygotować... Między osiemnastą a dziewiętnastą Włodek będzie robił obchód, ja powiem, że źle się czuję, nie pójdę. Jakoś się wymówię... Gdy wejdzie do sali, wstań i idź do domu. Nie przychodź tutaj. Nie chcę, żeby nas widział razem. Zrobię to późnym wieczorem, gdy pielęgniarka pójdzie spać.

Monika stała w milczeniu i patrzyła w ziemię.

– Nie dzwoni – dodał cicho. – Ja zadzwonię...

– Dobrze.

– Idź już. – Odwrócił się do okna.

– Aleks... – usłyszał po chwili.

– Tak?

– Kocham cię.

Nie spojrzał na nią. Czuł jakiś nieokreślony dyskomfort. Jakaś nieszczerą nutę. I bardzo się za to nie lubił. Po chwili usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi.



Zerknął na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści. Już od ponad godziny siedział w fotelu wpatrzony w okno. Nie zauważył, kiedy zapadł zmrok.

Nie myślał o niczym. A przynajmniej się starał. Po prostu siedział.

Bał się, że pojawią się wątpliwości, że w ostatniej chwili się załamie.

Zabraknie mu odwagi? Determinacji? Miłości?

Minęło kolejnych dwadzieścia minut. Już czas, pomyślał.

Przerażała go ta nieuchronność. Czuł się trochę jak więzień w celi śmierci czekający na egzekucję. A może jak kat?

Różnica dziwnie się zacierała. Poczul narastający niepokój.

Przypomniał sobie sen o przepaści. Przed nim było nieznanne, a on zastanawiał się, czy skoczyć.

Nie, już się nie zastanawiał.

Choć wiedział, że ma wolną wolę i w każdej chwili może się wycofać. Przecież nikt go nie zmusza...

Odetchnął głęboko, jakby chciał stłumić wszystkie emocje.

Wstał, obciągnął fartuch i ruszył do drzwi.



W szpitalu nocą panuje specyficzna cisza. Ciężka, naelektryzowana, przeniknięta niepokojem.

Spokój jest pozorny, ulotny, jakby nawet martwe przedmioty zdawały sobie sprawę, że w każdej chwili może się zacząć nerwowa bieganina.

Aleks podszedł do drzwi dyżurki pielęgniarek. Były lekko uchylone. Stał przez chwilę, nasłuchując. Nic. Dyskretnie zajrzał do środka.

Anka Stec spała w fotelu przykryta trochę przykrótkim kocykiem w szkocką kratę. Blond loki zakrywały oczy. Trzeba przyznać, że wyglądała uroczo.

Czy ona zawsze musi brać dyżur wtedy, kiedy ja? – pomyślał, choć może w innych warunkach bardziej skupiłby się na szczegółach jej bezsprzecznie ponętnej aparycji.

Zyskawszy pewność, że dziewczyna śpi, ruszył w stronę bloku operacyjnego.

Sala operacyjna i pomieszczenia przygotowawcze tonęły w ultrafioletowym świetle, które nadawało wszystkiemu nie-realny wygląd. Postanowił nie zapalać normalnego światła, żeby nie zwrócić uwagi kogoś, kto będzie przechodził korytarzem. Nie chciał się tłumaczyć, co robi w środku nocy na bloku operacyjnym. Nie wiedział też, jak mógłby wyjaśnić fakt, że szpera w nocy w szafce z preparatami anestetycznymi.

Otworzył szafkę i spojrzał na równe rzędy ampulek. Niezły arsenał zbrodni, pomyślał.

Nie, nie wolno popadać w paranoję!

Włożył ampulki z norcuronem i thiopentalem do kieszeni fartucha, jeszcze strzykawka... I szybko zamknął szafkę.



W sali numer dwadzieścia jeden panował półmrok. Paliła się tylko mała lampka na szafce obok stojącego łóżka.

Szymański leżał nieruchomo z rękami splecionymi na kołdrze. Przez chwilę Aleks myślał, że śpi, ale zaraz zorientował się, że ma otwarte oczy i wpatruje się w sufit.

Na twarzy miał maskę tlenową, oddychał powoli, ale równo.

Aleks podszedł do niego, lecz Szymański nie zareagował. Lekarz stał przez chwilę, po czym usiadł ostrożnie na brzegu łóżka. Nie mógł się pozbyć uczucia, że unosi się nad wszystkim, że tylko obserwuje to, co się dzieje.

Patrzył na zmęczoną twarz chorego. Dopiero po kilkunastu sekundach Szymański odwrócił lekko głowę w jego stronę i wolnym ruchem zsunął plastikową maskę.

Był spokojny. W jego oczach Aleks nie dostrzegł rezygnacji. Ze zdziwieniem zauważył za to, że pojawił się w nich wesoły błysk. A może tylko mu się wydawało?

– Dziękuję, doktorze – powiedział Szymański z wysiłkiem. – Wspaniały z pana człowiek. Cieszę się, że moja córka spotkała kogoś takiego.

– Panie Władysławie – odrzekł Aleks cicho, biorąc go za rękę. – Czy jest pan pewny, że pan tego chce?

– Tak, tego właśnie chcę. – W głosie słabego człowieka zabrzmiała stalowa nuta pewności. – Nadszedł już czas – dodał po chwili milczenia. – Mój czas.

– Na pewno nie chce pan... wyznaczenia tego czasu pozostawić... w rękach Boga? – Aleks czuł, że musi zadać to pytanie, choć nie zamierzał moralizować. To byłoby żalosne. Tandeta intelektualna, którą Szymański tak pogardzał.

– Jaki znowu Bóg? Nawet gdyby istniał, wydaje mi się – chory lekko się uśmiechnął – patrząc na mój stan... że ma to... gdzieś. Ale wiem, że musiał pan spytać, doktorze, musiał się pan upewnić. Rozumiem to. Naprawdę. – Mówienie sprawiało mu coraz większą trudność. Oddychał z wysiłkiem. – Ale niech się pan mi tu nie rozkleja... – Próbował podnieść nieco głos, ale tylko zaniósł się kaszlem. – Codziennie... na całym świecie... giną tysiące ludzi – podjął po chwili – i nikt się tym nie przejmuje. Do dzieła, doktorze Wendt.

Boże, do czego to doszło, on podtrzymuje mnie na duchu, pomyślał Aleks.

Wyjął strzykawkę z opakowania i napełnił ją norcuronem.

– Panie Władysławie, w tej chwili odłączę kroplówkę i

umieszczę w wenflonie strzykawkę. – Te słowa zabrzmiały jak odczytywanie wyroku przed egzekucją. – Pan sam zdecyduje, kiedy i ile wstrzyknąć. Nie będzie bolało. Po prostu pan zaśnie.

Szymański słuchał. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Ten człowiek w ogóle się nie boi, przemknęło Aleksowi przez głowę.

A czego tu się bać? Co może być gorszego od tego powolnego umierania w męczarniach?

– Proszę posłuchać – podjął po chwili – to bardzo ważne. Jeżeli w którymś momencie zmieni pan zdanie, proszę pamiętać, że jestem obok... będę pana ratował. Odratuję... – dokończył.

– Dziękuję, młody człowieku. – Teraz głos chorego był jakby silniejszy. – Proszę mi wierzyć, doceniam pańskie starania, ale to naprawdę nie jest kaprys.

– Wiem. Po prostu chciałem, żeby pan wiedział.

– Proszę... już... – rozległ się ledwie słyszalny głos.

Aleks odłączył wężyk kroplówki i umieścił strzykawkę w wenflonie przymocowanym plastrem do przedramienia chorego. Po sekundzie wahania wziął chorego za rękę i umieścił ją na strzykawce.

Stało się, pomyślał.

Szymański zamknął na chwilę oczy, jakby chciał pomyśleć w skupieniu ostatnią myśl.

Wreszcie je otworzył i cały czas patrząc Aleksowi w oczy, wstrzyknął sobie całą zawartość strzykawki, jakby się bał, że coś lub ktoś może mu w tym przeszkodzić, jakby spieszył się na spotkanie ze śmiercią.

Aleks obawiał się, że nie wytrzyma spojrzenia gasnących oczu. Chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł. Wiedział, że musi

czuć do ostatniej chwili, czekać na moment, gdy chory chociaż spojrzeniem poprosi...

Nie wolno mu się odwrócić... nie wolno spuścić wzroku...

Wpatrywał się w Szymańskiego jak zahipnotyzowany. Momentami wydawało mu się, że patrzy na twarz swojej matki. Taką jak wtedy, gdy opuściła go odwaga, gdy jej nie pomógł.

A może gdy zdecydował, że jej nie zabije?

Nagle się ocknął. Na Boga, ten człowiek umiera! Przecież jestem lekarzem! Muszę coś zrobić! Przecież go zabiłem! Może jeszcze wszystko da się odkręcić, myślał gorączkowo. Ale nie był w stanie się ruszyć. Wzrok konającego trzymał go jak w stalowym uścisku.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Nagle zdał sobie sprawę, że podświadomie odtwarza w myślach mechanizm działania norcuronu.

Nagle wszystko się uspokoiło. Szymański zamknął oczy i przestał oddychać.

Aleks powoli się uspokajał. I wtedy pojawiło się przerażenie. Siedział obok martwego człowieka, głęboko oddychając. Nigdy w życiu nie czuł się gorzej. Boże, co ja zrobiłem?

Ale mimo strachu nie miał poczucia winy. Miał za to pewność, że postąpił właściwie. Złamał przysięgę Hipokratesa, ale wiedział, że gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby tak samo. *Primum non nocere...* Nie szkodzić. Ale jak rozstrzygnąć, co tu jest „szkodzeniem”, a co nie? Zamknął oczy i zobaczył twarz Moniki.

– *In the name of love...* – wyszeptał, a po jego policzkach popłynęły łzy.



Siedział tak w ciszy przez wiele minut. Nie zauważył, że w uchylonych drzwiach stanęła Anka Stec. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym cicho zamknęła drzwi i oddaliła się korytarzem.



Wyjął strzykawkę z wenflonu. Czuł się jak morderca na miejscu zbrodni. Zacierał ślady...

Nie wolno tak myśleć!

Boże, jak ja będę z tym żył?

Strzykawka powędrowała do kieszeni, a jej miejsce w wenflonie znów zajęła kroplówka z glukozą.

Nikt się nie dowie. Po prostu kolejny zgon na oddziale, zgon pacjenta w beznadziejnym stanie... Ania zgłosi... wypełni się papierki... Spokojnie, tylko spokojnie...

Wstał, zgasił nocną lampkę i cicho wyszedł z sali.



Poraziło go jasne światło na korytarzu. Było pusto i cicho. Bzyczała jarzeniówka, jakiś chory zakaszał.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wielkim problemem byłaby ewentualna konieczność interwencji na oddziale w czasie, gdy on...

No tak, ależ z niego idiota. Przecież gdyby przywieziono kogoś na ostry dyżur, gdyby potrzebny był laryngolog... gdyby...

Uspokój się, chłopie, przecież nic się nie stało.

– Doktorze Wendt... – usłyszał niepewny głos. To Anka nie śpi? Stała przed drzwiami dyżurki. Była roztrzęsiona.

– Doktorze... – powtórzyła drżącym głosem.

Nie wiedział, dlaczego ją przytulił. Przez ułamek sekundy



myślał, że zrobiło mu się jej żal. Ich usta się spotkały. Poczul jej język. Był ciepły... dobry... Jezu... nie... nie mogę... Za późno. Wepchnął ją do dyżurki pielęgniarek.

Całowali się namiętnie, mocno, jakby to miał być ostatni pocałunek w ich życiu. A potem już nie dało się ugasić ognia. Nigdy nie czuł takiego podniecenia. Nie miało to nic wspólnego z uczuciem, a jednak żądza, jaką odczuwał, była tak wielka, że nie mógł się pohamować. Całował Ankę coraz namiętniej. Usta, szyja... Miała rozszerzone źrenice. Oddychała szybko, coraz szybciej.

Rozerwał jej fartuch. Nie było czasu na rozpinanie guzików. Jęknęła cicho.

Biały koronkowy stanik skrywał małe jędrne piersi. Jednym zdecydowanym ruchem podciągnął go do góry. Wpił się ustami w jej sutki. Jęknęła głośno. To go jeszcze bardziej podnieciło. Nie poznawał siebie. Obejmowała jego głowę, przyciskając coraz mocniej i mocniej, szarpiąc palcami włosy, wbijając paznokcie... Wsunął rękę pod jej majtki. Była mokra.

Pisnęła, jakby chciała się sprzeciwić, ale nie uczyniła najmniejszego ruchu, który mógłby to sugerować. Wręcz przeciwnie, jeszcze mocniej przycisnęła jego głowę. Prawie stracił oddech.

Nie tyle ją pieścił, ile penetrował, ostro i bezlitośnie, drugą ręką zakrywając jej usta, by stłumić wyrywający się z piersi krzyk. Gryzła jego rękę w gwałtownym, niemym przyzwoleniu. Rytmicznie poruszała biodrami, a jego palce wsuwały się coraz głębiej i głębiej...

Nie mógł już dłużej wytrzymać.

Gwałtownym ruchem obrócił ją tyłem do siebie i rzucił na biurko. Oparła się o nie brzuchem, wyciągając ręce i łapiąc się krawędzi blatu. Zastygła na chwilę, wyczekująca, bezbronna.

Podciągnął jej krótki fartuch, zerwał majtki i rzucił je na podłogę. Z podniecenia pociemniało mu w oczach. Szybko rozpiął spodnie i wszedł w nią mocno, brutalnie, przyciskając ją do biurka całym ciężarem ciała.

Krzyknęła, ale znów zakrył jej ręką usta. Ugryzła go, ale zaraz zaczęła lizać jego palce, oddana, lubieżna... Poruszał się coraz szybciej. Rozkoszował się tą siłą, władzą nad kobietą, władzą, którą poczuł po raz pierwszy w życiu.

Zawsze kochał się z kobietami. Tę po prostu posiadał. Sprawiało mu to nieopisaną rozkosz. Zwierzęcą, pierwotną, zimną...

Pociągnął ją za włosy, aż uniosła i odwróciła głowę. Patrzył na grymas rozkoszy na jej twarzy. Oczy miała zamknięte, poddawała się bez reszty jego coraz silniejszym ruchom.

To jeszcze nie był koniec. Wysunął się z niej na chwilę. Znów zaczął jej dotykać. Otworzyła oczy. Zorientowała się, co się za chwilę wydarzy, i spojrzała na niego ze strachem. Ale był to strach zmieszany z pożądaniem.

– Nie, nie tam... proszę – jęknęła.

Nie zamierzał jej słuchać. Nie zamierzał pytać o zdanie. Wszedł w nią mocno. Bardzo mocno.

Na twarzy Anki malowały się przerażenie i ból, gdy poczuła go tam, gdzie jeszcze nigdy żaden mężczyzna się nie wdarł.

Aleks nie przestawał. Wręcz przeciwnie, jej reakcja podniecała go jeszcze bardziej. Penetrował ją coraz głębiej, wciąż jedną ręką ciągnąc za włosy, a drugą zakrywając usta. Po dłuższej chwili ból na twarzy dziewczyny ustąpił miejsca rozkoszy. Znów zamknęła oczy i zaczęła poruszać biodrami, czując zbliżającą się falę spełnienia. Po chwili wstrząsnął nią dreszcz orgazmu, Aleks szczytował w tym samym ułamku sekundy.

Prawie stracił przytomność. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło. Nigdy jeszcze tak się nie czuł.

Oparł się o szafkę z lekami, oddychając ciężko. Powoli dochodził do siebie, choć wciąż kręciło mu się w głowie, jakby był pijany. Podciągnął spodnie. Zapiął rozporek.

Spojrzał na Ankę. Trwała nieruchomo, miała zamknięte oczy. Po jej czole spływały kropelki potu.

Wreszcie wyprostowała się z trudem i starała się doprowadzić do porządku.

Nawet nie spojrzała na Aleksa.

On też nie miał odwagi patrzeć jej w oczy. Nie wiedział, czy powinien podejść, przytulić ją, okazać trochę ciepła, czułości. Stał tylko w milczeniu ze spuszczoną głową. Nic nie czuł.

Odwrócił się powoli i w tym samym momencie z korytarza dobiegło skrzypienie otwieranych drzwi prowadzących na oddział.

Może coś nowego z izby przyjęć, pomyślał.

Ania zrobiła krok w stronę wyjścia, ale zatrzymała się, widząc Aleksa wybiegającego na korytarz.

Po kilku krokach zatrzymał się gwałtownie. Przed wejściem do dyżurki stała Monika.

– Co ty tu robisz? – zapytał trochę za ostro. – Ktoś cię zobaczy!

– Przepraszam, nie mogłam wytrzymać sama w domu. Rzuciła mu się na szyję.

– Nie tutaj – syknął.

Wepchnął ją do dyżurki. Zamykając drzwi, zerknął jeszcze na korytarz. Na progu pokoju pielęgniarek stała Ania.

– W porządku, pani Aniu, to do mnie – powiedział.



Anka jeszcze długo stała na korytarzu. Po jej policzkach płynęły łzy, wszystko ją bolało, ale nie to było najgorsze. Jeszcze nigdy nie czuła się tak upokorzona. I to nie z powodu sposobu, w jaki Aleks ją posiadł, to było nawet przyjemne. Ale ta kobieta... zaraz po... To nie do zniesienia. Widywała ją często na oddziale, widywała ją w towarzystwie Aleksa, nie była głupia, wiedziała, że coś między nimi jest. A jeśli nie jest, to zaraz będzie.

Wreszcie weszła do dyżurki i gdy czesała się przed lustrem, usłyszała pukanie do drzwi. Nie czekając na „proszę”, wparował doktor Pawlak. Anka odwróciła się gwałtownie.

– Pani Aniu, nic pani nie jest? – zapytał, widząc jej czerwona twarz i drżące ręce.

– Nie... nie, ale co pan... – Właściwie nie powinna się dziwić, że widzi Pawlaka. Był wścibski, wszędzie węszył intrygi, lubił donosić na kolegów.

– Wpadłem na mały obchód. Wendt śpi?

– T-tak, chyba tak – wyjąkała. – Nie wiem właściwie...

– Na oddziale spokój?

Ania wahała się przez chwilę, po czym podjęła decyzję. Niech ten drań Aleks ma za swoje.

– Właściwie jest pewien problem... – zaczęła.

– Tak? – Pawlakowi błysnęły oczy.

– Zobaczyłam coś, o czym chyba powinien pan wiedzieć... – Urwała, by nabrać powietrza.

Pawlak wpatrywał się w nią przenikliwie. Wiedziała, że teraz nie ma już odwrotu, że ten sukinsyn wyciągnie z niej wszystko.

– Obudził mnie w nocy jakiś ruch na korytarzu. Wyszłam sprawdzić, co się dzieje... drzwi do sali dwadzieścia jeden

były niedomknięte. Tam leży... Szymański. Kojarzy pan, ten z rakiem gardła, w ciężkim stanie.

– Tak, oczywiście, kojaryzę. – W głosie Pawlaka słychać było zniecierpliwienie.

– No więc usłyszałam jakieś głosy dochodzące ze środka... pomyślałam... pomyślałam, że przecież Szymański leży sam, więc skąd głosy. Zajrzałam...

– No i? – Pawlak bardzo starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Tam siedział doktor Wendt... na łóżku Szymańskiego... Nie usłyszałam, co mówili, bo gdy zajrzałam, akurat przestali rozmawiać, ale po chwili doktor podał mu coś dożylnie...

– No i co z tego? – Pawlak był wyraźnie zawiedziony. Zapowiadała się jakaś sensacja, a skończyło się podaniem choremu środka przeciwbólowego w świetle jupiterów.

– Tylko zaraz potem... on... to znaczy... doktor Wendt wyszedł jakoś tak szybko... – wyrzuciła w końcu z siebie, spuszczając głowę.

Pawlaka zatkało. Milczeli. Anka, bo uspokajała się powoli i zaczęło do niej docierać, że być może wrobiła Aleksa; Pawlak, bo zastanawiał się gorączkowo, co ta informacja tak naprawdę oznacza i co może z niej wyciągnąć dla siebie.

– Doktorze – odezwała się wreszcie Anka – ale mogło mi się tylko wydawać, było ciemno i w ogóle... – zastrzegła.

– Widział panią? – zapytał w końcu Pawlak.

– Nie, nie widział.

– Proszę posłuchać, pani Aniu – zaczął Pawlak spokojnie – bardzo dobrze pani zrobiła, mówiąc mi o tym.

– Sama nie wiem...

– Bardzo dobrze – powtórzył Pawlak. – Zajmę się tym.

– Ale...

– Proszę mi zaufać. Niech się pani zdrzemnie, uspokoi.  
– Nie chcę, żeby doktor Wendt miał nieprzyjemności.  
Może on tylko...

– Ale skądże znowu! Nic złego mu się nie stanie...  
obiecuję – zakończył z uśmiechem i szybko ruszył do sali, w której leżał Szymański.

Wypadł z niej po chwili i pobiegł po Aleksa.

Zanim otworzył drzwi dyżurki, postarał się, by z jego twarzy zniknął uśmiech satysfakcji. Postanowił, że na razie nie da niczego po sobie poznać. Uspi czujność Wendta, a potem uderzy.



Aleksowi udało się jakoś pozbyć Moniki. Siedział w fotelu i analizował wszystkie szczegóły, zastanawiając się, czy nie popełnił jakiegoś błędu. Myślał o rzeczach ważnych i błahych: czy portier będzie pamiętał, że Monika przyszła tak późno, czy Szymański nie „umarł” za wcześnie, bo być może jego stan nie był krytyczny, a co będzie, jeśli zrobią sekcję... nie zrobią, przecież śmierci tego pacjenta spodziewano się w każdej chwili... ale przecież Monika była dzisiaj aż dwa razy... czy wyrzucił ampułkę i strzykawkę, czy Anka coś skojarzyła... Miał mętlik w głowie.

Gdy usłyszał pukanie do drzwi, aż podskoczył.

W drzwiach pojawiła się głowa Pawlaka.

– Nic się nie dzieje, spokój – rzucił Aleks. – Zawołam cię, jakby co.

Czego on tu szuka? O tej porze? – pomyślał zaniepokojony.

– Rusz się – powiedział Pawlak. – Szymański umarł. Trzeba wypisać kartę zgonu.

# CZEŚĆ DRUGA

# Rozdział 18

Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe.

Jeszcze przez chwilę Aleks myślał, że jest częścią snu, ale jakoś w żaden sposób nie dawało się ze snem połączyć.

Jeszcze raz. I jeszcze.

Potrząsnął głową i spojrzał na stojący na nocnym stoliku budzik. Szósta zero cztery.

– Boże, kogo niesie o tej godzinie? – prychnął rozdrażniony.

Włożył szlafrok i podszedł do drzwi.

– Kto tam? – rzucił szorstko.

– Policja. Proszę otworzyć.

Zamarł na ułamek sekundy.

Z jednej strony był zaskoczony, jeszcze w półśnie, który potęgował wrażenie odrealnienia. Przez krótką chwilę chciał się nawet roześmiać, jakby podejrzewał kiepski dowcip.

Z drugiej jednak coś mu mówiło, bardzo głęboko w głowie, że to, niestety, raczej nie sztubacki wybryk Sawickiego i kolegów.

Uchylił drzwi. Natychmiast pojawiła się w nich policyjna blacha.

Kurczę, jak na filmie, przemknęło mu przez głowę.



Otworzył drzwi szerzej.

Do mieszkania wparowało czterech mężczyzn. Wyglądali zupełnie normalnie. Nie było żadnych kominiarek, karabinów, hełmów, nie było nawet czarnych kurtek z napisem „Policja”, które Wendt widywał czasem w wieczornych wiadomościach przy okazji spektakularnych zatrzymań.

No cóż, zapewne nikt nie spodziewał się zastać w jego mieszkaniu uzbrojonych gangsterów, dlatego trzech policjantów spokojnie zaczęło rozglądać się po mieszkaniu, otwierając kolejne drzwi.

Czwarty, starszy wiekiem, stopniem zapewne też, stanął naprzeciwko Aleksa i wręczył mu kartkę.

– Oto nakaz – powiedział krótko.

– Nakaz czego? – zapytał głupio Aleks.

– Nakaz zatrzymania – spokojnie odparł policjant. – Pan Aleksander Wendt, jak przypuszczam. Przeszukamy mieszkanie... jeśli pan pozwoli – dodał.

– Coś mi podpowiada, że na niepozwolenie chyba nie mogę sobie pozwolić – rzucił kwaśno Aleks.

– Fakt – zabrzmiała sucha odpowiedź.

Aleks spojrział na pismo. Było na nim kilka pieczętek i przerażająca liczba cyferek i skrótów. Zrozumiał tylko, że na podstawie różnych niezliczonych hieroglifów Prokuratura Okręgowa w Warszawie zarzuca mu popełnienie niezliczonych czynów przestępczych, które się za tymi hieroglifami kryją.

Poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Nie wiedział, co oznaczają te paragrafy, ale doskonale wiedział, co można mu zarzucić.

– Czy w mieszkaniu poza panem przebywa ktoś jeszcze?  
– Do Aleksa dotarło, że policjant przed chwilą zadał pytanie i spogląda na niego zniecierpliwiony, czekając na odpowiedź.

– Nie, nie, mieszkam sam – odparł pospiesznie. Wiedział, że za wszelką cenę musi zachować spokój, ale powoli zaczynał rozumieć, że sytuacja jest naprawdę poważna. – O co jestem oskarżony? – zapytał cicho.

– Nie jest pan oskarżony – odparł beznamiętnie policjant.  
– Nie ma jeszcze aktu oskarżenia skierowanego do sądu, więc nie może pan być oskarżony. Na razie jest pan zaledwie podejrzany.

– O co więc jestem podejrzany? – Aleks miał na końcu języka określenie anatomicznej okolicy, w którą facet mógłby sobie wsadzić prawnicze niuanse dotyczące jego statusu, ale się powstrzymał. Nie chciał pogarszać swojego położenia.

– Tam jest wszystko napisane... – Policjant sprawiał wrażenie, jakby był święcie przekonany o wrodzonych zdolnościach obywateli do odcyfrowywania tych „szyfrogramów”. Po chwili jednak się zreflektował. – W uproszczeniu powiem panu, że zarzut jest bardzo poważny: zabójstwo – powiedział ponuro.

Ciszę przerwał dopiero jeden z młodszych policjantów, który energicznie zabrał się do otwierania wszystkich szuflad i szafek.

Aleks z ulgą zauważył, że nie towarzyszy temu wyrzucanie rzeczy na podłogę, jak to widział w filmach. Mężczyźni przetrząsali mieszkanie metodycznie, ale bez przesadnego zaangażowania.

– Czy ma pan w domu jakieś środki odurzające? – padło pytanie.

– Nie.

– Leki o charakterze... – Młody policjant urwał, szukając właściwego słowa.

– O jakim charakterze? Narkotyki? – Aleks próbował mu pomóc.

– Narkotyki, trucizny – powiedział chłopak lekko zmieszany. – Przepraszam, ale muszę o to zapytać.

– No cóż, jeden z moich profesorów na studiach często podkreślał, że każdy lek to tylko trochę silniejsza lub trochę słabsza trucizna. – Mówiąc to, odwrócił się i poszedł do sypialni. – Proszę za mną, pokażę panu domową apteczkę, sam pan oceni jej zawartość – rzekł spokojnie.

Policjant, wyraźnie usatysfakcjonowany „polubownym” załatwieniem sprawy, podążył za gospodarzem do sypialni.

Apteczka okazała się zwykłą szufladą, w której znajdowały się głównie tabletki przeciw przeziębieniu, krople do nosa i stary bandaż elastyczny.

– To wszystko? – Trudno powiedzieć, czy w głosie młodego stróża prawa zabrzmiał zawód, czy ulga.

– A co, spodziewał się pan dostawy z Kolumbii? – wy-rwało się Aleksowi, ale zaraz pożałował tych słów. Czuł, że sytuacja zaczyna go przerastać.

Tracił nad sobą panowanie.

– Przepraszam – powiedział ciszej – nie prowadzę prywatnej praktyki, nie trzymam żadnych leków w domu poza tym, co tutaj...

Wrócił do salonu.

Czekał tam „dowódca”, który niespiesznie przeglądał książki na półkach. Co jakiś czas otwierał którąś, losowo wybraną, i potrzasał kartkami, robił to jednak bez przekonania.

Przeszukanie przeprowadzono raczej z obowiązku. Wszyscy dobrze wiedzieli, że „narzędzia zbrodni” próżno szukać w domowych pieleszach potencjalnego winowajcy.

– Będę musiał zabezpieczyć pański komputer. – Młody policjant sięgnął po stojący na biurku laptop.

– Niech pan poczeka, dam panu torbę – powiedział zrezygnowany Aleks.

– Poproszę również o pański telefon komórkowy i karty kredytowe.

– Słucham? – Aleks nie wierzył własnym uszom.

– Proszę się nie niepokoić, wszystko zabezpieczymy, nic nie zginie ani nie zostanie uszkodzone.

– A po co karty?

– Pańskie konta zostaną, niestety, czasowo zablokowane. To zabezpieczenie na poczet ewentualnych kar finansowych – wyjaśnił. – Prokurator wszystko panu wytłumaczy.

Aleks zaczął szukać komórki.

Była razem z portfelem w kieszeni spodni przewieszonych przez oparcie krzesła. Podał wszystko policjantowi.

– Wiem, że to nie jest miłe – powiedział tamten – niestety... musimy...

– Rozumiem.

Aleks usiadł w fotelu, odchylił głowę do tyłu i próbował zebrać myśli. Policjanci kręcili się po pokojach, obserwując go jednak uważnie i pilnując, żeby zawsze któryś z nich był w pobliżu. Diabli wiedzą, co zatrzymanemu człowiekowi może strzelić do głowy. On też na nich patrzył.

Jakby byli w telewizji.

Przypomniał sobie jakieś informacje w *Dzienniku* o zatrzymaniach. Ktoś wyskoczył przez okno, korzystając z

chwili nieuwagi policjantów... Ktoś się zastrzelił... Czy on byłby do czegoś takiego zdolny? Boże, co za idiotyzm. Przecież chyba nie grozi mu dożywocie.

Spróbował się uspokoić. Stara lekarska zasada stosowana podczas pracy w pogotowiu i na ostrych dyżurach – im trudniejsza i bardziej stresująca sytuacja, tym większy spokój musisz zachować, inaczej pacjent nie ma żadnych szans.

No cóż, w tym przypadku, zdaje się, i tak nie ma.

Zamknął oczy.

– Dobrze się pan czuje? – Najstarszy z policjantów błyskawicznie znalazł się przy nim.

– Tak, wszystko w porządku, próbuję tylko trochę ochłonąć. – Aleks nie miał wątpliwości, że reakcji funkcjonariusza nie spowodowała przesadna troska o stan jego zdrowia. Po prostu nikomu tutaj nie jest potrzebny zawał serca.

– Może się pan powoli ubierać. Jak zapewne pan się domyśla, pojedzie pan z nami.

– Szczerze panu powiem, że tego akurat się domyślałam, natomiast w ogóle nie domyślałam się dokąd. – Tak naprawdę Aleksowi zaczynało już być wszystko jedno. Godził się ze swoim położeniem i wiedział, że im szybciej sprawy się potoczą, tym będzie mu łatwiej. – Do więzienia? – zapytał cicho.

– Nie, no proszę nie przesadzać. – Policjant po raz pierwszy lekko się uśmiechnął. – To nie jest jakaś bananowa republika w Ameryce Południowej, nikt nie wsadza tu ludzi do więzienia bez procesu. Jest pan na razie zatrzymany – tłumaczył, jakby to była lekcja wychowania obywatelskiego w podstawówce. – My mamy obowiązek tylko dostarczyć pana do prokuratury. Tam prokurator postawi panu zarzuty.

Zakładam, że tak postąpi, bo w przeciwnym razie nasza robota tutaj nie miałaby sensu. – Przerwał na chwilę, rozejrzawszy się, jakby chciał się upewnić, czy żaden z jego kolegów przypadkiem nie zrobił sobie nieplanowanej przerwy.

– A gdy już postawi? – Aleks starał się dowiedzieć, co go czeka w najbliższej przyszłości. – Pan wybaczy, jeszcze nie byłem w takiej sytuacji – dodał z lekkim przekąsem – stąd moja dociekliwość...

– To zrozumiałe. Tak naprawdę to jednak nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Wszystko zależy od prokuratora. Może domagać się tymczasowego aresztowania, ale nie musi.

– A pańskim zdaniem będzie się domagał?

– Szczerze? Tak. Oczywiście nie mam pewności, to tylko moje przypuszczenia, ale przy tego typu zarzutach to raczej nieuniknione.

– Dzięki za szczerść.

– Nie ma za co, ma pan prawo wiedzieć.

– A co potem? – Aleksowi na myśl o tym, co ewentualnie stanie się potem, zaczęła rosnąć w gardle kula. Pociemniało mu w oczach.

– Potem o wszystkim zadecyduje sąd. Ale proszę nie martwić się na zapas. Na pańskie szczęście sądy nie zawsze spełniają wszystkie zachcianki prokuratorów. Chce pan wody?

– Nie, dziękuję. Chyba w takim razie się ubiorę.



To niestety nie był koniec przykrych niespodzianek. Gdy Aleks zamierzał udać się do łazienki, dowiedział się, że w ablucjach musi mu towarzyszyć funkcjonariusz. Ograniczył się więc do umycia zębów, przecesał włosy, i tyle.

Prysznic trzeba będzie odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość, pomyślał ze smutkiem.

Ubieranie odbyło się równie groteskowo. Ani na chwilę nie mógł zostać sam, z drugiej zaś strony musiał cały czas mieć w polu widzenia pozostałych policjantów. Nalegali na to, nie chcąc zapewne, by posądził ich o kradzież jakichś drogocennych przedmiotów czy pieniędzy.

Przez cały ten czas, przygotowując się do wyprawy w nieznaną, Aleks próbował jakoś poukładać sobie to wszystko w głowie.

Zaskoczenie i zagubienie powoli ustępowało miejsca przygnębieniu. I poczuciu nieuchronności.



Dość długo trwało, zanim wreszcie się ubrał i zebrał najpotrzebniejsze rzeczy.

- Jestem gotowy – powiedział ze ściśniętym gardłem.
- Aha, byłbym zapomniał – najstarszy z funkcjonariuszy znów zrobił służbową minę – będzie pan pewnie chciał skorzystać z usług adwokata.

Zabrzmiało to tak, że Aleks przez chwilę upewniał się w myślach, czy aby na sto procent kara śmierci jest już w Unii Europejskiej zakazana.

- Tak, oczywiście... – bąknął niepewnie.
- Ma pan jakąś zaufaną kancelarię?
- Tak, chyba tak...
- Proszę podać nam namiary, zawiadomimy ją w pańskim imieniu. Adwokat powinien być obecny przy przesłuchaniu w prokuraturze. Chyba że pan sobie tego nie życzy... – Policjant zawiesił głos, jakby potrzebował potwierdzenia.

– Nie... to znaczy tak... życzę sobie... znaczy, żeby był. –  
Wszystko było dla Aleksa nowe, niezrozumiałe.

Przez chwilę szukał wizytówki w szufladach biurka.

– Proszę – podał ją „dowódcy”.

– Michał... – Jedno słowo tego ostatniego wystarczyło, żeby najmłodszy z grupy natychmiast podszedł i wziął kartonik.

Aleks odwrócił się, by ruszyć do drzwi.

– Chwileczkę – usłyszał za sobą.

Obejrzał się i zobaczył zbliżającego się energicznym krokiem „średniego” z policjantów. Tego, który przeglądał z nim apteczkę.

W rękę trzymał kajdanki.

– Proszę wyciągnąć ręce przed siebie – zakomenderował.

Dowódca chyba zauważył krople potu na czole Aleksa.

Na ułamek sekundy spuścił wzrok.

– Daj spokój, Zyga... wyluzuj... – mruknął, a potem zwrócił się do zatrzymanego: – Proszę przodem, panie doktorze.



# Rozdział 19

Daniel Bieda był sympatycznym facetem i zdecydowanie wyglądał na prawnika – bez problemu dostałby rolę w amerykańskim serialu o studenckich imprezach na Uniwersytecie Yale.

Blondyn o niebieskich oczach, typowy uczelniany przystojniak. Nienaganna fryzura, drogi garnitur, teczka z cielęcej skóry, słowem, wszystkie atrybuty wziętego adwokata.

Gdy Aleks zobaczył go na korytarzu Prokuratury Rejonowej, poczuł się nieco lepiej. Właściwie poczułby się jeszcze lepiej, gdyby nie jeden drobny szczegół prawniczego życiorysu mecenasa Biedy.

A mianowicie ten, że niekwestionowany gwiazdor stołecznej palestry był wyjątkowo cenionym specjalistą od... rozwodów.

Poznali się przy okazji sprawy rozwodowej Wendtów i trzeba przyznać, że jej spokojny i w miarę bezkonfliktowy przebieg był zasługą profesjonalnej i zrównoważonej postawy młodego adwokata.

Nie była to może zbyt skomplikowana sprawa, małżonkowie starali się nie utrudniać pracy wymiarowi sprawiedliwości, ale mimo wszystko każdy rozwód to jednak deptanie po rodzinnej trawie i jeżeli nie towarzyszy temu duża doza

wycucia ze strony pełnomocników, rozwój wydarzeń może być zaskakujący.

Rzadko się też zdarza, żeby między klientem a jego prawnikiem nawiązała się jakakolwiek przyjacielska więź, a w tym przypadku jednak się zdarzyło.

Poza tym Bieda był kolegą Sawickiego z czasów licealnych.

Wojtek w tym bardzo trudnym dla Aleksa momencie, jakim był rozwód, wspierał go jak mógł. Aleks myślał czasem, że bez niego by sobie nie poradził. Sawicki polecił mu Daniela jako człowieka godnego zaufania, a jednocześnie sprawnego adwokata z dużym doświadczeniem w prowadzeniu podobnych przypadków.

– Cześć, jak się czujesz? – Adwokat wydawał się szczerze zmartwiony. Mocno uścisnął Aleksowi dłoń.

– Bywało lepiej. – Aleks zdobył się na kwaśny uśmiech. – Dzięki, że jesteś – dodał po chwili. – Naprawdę.

– Daj spokój, to normalne, nie ma o czym gadać. Poczekaj chwilkę.

Wydawało się, że dopiero teraz adwokat zauważył policjantów.

– Dzień dobry – zwrócił się do nich zupełnie innym tonem. To już nie był przyjaciel, przeszedł na tryb służbowy. – Jestem mecenas Daniel Bieda.

– Czy pan jest obrońcą podejrzanego? – Najstarszy z funkcjonariuszy nie sprawiał co prawda wrażenia zmieszanego pojawieniem się prawnika, ale wyglądało, jakby siły nieco się wyrównały.

– Tak, za chwilę podpisze moje pełnomocnictwo – odrzekł Bieda.

– Do tej pory podejrzany nie zgłaszał zastrzeżeń co do sposobu przeprowadzenia zatrzymania... mam nadzieję, że nadal nie zgłasza...

Obaj, policjant i prawnik, spojrzeli pytająco na Aleksa.

– Słucham? – zapytał ten, nieco zdezorientowany.

– Czy podczas zatrzymania spotkały cię jakieś przykrości? – Daniel zaczął pełnić funkcję tłumacza z języka paragrafowego na ludzko-europejski.

– Nie, poza zatrzymaniem nie zdarzyło się nic przykrego w czasie zatrzymania.

To nie był może najlepszy dowcip, ale wyrównanie sił zobowiązywało.

– Dobrze, czekamy w takim razie na prokuratora... proszę sobie porozmawiać z klientem. – Policjant widocznie uznał swoją misję za zakończoną. Pozostał oczywiście w zasięgu wzroku, wciąż był przecież odpowiedzialny za Aleksa, ale wyraźnie uspokojony tym, że jest na swoim terenie, odszedł kawałek dalej i wdał się w rozmowę z kolegami.

Prawniki i jego klient usiedli na niezbyt wygodnych ławkach.

– Podpisz na razie kwity. – Bieda wyjął z teczki kilka kartek.

– Co to takiego? – zapytał Aleks obojętnie.

– Moje pełnomocnictwo do reprezentowania cię. Bez tego nie będę mógł być obecny przy przesłuchaniu. Zaraz ci wytłumaczę, jaką beznadziejnie niemądrą decyzją jest udzielenie mi tego pełnomocnictwa, ale jej konsekwencjami będziemy się martwili później. Na razie podpisz...

– Ostatnio jestem specjalistą od podejmowania niemądrych decyzji – mruknął Aleks, podpisując się na dokumencie, którego nawet nie przeczytał.

Miał zaufanie do tego człowieka.

– Dlaczego właściwie niemądra? – zapytał już nieco spokojniej, oddając dokument.

– Bo przyszedłeś z ciężką do laryngologa.

– Doceniam błyskotliwość metafory, a teraz przetłumacz.

– Potrzebujesz karnisty. Prawdę mówiąc, dobrego karnisty. Może nawet wybitnego.

Bieda położył nacisk na ostatnie słowo, jakby wszystko wyjaśniało.

– Danielu, powiedz mi bez ściemniania, jak jest?

– Źle – padła odpowiedź.

Aleks zwiesił głowę. Przez chwilę obaj milczeli.

– Co mi grozi? – Aleks nie poznał własnego głosu. Był stłumiony, jakby dochodził z innego pomieszczenia.

– Biorąc pod uwagę jedynie formalno-prawny aspekt zarzutu, to w tym przypadku może być wnioskowany wysoki wymiar kary.

– Co? – Aleks aż podskoczył.

– Nawet dożywocie... – odrzekł cicho prawnik. – Ale daj spokój, nawet o tym nie myśl. Pytasz, to odpowiadam, na razie to czysta teoria... – tłumaczył, bojąc się, że Aleks wybuchnie albo się załamie.

– Nie teoria, tylko te twoje pieprzone paragrafy – prychnął Aleks.

– Tak, ale sąd to żywi ludzie i każdy paragraf można zinterpretować na milion sposobów. I właśnie dlatego przydałby się jakiś spec od prawa karnego. Nie znam materiałów śledztwa, nie znam szczegółów, zresztą pewnie śledztwo tak naprawdę dopiero się zaczyna, więc nikt nic nie wie, ale na Boga, człowieku, pomimo tego, co tu jest napisane, nie wpadłeś z kałachem do banku i nie rozwaliłeś kasjerki. Jesteś lekarzem,

cenionym i lubianym, i jak cię znam, to nawet mandatu pewnie nie masz za złe parkowanie. Chłopie, dobry adwokat doprowadzi do uniewinnienia, na bank. – Mówiąc to, Daniel rozejrzał się zaniepokojony, bo ostatnie zdanie prawie wykrzyczał. Aleks milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Dobry adwokat... Ja mam dobrego adwokata – powiedział spokojnie. Tak spokojnie, że aż sam się zdziwił.

To była być może najtrudniejsza decyzja w jego życiu, zawieszona gdzieś w mglistej przestrzeni pomiędzy uniewinnieniem a dożywociem, przesuwająca rzeczywistość nieodwracalnie w którąś ze stron, ale podjęcie jej, wbrew pozorom, nie było trudne.

– Aleks, co ty wygadujesz, przecież tłumaczę ci...

– Daj spokój, Danielu. Ty nie rozumiesz. Wbrew pozorom, gdybym... jak to powiedziałeś...? Wpadł z kałachem do banku... wtedy rzeczywiście potrzebowałbym adwokata magika, który przed sądem robiłby sztuczki, mające przekonać zebranych, że właściwie to wpadłem założyć lokatę, a karabin wypalił, bo akurat kichałem. – Spojrzał prawnikowi w oczy. – Ja w tej chwili potrzebuję kogoś, kto nie tylko sądom, ale i mnie poukłada prawne rzeczy, których tak naprawdę ja sam do końca nie pojmuję i nawet nie potrafię opisać. Potrzebuję przede wszystkim prawnika zaufanego, a chcesz czy nie, jesteś jedynym, jakiego mam...

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co masz na myśli, ale... może to i lepiej, przynajmniej na tym etapie... nie mów nic więcej... nie chcę na razie wiedzieć, co zrobiłeś, a czego nie...

– Zdziwisz się, ale ja sam tego nie wiem – odrzekł Aleks z sarkazmem.

– No to nieźle się zapowiada – sapnął mecenas. – Dobra, nie ma co się mazgać. – Odetchnął głęboko. – Na razie nie mamy specjalnego wyboru. – Bieda drapał się nerwowo w podbródek – Na dzisiaj zdecydowanie najlepszym posunięciem będzie, jeżeli odmówisz składania zeznań – powiedział nagle, jakby już nie był pewny swego.

– A mogę? – Aleks był trochę zaskoczony, ale wydawało mu się, że słyszał kiedyś o takich rzeczach.

– No pewnie, że możesz. Tobie wolno wszystko, jesteś podejrzany, możesz używać wszelkich środków, by się bronić... nawet kłamać.

– To była sugestia?

– Nie, i właśnie dlatego, żeby nie było sugestii, również ze strony prokuratury, bo oni na pewno będą chcieli coś od ciebie wyciągnąć na gorąco, dzisiaj po prostu odmawiasz zeznań, i koniec.

– Ale...

– Żadnego „ale”. W końcu jestem twoim adwokatem i musisz mnie słuchać.

Aleks się uśmiechnął.

– Wiesz co, Dan?

– No?

– Zajebisty z ciebie koleś...



Zupełnie inaczej wyobrażał sobie gabinet prokuratora.

Spodziewał się miejsca może niekoniecznie budzącego strach, ale podkreślającego każdym swoim elementem powagę urzędu.

Nic podobnego. Typowy biurowy pokój.

Czysto, schludnie, tanie meble, ot, jeszcze jedna urzędowa sztaba.

Człowiek siedzący za biurkiem też był prawie sztabowy.

Prawie, bo wyjątek stanowiło najbardziej przenikliwe spojrzenie, jakie kiedykolwiek Aleks miał okazję na sobie poczuć. Natychmiast nadał prokuratorowi przydomek Rentgen. Był w podobnym wieku co Aleks, nosił zwyczajny szary garnitur i sprawiał takie samo jak tenże garnitur, szare i przeciętne wrażenie.

Tylko ten wzrok.

– Dzień dobry. Proszę, śmiało – odezwał się sympatycznym, a nawet przyjacielskim tonem.

Aleks, poinformowany wcześniej przez Daniela o konieczności ograniczania wypowiedzi do minimum, wybąkał zdawkowe powitanie.

– Czy jesteśmy jeszcze potrzebni? – zapytał dowódca policjantów.

– Nie, dziękuję, poradzimy sobie – odrzekł prokurator. Trzasnęły drzwi.

– Pan mecenas... – prokurator zawiesił głos.

– Bieda, Daniel Bieda.

– Witam. Chyba nie miałem dotychczas przyjemności...

– Chciał zapewne dać w ten sposób do zrozumienia, że spodziewał się jakiegoś znanego adwokata, specjalizującego się w trudnych sprawach karnych.

– Ja chyba również nie miałem okazji poznać pana prokuratora. – Bieda spokojnie wytrzymał próbę i nie dał się sprowokować. – Będę reprezentował obecnego tu podejrzanego...

– Aleksandra Wendta, tak?

– Tak, to ja.

– Nazywam się Artur Silski i będę prowadził sprawę z ramienia Prokuratury Okręgowej.

Nie wiadomo dlaczego, jedynym skojarzeniem, jakie przyszło Aleksowi do głowy, gdy usłyszał to zdanie, był obraz średniowiecznego herolda ogłaszającego wszem wobec na głównym placu miasta, komu dzisiaj kat utnie głowę.

– Zechce pan w takim razie zapoznać się ze stawianymi panu zarzutami i odpowiedzieć na kilka pytań. – Prokurator zamierzał wręczyć Aleksowi dokumenty.

Aleks już wyciągał rękę, ale Daniel był czujny i natychmiast je przechwycił.

– Oczywiście mój klient zapozna się z zarzutami – zapewnił – ale w dniu dzisiejszym postanowił skorzystać z przysługującego mu prawa do odmowy zeznań.

Silski rozsiadł się wygodniej w fotelu. Nawet jeżeli ta decyzja wywołała jego zdziwienie, to nie dał tego po sobie poznać.

– Oczywiście – powiedział sucho.

Już nie jesteśmy kumplami, pomyślał Aleks.

– No cóż, pozostaje mi w takim razie tylko poinformować pana, że prokuratura zwróci się do sądu z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie na okres trzech miesięcy.

– Bo nie chcę złożyć zeznań? – Aleks natychmiast pożałował tego pytania, tym bardziej że poczuciu skruchy towarzyszył solidny kopniak wymierzony pod stołem przez Daniela.

– Skądże! – Silski nieźle udał oburzenie. – Odmowa zeznań jest pańskim konstytucyjnym prawem. Nie ma wpływu na nasze postępowanie, zresztą i tak przecież to sąd, a nie prokuratura decyduje o tym, czy pozostanie pan w areszcie,



czy nie. Tenże sąd jednak zapewne weźmie pod uwagę pańskie postępowanie w trakcie śledztwa – zakończył z satysfakcją.

– Mój klient jest tego w pełni świadomy – uciął tę grę Bieda. – Pozostanie jednak przy swoich postanowieniach. Przynajmniej na razie.

– W takim razie widzimy się na rozprawie.

– Kiedy, pańskim zdaniem? – chciał wiedzieć adwokat.

– Najprawdopodobniej jutro.

Aleks wiedział już od Daniela, że granica to słynne czterdzieści osiem godzin. Z możliwością przedłużenia do siedemdziesięciu dwóch na wniosek sądu.

Silski otworzył drzwi gabinetu. Od razu podeszło do nich dwóch policjantów.

– Proszę odprowadzić podejrzanego do policyjnej izby zatrzymań. – Tym razem Aleks starał się usłyszeć satysfakcję w jego głosie, ale, o dziwo, nie usłyszał.

Na jego rękach zatrzasnęły się kajdanki.

## Rozdział 20

Dołek.

Tak w więziennej gwarze nazywa się policyjną izbę zatrzymań.

Niby nie areszt, niby nie więzienie, a jednak pod kluczem.

To było też całkiem niezłe określenie aktualnego stanu psychicznego Aleksa.

Izba Zatrzymań była oddalona nieco ponad sto metrów w linii prostej. Zarówno Prokuratura Okręgowa, jak i Izba Zatrzymań Komendy Stołecznej były praktycznie w jednym kompleksie budynków, więc Aleks przebył tę drogę piechotą, w asyście dwóch policjantów.

Ale te sto metrów to była droga do innego świata.

Nigdy, nawet w snach, nie wyobrażał sobie, że może być tak krótka. Załedwie kilkadziesiąt kroków i dobry obywatel, ceniony laryngolog, osoba powszechnie szanowana i lubiana, zamienia się w wyjątego spod prawa wyrzutka.

Dołek. Po prostu.



Policjanci, po doprowadzeniu go na miejsce i wypełnieniu pliku formularzy, zostawili go pod opieką innych funkcjonariuszy.

Takich zwykłych. W mundurach.

Zanim go zostawili, zdjęli mu kajdanki – była to ostatnia miła rzecz, jaka spotkała go tego dnia.

Musiał oddać wszystko, co nie było ubraniem. O sznurwadłach wiedział, pewnie pokazywali to w jakimś filmie. Zastanawiał się, czy naprawdę można się na nich powiesić.

Starał się myśleć o głupotach, bo czuł, że jeżeli nagle dopuści do świadomości, gdzie się znajduje, przytłoczy go to jak przewrócona ciężarówka.

Albo zacznie wyć.

Patrzył obojętnie, jak jego rzeczy znikają w opisywanych dokładnie kopertach. Podawał kolejne dane do kolejnego formularza.

Cierpliwie. Nigdzie się nie spieszył.



Potem było już tylko gorzej.

Poproszono go o przejście do pomieszczenia usytuowanego obok dyżurki, w której go przyjęto.

Było to połączenie szatni z łazienką. Tu polecono mu zebrać się do naga.

Policjant w gumowych rękawiczkach obszukał dokładnie każdą część jego odzieży.

Tu wszystko jest na odwrót, pomyślał Aleks. Lekarz zakłada gumowe rękawiczki, żeby chronić pacjenta. Policjant zakłada gumowe rękawiczki, żeby chronić siebie.

Przez chwilę trwało mocowanie się z łańcuszkiem, na którym Aleks nosił krzyżyk.

Boże, chyba nie można się powiesić na łańcuszku?

Nie był specjalnie pobożny, ale to była pamiątka po mamie, dostał ten krzyżyk na Pierwszą Komunię i nigdy się z nim nie rozstawał.

Nigdy, aż do teraz. Krzyżyk też wylądował w kopercie.

Ale najgorsze z całej procedury było to, co nastąpiło potem.

Policjant kazał mu się pochylić i zrobić przysiad. Wprowadził palec do jego odbytu, by sprawdzić, czy podejrzany przypadkiem czegoś tam nie ukrył.

Aleks był tak upokorzony, że aż łzy zakręciły mu się oczach. Próbował wymyślić jakiś zabawny przydomek dla zagląającego mu w tyłek policjanta, żeby jakoś oswoić tę potworną sytuację. Najpierw przyszło mu do głowy Anal Detective. Później Inspektor Dupa.

Nic nie pomagało, czuł się jeszcze bardziej podle.

Wreszcie kazano mu się ubrać. Piekła go skóra na całym ciele, jakby kilkanaście godzin spędził na słońcu.

Próbował wziąć się w garść, ale nie mógł powstrzymać drżenia. Zrozumiał, dlaczego więźniom zabiera się wszelkie ostre przedmioty.



Wrócili do „repcji”.

Jeszcze dwa podpisy na kolejnych formularzach i już masywne stalowe drzwi prowadzące na korytarz stanęły otworem.

Pierwszy więzienny korytarz w jego życiu.

Normalny człowiek nigdy się nie zastanawia, jak wygląda świat po „tamtej stronie”. Wolność jest dla niego czymś, co się po prostu ma, nie wyobraża sobie, by kiedykolwiek mógł ją utracić.

To tak jak z wojną w dalekim kraju. Słyszymy o niej, dyskutujemy, nawet się przejmujemy, ale zawsze jesteśmy „my” i „oni”. I zawsze w głębi duszy odczuwamy ulgę, że nie nas to spotkało.



Zobaczył uzbrojone w zasuwę drzwi kolejnych cel i odrapane, malowane chyba przed pierwszą wojną światową ściany.

Żadnego okna, żadnej szyby. Wiszące pod sufitem silne jarzeniówki potęgowały odrażający piwniczny klimat, nadając wszystkiemu sinawy odcień.

O mało się nie przewrócił, bo chodzenie w niezasznurowanych butach to wyczyn z pogranicza ekwilibrystyki.

Panowała złowroga cisza, którą przerywał tylko stukot obcasów policjanta przeplatany odgłosami bezsznurówkowego człapania Aleksa.

Wreszcie dotarli do drzwi na końcu korytarza. Zasuwę poszły w ruch, najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Aleks wszedł i rozejrzał się po celi.

No to jestem w pierdłu, pomyślał.

Pomieszczenie było mniejsze od sypialni w jego mieszkaniu. Miało kilka metrów kwadratowych, a za umeblowanie służyły cztery metalowe łóżka i stojący na środku, przykręcony do podłogi stół. Na samej górze widniało małe zakratowane okienko, umiejscowione jednak zbyt wysoko, by dało się przez nie wyrzeć. Całość oświetlała wisząca nad drzwiami potężna lampa halogenowa.

Na jednym z łóżek, tym najbliższym wejścia, leżał mężczyzna.

Aleks znał ten widok z dyżurów w pogotowiu. Pijany w trzy dupy. Facet ciężko oddychał, pogrążony w niespokojnym pijackim śnie.

Lekarz poczuł ulgę. Ten człowiek nic mu nie zrobi, choć śmierdzi niemiłosiernie przetrawioną wodą i wymiocinami.

Aleks podreptał w drugi kąt celi i położył się na twardym materacu. Leżał w ciszy przerywanej posapywaniem, pochrapywaniem lub pokasływaniem pijaka i ze wszystkich sił starał się nie rozplakać. Przez chwilę się udawało. Ale potem przestał próbować. Po raz pierwszy od rana mógł bez przeszkód rozładować narastające przez cały dzień napięcie.

Szlochał jak bóbr, choć wstydził się trochę przed samym sobą tej oznaki słabości. Po pewnym czasie poczuł się nieco lepiej.

A może nie tyle lepiej, ile przestał odczuwać cokolwiek. Popadł w rodzaj letargu, a fakt, że nie miał zegarka, tylko ten stan pogłębiał.

To się dopiero nazywa znieczulenie ogólne, pomyślał, gdy dotarło do niego, że nie śpi, choć oczy ma zamknięte, a mózg wyłączony.

Nigdy jeszcze nie przeżył czegoś podobnego, zawsze, nawet kiedy odpoczywał, był to jednak rodzaj pewnej aktywności organizmu. Teraz czuł się jak roślina.

No tak, tłumaczył sobie, człowiek zamknięty w małym pomieszczeniu w naturalny sposób spowalnia swoje reakcje. Dzięki temu łatwiej znosi warunki, w jakich się znalazł.

Nagle uświadomił sobie, dlaczego to sobie tłumaczy.

Przeszył go dreszcz.

Za wszelką cenę starał się uniknąć myślenia o dniu jutrzejszym. Bo jutrzejszy dzień przyniesie rozstrzygnięcie, czy

na dłużej pozostanie w zamknięciu. A to byłby dla niego koniec świata.



Drzwi celi otworzyły się z trzaskiem. Kątem oka Aleks dostrzegł kolejnego towarzysza niedoli.

Był to młody chłopak o typowym wyglądzie bandyty. Z pewnością nie trafił tutaj dlatego, że przechodził na czerwonym świetle.

Nowy lokator, wchodząc, narobił takiego łomotu, że śmierdzący pijak natychmiast się obudził, wstał ciężko i usiadł na przyczy, opuszczając nogi na podłogę.

– O kurwa, ale mnie suszy – wychrypiał.

Młodziak nie okazał jednak zbyt dużej empatii. Bez słowa położył się na wolnym łóżku.

Jezu, co ja tutaj robię? – jęknął w duchu Aleks.

Nie pogardzał tymi ludźmi, nie uważał ich za gorszych, ale określenie „margines społeczny” zaczynało nabierać dla niego zupełnie nowego znaczenia.

Teraz ja też jestem marginesem.

– Kolacja! – rozległ się głos na korytarzu.

Młody jako jedyny zerwał się z łóżka. Widać było, że jest dobrze zaznajomiony z więziennymi obyczajami.

– Dobra, wezmę dla wszystkich – rzucił, patrząc na współwięźniów, jakby czekał na ich reakcję.

Nie doczekał się.

Po chwili na biesiadnym stole wylądowały trzy metalowe kubki i tyleż talerzy. Na każdym leżały dwie kromki chleba, kawałek masła i kapka dżemu.

Aleks nie czuł głodu, żołądek miał zaciśnięty w supeł, ale lata dyżurów nauczyły go, że jeść należy wtedy, gdy nadarza się okazja, bo następna nieprędko może się pojawić. Podniósł się więc niespiesznie i podszedł do stołu.

– Smacznego. – Młody się uśmiechnął.

Aleks zastanawiał się przez chwilę, czy uznać to za żart, czy za wyraz więziennej uprzejmości. Odwzajemnił uśmiech.

– Dzięki – powiedział najbardziej swobodnie, jak potrafił.

– Ale bym zjadł domowego kapuśniaku. – Zważywszy na rozmiar kaca, który zapewne męczył pijaczkę, jego tęsknota za potrawami z gatunku kwaśnych wydawała się jak najbardziej uzasadniona.

Nikt nie podjął tematu.

Aleks może by i spróbował, ale właśnie zauważył coś, co bardzo go zdziwiło.

Otóż do tej jakże wystawnej kolacji nie podano sztucców. Przez ułamek sekundy uznał to za niedopatrzenie i już miał podzielić się tym spostrzeżeniem z kolegami, w porę się jednak zorientował, jak wielkim byłoby to *faux pas*.

Zaczął podpatrywać, jak radzi sobie Młody. Ten nabrał na palec kawałek zmrożonego masła i zaczął rozsmarowywać je na chlebie.

Aleks spojrzął na swoje ręce. Nie pamiętał, kiedy ostatnio je mył, więc umoczył chleb w dżemie.

– Jutro będzie kapuśniak – skacowany jegomość uporczywie wracał do tematu. Rzeczywiście, rozmiar jego cierpienia musiał być znaczny.

– Skąd wiesz, że jutro? – Młody tym razem podchwycił dyskurs. – Za co leżysz?



Aleksa zdziwiło to określenie.

– Komórkę zająłem gościowi w sklepie po pijaku – padła odpowiedź.

Aleksa nie zaskoczył niewielki kaliber przestępstwa. Facet był tak pijany, że nie mógł zdziałać zbyt wiele.

– No tak, to jutro cię puszczą po zeznaniach. – Młody wyglądał na eksperta również w dziedzinie działań podejmowanych przez wymiar sprawiedliwości.

Można było z powodzeniem zaryzykować stwierdzenie, że siedzi nie po raz pierwszy.

– Ja to mam przejebane – kontynuował głosem, który nasuwał pewne wątpliwości, czy jest zmartwiony powyższą konstatacją.

– Recydywa? – zapytał Pan Kac bez zbytniego zainteresowania.

– No... wyrwałem babce torebkę, trochę poturbowana wyszła, nic wielkiego, a psy chcą mi przybić napad... bo już jestem notowany...

– Przejebane... – Obaj panowie wydawali się zgodni co do rażącej niesprawiedliwości, jaka dotknęła sympatycznego młodzieńca.

Aleks zaczął się zastanawiać, co może oznaczać określenie „trochę poturbowana” i czy koledzy chirurdzy ortopedzi byliby tego samego zdania. Z zadumy wyrwało go pytanie skierowane ewidentnie do niego:

– A ciebie za co zgarnęli?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Chciał otworzyć usta i coś wyjaśnić, ale zdał sobie sprawę, że to nie ma najmniejszego sensu.

– Morderstwo – odparł cicho.

Faceci pobledli, a w ich oczach pojawił się strach. Do końca wieczoru żaden nie odezwał się słowem.



Noc była jednym straszliwym koszmarem, „wielkim, włochatym pajakiem”, jak w piosence, której tytułu Aleks nie mógł sobie przypomnieć.

To się budził, to znów zasypiał, a może tylko mu się wydawało, że zasypiał, i może tylko mu się wydawało, że się budził...

Raz po raz przed jego oczami pojawiali się to Szymański, to znów Monika, ojciec, Marysia, a wszyscy wyglądali jak w kiepskim horrorze. Chwilami niemal czuł dotyk Moniki i słyszał blisko, przy uchu, głos jej ojca.

„Dobij!” – charczał Szymański, po czym rozpląwał się w obłoku dymu.

Co jakiś czas zapalała się nad drzwiami wielka halogenowa lampa i ktoś z trzaskiem otwierał wizjer, żeby zajrzeć do celi. Aleks miał wrażenie, że dzieje się tak praktycznie co minutę, ale może to właśnie wtedy przychodził sen?

A może to wszystko jest snem? Ta lampa, te drzwi, całe to miejsce, cała ta sytuacja?

Niestety, rano nastąpiła bezlitosna rzeczywistość.

Obolały poczłapał korytarzem do miejsca, które szumnie nazywano łazienką. Z przykrością stwierdził, że nie ma mydła i ciepłej wody, co go dobiło. Teraz wiedział na pewno, że to raczej nie będzie miły dzień.

Ochłapał twarz zimną wodą i wrócił do celi. A tam czekało śniadanie. Chleb z dżemem i herbata. Dla odmiany. Trochę się zdziwił, że go to nie zdziwiło.

Czyżby tak szybko przyzwyczajał się do nowego życia? Miał nadzieję, że jednak nie.

Rozmowa z towarzyszami niedoli zupełnie się nie kleiła. Tymczasem z łóżek zniknęły koce, zrobiło się chłodno, żeby nie powiedzieć zimno, ucieszył się więc, gdy szcęknęły zasuw, a w drzwiach pojawił się policjant z porannej zmiany.

– Wendt – warknął.

– To ja – odparł Aleks.

– Syn? – zabrzmiało pytanie, a indagowany zdał sobie sprawę z finezji tej procedury.

Jakiż prosty i praktyczny system identyfikacji, uniemożliwiający podszyć się pod kogoś innego. Wyglądało trochę jak wymiana haseł i odzewów w szpiegowskim filmie.

– Syn Stanisława – rzucił Aleks.

Zadziałało.

Policjant gestem kazał Aleksowi wyjść na korytarz. I dobrze. Cokolwiek czeka go tam, dokąd go zaprowadzą, z pewnością nie będzie gorsze od kolejnych godzin na dołku. I w dołku.



Sala sądowa, w której miała odbyć się rozprawa, znajdowała się na piątym piętrze. Znow całą drogę odbył piechotą w towarzystwie kolejnego funkcjonariusza, niestety, z kajdanami na przegubach rąk. Nie ma się co oszukiwać, potargany i nieogolony wyglądał na zwykłego oprycha.

Przed salą rozpraw czekali już Bieda i prokurator. Obydwaj w togach, z teczkami i plikami akt pod pachą.

Pełen profesjonalizm, pomyślał Aleks. I od razu przyszło mu do głowy, że prokurator i obrońca powinni właściwie

wchodzić na salę sądową osobnymi wejściami, trochę jak gladiatorzy w starożytnym Rzymie, niewidzący się przed walką. Unikaloby się w ten sposób niezręcznej sytuacji, no bo trudno w takich warunkach o przyjacielskie pogawędki w oczekiwaniu na sprawę, a milczenie w wąskim korytarzu i równie wąskim gronie było co najmniej krępujące.

Rozpoczęli więc „zajęcia w podgrupach”, osobno „na-pastnicy”, osobno „obrońcy”.

– I jak noc, przeżyłeś jakoś? – zapytał zatroskany Bieda.

– Daj spokój. – Aleks chciał machnąć ręką, ale z racji krępujących przeguby kajdanek nie wyszło mu to zbyt dobrze. – Nie umarłem, ale... szkoda gadać...

Nie miał ochoty opowiadać o czymś, co i tak trzeba przeżyć, żeby zrozumieć.

– Dobra. – Adwokat uznał, że czas przejść do konkretów. – Zaraz wchodzimy. Tam, w środku, ja mówię, ty się odzywasz jak najmniej. Odmówiłeś składania zeznań, więc nie możesz się specjalnie rozgadywać przed sądem. To jest zresztą posiedzenie w sprawie tymczasowego aresztowania, a nie proces, więc sąd w ogóle nie będzie się zajmował rozpatrywaniem słuszności bądź niesłuszności zarzutów. Ma tylko zadecydować, czy do procesu możesz pozostać na wolności.

– A zadecyduje? – Aleks znów poczuł strach.

– Zobaczymy. – Głos mecenasa zabrzmiał tak, że to uczucie zyskało mocne podstawy. – Dobra, pogadamy trochę, najpierw prokurator, potem ja, na końcu sąd zapyta cię, o co wnosi podejrzany. Odpowiesz, że o to samo, co obrona... I koniec.

W tym momencie w drzwiach sali pojawiła się młoda dziewczyna.

– Sprawa Aleksander Wendt o zastosowanie tymczasowego aresztowania... – wyrecytowała jak nakręcana lalka.

Policjant zdjął mu kajdanki i poprowadził na środek pomieszczenia, do bariery przed stołem sędziego. A sędzią była kobieta.

Trzydzieści kilka lat, blondynka, niczego sobie. Gdyby nie toga i ciężki mosiężny łańcuch z widniejącym na środku godłem, Aleks nie traktowałby jej poważnie.

Matko, całe moje życie ma zależeć od takiej lali?

Tymczasem prokurator Silski zdążył już rozpocząć swój wywód.

– Wysoki Sądzie, prokuratura wnioskuje o tymczasowe aresztowanie podejrzanego na okres trzech miesięcy. Wniosek uzasadniamy realną obawą ucieczki podejrzanego z racji zagrożenia wysokim wymiarem kary, a także możliwością matactwa i podejmowania prób wpływania na zeznania świadków, co realnie może utrudnić prowadzenie śledztwa. Dobro tegoż śledztwa bezwzględnie wymaga, żeby podczas jego trwania podejrzany nie przebywał na wolności.

Zrobił przerwę, zapewne dla osiągnięcia lepszego efektu.

– Pragnę też dodać, Wysoki Sądzie, że podczas pierwszego przesłuchania podejrzany odmówił składania zeznań, co jednoznacznie wskazuje na chęć utrudnienia postępowania organom ścigania.

Sędzia w ułamku sekundy zmieniała wyraz twarzy z obojętnego na poirytowany.

– Proszę nie używać takiej retoryki, panie prokuratorze – zażądała głosem nieznośnym sprzeciwu.

No, no, no, nie taka znowu lala, pomyślał Aleks z podziwem.

– Podejrzany korzysta z konstytucyjnie przysługującego

mu prawa do odmowy zeznań – podkreśliła. – Sąd nie może wymagać, żeby ktokolwiek był entuzjastą śledztwa prowadzonego przeciwko sobie przez prokuraturę. Wszelkie dozwolone prawem sposoby obrony są do dyspozycji obywatela. Sąd nie weźmie pod uwagę przedstawionego uzasadnienia w tej kwestii.

No, ale Daniel Bieda chyba wziął, bo najpierw skrzywił się z niesmakiem, a później jakby posmutniał.

Aleks zrozumiał dlaczego.

Silski to wytrawny gracz. Wiedział doskonale, jaka będzie reakcja sędzi. Nie mogła być przecież inna, ale „zasiał ziarno”, ukazał podejrzanego w konkretnym świetle, a o to mu przecież chodziło.

Jeden-zero.

Teraz przyszła kolej na adwokata.

– Wysoki Sądzie, obrona wnosi o oddalenie wniosku prokuratury o zastosowanie tymczasowego aresztowania i o zastosowanie wobec podejrzanego innych, nieizolacyjnych środków w postaci zabezpieczenia majątkowego, dozoru policyjnego lub zakazu opuszczania kraju. Podejrzanym jest osobą niekaraną, cenionym lekarzem, ma rodzinę i dobrą pracę, a insynuacje prokuratury dotyczące możliwości jego ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości są nieuzasadnione. Co zaś do zagrożenia wysoką karą, to pragnę nadmienić, że na razie śledztwo nie potwierdziło jeszcze winy podejrzanego, w związku z tym wysoką karę również należy uznać, przynajmniej na razie, bardziej za pobożne życzenia pana prokuratora niż za realne zagrożenie dla mojego klienta...

Ho, ho, pomyślał Wendt, chyba się trochę postawił ten nasz rozwodowy mecenasik.



Siedzieli na korytarzu i czekali na orzeczenie sądu.

Po błyskotliwych wypowiedziach prawników i jednozdaniowym wystąpieniu Aleksa Wysoki Sąd ogłosił przerwę i udał się w sobie tylko wiadomym kierunku.

– Jak długo to potrwa? – spytał Aleks mecenasa.

– Kilkanaście minut – odparł spokojnie Bieda. – Musi napisać uzasadnienie. Nie przejmuj się, nieźle poszło, zrobiliśmy, co w naszej mocy – dodał pocieszająco.

Aleks siedział na długiej drewnianej ławie ze spuszczoną głową.

Kilkanaście minut zmieniło się w godzinę. Wreszcie w drzwiach znów pojawiła się nakręcana sekretarka.

– Sądczywa na ogłoszenie postanowienia.

Aleks poczuł, że drżą mu nogi. Wszedł do sali i od razu usiadł na swoim miejscu. Próbował wyczytać coś z twarzy sędzi, ale miała spuszczoną głowę, bo dokonywała ostatnich poprawek w uzasadnieniu.

A może tylko sprawiała takie wrażenie, chcąc do końca trzymać obie strony w niepewności?

Wszyscy szybko zajęli miejsca i wreszcie się zaczęło.

W czasie przydługiego wstępu, wygłoszonego w imieniu Rzeczypospolitej i Przenajwyższego Paragrafu, Aleks zdążył się spociec. Nigdy jeszcze nie czekał na nic z takim napięciem, każdy jego mięsień, każdy nerw był napięty jak struna.

– Biorąc pod uwagę – czytała beznamiętnie sędzia – że o wynikach śledztwa zadecydują przede wszystkim analizy mające na celu wykrycie w organizmie ofiary substancji mogących doprowadzić do jej zgonu...

O tym wszystkim stojący przed obliczem sprawiedliwości nieszczęśnik wiedział aż za dobrze.

Nie trzeba było mu tłumaczyć, jak wiele faktów przemawia na jego niekorzyść, ale teraz nie chciał zaprzętać sobie tym głowy.

Teraz interesowało go tylko, czy będzie mógł wrócić do normalnego świata. Choćby w tym świecie nic dobrego na niego nie czekało.

– ...i nakazuje zastosowanie w stosunku podejrzanego... w postaci aresztu tymczasowego na okres trzech miesięcy.

Aleksowi pociemniało w oczach. Czy tak wygląda koniec?

Bezradnie spojrział na Daniela, ale twarz mecenasa nie zdradzała żadnych emocji. Czyżby nie usłyszał? Czyżby nie zrobiło to na nim wrażenia?

– Sąd ustanawia poręczenie majątkowe wysokości stu tysięcy złotych. Jeżeli w terminie siedmiu dni od daty niniejszego postanowienia kwota poręczenia zostanie wpłacona, areszt zostanie zawieszony i zastosowane zostaną inne środki... do czasu wpłacenia poręczenia podejrzanym pozostanie w areszcie. Sąd zamyka posiedzenie.

Aleks zamknął oczy i zobaczył, jak na końcu długiego ciemnego tunelu ktoś zapalił właśnie ledwo dostrzegalne światełko.

Nie wiedział tylko, czy starczy mu sił, by się przez ten tunel przeczołgać.



# Rozdział 21

Artur Silski szedł powoli Alejami Ujazdowskimi, rozkoszując się prawdziwie letnim słońcem i leciutkimi powiewami wiatru, dzięki którym upał nie dawał się zbyt widać.

Miał jeszcze kwadrans do spotkania, więc postanowił nie szukać dogodnego miejsca do parkowania, tylko postawił renault megane na Pięknej, naprzeciwko ambasady amerykańskiej, i poszedł na spacer.

Zastanawiał się nad przyczyną niespodziewanego zaproszenia do Ministerstwa Sprawiedliwości, które otrzymał wczoraj.

Telefon z sekretariatu samego ministra zaskoczył go, a gdy próbował się dowiedzieć o przyczyny zainteresowania jego skromną osobą, panią, z którą rozmawiał, miłym, aczkolwiek stanowczym tonem oznajmiła, że wszystkiego dowiedzieć się na miejscu, bezpośrednio od pana ministra.

Nie miał zielonego pojęcia, jaką minister może mieć sprawę do szarego prokuratora z okręgowki.

Nie spiesząc się, dotarł pod numer jedenasty i przez okna wszedł do ministerialnego gmachu. Nigdy tu nie był i przez chwilę poczuł się nieco onieśmieszony.

Może go wywalą? A może dostanie awans? A może ani jedno, ani drugie?

– Prokurator Silski do pana ministra – zameldował po wojskowemu strażnikowi.

Ten podniósł słuchawkę i przekazał wiadomość dalej, a potem wręczył mu identyfikator i wskazał drzwi windy.

Gdy Silski wysiadł z windy, czekała na niego uśmiechnięta niewiasta w średnim wieku, zapewne sekretarka lub osobista asystentka Głównego Sprawiedliwego.

– Pan minister oczekuje pana, panie prokuratorze, proszę za mną – powiedziała słodko.

Kurczę, ale ze mnie waśniak, pomyślał.

Dziarsko przekroczył więc próg gabinetu ministra.

Za masywnym dębowym biurkiem siedział człowiek, którego Silski aż za dobrze znał z telewizji.

Minister sprawiedliwości Edward Wcisło.

Dziewięćdziesiąt procent polityka, dziesięć procent prawnika.

Silski nie miał okazji osobiście zapoznać się z poglądami Edwarda Wcisły prawnika, znał tylko te z konferencji prasowych Edwarda Wcisły ministra, ale budowany dyskretnie obraz politycznego twardziela walczącego z przestępczością i obrońcy państwa prawa wydawał mu się zdecydowanie zbyt dęty.

Zaufany przyjaciel premiera, z niewyartykułowanymi co prawda, ale coraz częściej komentowanymi przez media ambicjami prezydenckimi, i to być może już w następnych wyborach, Wcisło był w tym momencie jedną z najbardziej wpływowych osób w państwie.

Czy się to kolegom prawnikom podobało, czy nie.

– Proszę siadać, panie prokuratorze. – Oschły ton był idealnym uzupełnieniem postaci.

Nienaganny.

To najwłaściwsze określenie.

Ten człowiek był nienaganny – od fryzury przez garnitur i krawat. Nienaganne było również wszystko, co go otaczało: kwiaty idealnie ułożone w wazonie i kolor zasłon, równe stosy teczek z dokumentami piętrzące się na biurku, ale piętrzące się tak nienagannie, że nieprawdopodobnym wręcz było ich otwarcie i przejrzanie zawartości – wszak mogłoby to zaburzyć ich nienaganność.

Silski poczuł się nieswojo.

Tak, w telewizji facet jest zdecydowanie mniej toksyczny.

Prokurator usiadł i czekał, aż minister oderwie wzrok od komputera.

A może raczej weźmie gościa na cel?

– To pan prowadzi sprawę tej eutanazji? – To nie było pytanie, to był błyskawiczny atak.

– Tak, prowadzę sprawę tego lekarza.

– Jak to wygląda na dzisiaj? – Pytanie zostało zadane pozornie od niechcienia, ale Silski nie miał wątpliwości, że to dla jego rozmówcy ważna sprawa.

– Hmm... no cóż... – Nie wiedział, jak szczegółowy i wyczerpujący ma być raport, którego oczekuje przełożony, ale doszedł do wniosku, że facet musiał przejrzeć akta, więc ograniczył się do zreferowania najważniejszych faktów. – ...czekamy na wyniki badań laboratoryjnych materiału pobranego podczas autopsji. Będziemy mieli wtedy bezpośrednią przyczynę zgonu i ewentualne substancje, które mogły go spowodować. Bez tego będzie ciężko.

Natychmiast pożałował tych słów. Minister chyba go nie

słuchał, ale teraz nagle wyprostował się i spojrzął na niego przenikliwie.

– Mam nadzieję, że rozumie pan, panie prokuratorze, iż w tej sprawie nie ma miejsca na błędy.

A w jakiej sprawie, psiakrew, są miejsca na błędy? – pomyślał Silski.

Nie podobała mu się ta rozmowa.

– Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z priorytetowej rangi tego śledztwa. – To ni pytanie, ni stwierdzenie ministra rozwiało wszelkie wątpliwości.

– Może... może – zawahał się prokurator – nie jestem odpowiednią osobą do prowadzenia...

– O tym ja decyduję. Poprowadzi pan tę sprawę. Nie ma mowy o żadnych zmianach. Jeszcze się nie zaczęło, a media już na mnie siedzą i węszą, czy nie będzie jakichś nacisków z mojej strony.

A to teraz to niby co? Silski nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać.

– Nie będzie żadnych nacisków! – huknął minister. – Musimy wygrać tę sprawę.

– Oczywiście, panie ministrze. Wykonamy... – wybąkał, bo nie wiedział, co właściwie powinien powiedzieć.

– Śledztwo musi być przeprowadzone wzorowo, nikt nie może się przyczepić – ciągnął minister. – Tu nie chodzi o samo postępowanie, tu chodzi o pańską świadomość.

To się nazywa pranie mózgu, pomyślał Silski.

– Musi pan zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Musi pan uzmysłwić sobie fakt, że dziewięćdziesiąt procent mieszkańców tego kraju to katolicy. Lepszy czy gorszy, ale wyjątkowo konserwatywni. I to oni chcą, żeby ten facet poszedł

siedzieć! A pan im to musi zapewnić! Bo inaczej zawali się im światopogląd, stracą zaufanie do państwa jako gwaranta praw obywatelskich. Czy to do pana dociera?

Dociera do mnie, jakim jesteś dupkiem, pomyślał Silski.

– Tak jest – powiedział tylko.

– Od pana, panie prokuratorze, zależy, czy zapadnie sprawiedliwy wyrok.

Boże, co za hipokryzja, pomyślał prokurator. Facet wydał wyrok, zanim rozpoczęło się śledztwo, a teraz wygaduje wzniosłe slogany o sprawiedliwości.

– Jeżeli dobrze pan się spisze, może pan być pewny miejsca w krajówce – zakończył Wcisło.

No tak, kij już był, teraz przyszła kolej na marchewkę.

– Proszę informować mnie na bieżąco o postępach śledztwa – dodał minister po chwili.

– Tak jest.

– E-mailem – zaznaczył wódz, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie wydzwaniania wieczorami na komórkę.

Może spać spokojnie, Artur nie ma w spisie telefonów jego numeru.

– Oczywiście – odparł zrezygnowany.

– To wszystko. – Minister, nie czekając, aż gość wstanie, wbił wzrok w monitor komputera.



Silski wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Poczul słodki zapach kwitnących lip... i sympatię do doktora Wendta. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na budynek ministerstwa. Jeszcze jedna taka wizyta i zostanie adwokatem, pomyślał.

## Rozdział 22

Areszt śledczy, w porównaniu z dołkiem, wydał się Aleksowi luksusową placówką sieci Marriott.

Przed wszystkim już od samego wejścia zamiast policjantów zaczęli się pojawiać ludzie w mundurach straży więziennej i cywile. Co prawda, tu też wszędzie były kraty, ale przynajmniej okna umieszczono tak, że można było przez nie wyjrzieć.

Budynek był stary i niezbyt okazały, ale w miarę czysty.

Na początek osadzony, bo tak nazywano teraz Aleksa, trafił do pomieszczenia, które, jak się później dowiedział, nosiło wdzięczną nazwę „sieczkarnik”.

Był to rodzaj izolatki, w której po obu stronach znajdowały się małe okienka. Procedura była nawet dość zabawna, bo raz po raz otwierało się któreś z nich i pojawiał się kolejny formularz, po czym okienko się zamykało, a za chwilę sytuacja powtarzała się po przeciwnej stronie.

Aleks zastanawiał się, co będzie, jeżeli przypadkowo okienka otworzą się jednocześnie. Czy będzie musiał stanąć w rozkroku i wypełnić dwa formularze naraz?

Punktem kulminacyjnym była sesja fotograficzna. W pewnym momencie zamiast formularza w okienku pojawiła się tabliczka z cyferkami i tak jak na amerykańskich filmach

gangsterskich doktor W, dorobił się zdjęcia zarówno *en face*, jak i z obu profili.

Obracając się zgodnie z poleceniami jednego ze strażników, pełniącego funkcję więziennego fotografa, Aleks przypominał sobie, jak kilka lat temu, wezwany w charakterze świadka przypadkowo zauważonego włamania do sklepu w sąsiedztwie, przeglądał takie albumy, próbując rozpoznać złodziejasków.

Pamiętał niechęć, jaką czuł do wszystkich tych ludzi na zdjęciach.

Ciekawe, czy jego twarz też ktoś kiedyś będzie tak oglądał?

Czy chociaż przez chwilę zastanowi się, kim tak naprawdę był Aleks Wendt?

Czy będzie tylko kolejnym numerem w bandyckim katalogu nienawiści?

Były też miłe niespodzianki. W czasie jednej z „okienkowych” odsłon poproszono go o zdeponowanie posiadanej gotówki.

Miał przy sobie parę stów, które zabrał przytomnie z domu, w myśl zasady, że wychodząc, wszystkiego można zapomnieć, z wyjątkiem kluczy i pieniędzy. Ucieszył się nawet, kiedy poinformowano go, że za zdeponowane środki będzie mógł robić zakupy w więziennej kantynie, a rachunki będą mu automatycznie odliczane od złożonej w kopercie sumy.

W zestawieniu z przeżyciami z dołka informacja brzmiała jak scenariusz niesfilmowanego odcinka *Gwiezdných wojen*.

Zaraz mi jeszcze wręczą Więzienną Kartę Visa z programem Pierdłowej Promocji, pomyślał.

Po rejestracji przyszedł czas na przydział zakwaterowania.

W tym celu nowy pensjonariusz krajowego więziennictwa udał się na spotkanie z wychowawcą.

Wychowawca okazał się sympatycznym facetem koło czterdziestki, zupełnie niepasującym do krajobrazu. Miał wygląd mola książkowego, nosił sztruksową marynarkę, a pod nią czarny podkoszulek.

Siedział za biurkiem zavalonym papierami i przecierał okulary.

Aleks stracił resztki wiary w resocjalizację. Lądowanie UFO na dziedzińcu było bardziej prawdopodobne niż to, że ten człowiek może kogokolwiek wychować.

– Proszę siadać – powiedział grzecznie więzienny opiekun, po czym założył okulary i zaczął przeglądać teczkę Aleksa. – Pan jest lekarzem? – zapytał po chwili.

W jego głosie słychać było niedowierzenie. Pewnie pomyślał, że może zaszła jakaś pomyłka.

Aleks już po raz drugi w ciągu ostatnich kilkunastu godzin poczuł przemożną chęć wytłumaczenia się ze wszystkiego, choć wiedział, że to nie ma sensu.

– Tak – odparł cicho.

– Jak pan tu trafił, na Boga?

– Mam prośbę. – Aleks chciał zmienić temat. – Czy mógłbym dostać przydział do celi, gdzie nie siedzą jacyś... – zawahał się – ...groźni bandyci? Może to zabrzmiało naiwnie, ale boję się...

– Spokojnie, proszę się nie martwić. – Wychowawca podniósł wzrok znad akt i patrzył na Aleksa, jakby ten był rzadkim gatunkiem ptaka. – To nie jest Guantanamo, nikt nie zrobi panu krzywdy. – Uśmiechnął się życzliwie. – Dam pana do celi dla niepalących.

– Dziękuję – powiedział tylko Aleks.



Wychowawca spoważniał.

– Proszę jednak pamiętać, że to są przestępcy. – Spojrzał na Aleksa znacząco.

Ja też, pomyślał Aleks.



Po raz kolejny zatrzasnęły się za nim stalowe drzwi. Rozejrzał się po celi.

Na powierzchni mniej więcej cztery metry na trzy stały naprzeciwko siebie dwa rzędy piętrowych łóżek.

Przypominało to wagon sypialny.

Tylko trochę bardziej śmierdziało. Potem i jedzeniem.

Nie było brudno. Wręcz przeciwnie. Aleks ze zdziwieniem stwierdził, że w celi panuje idealny porządek. Wszystko było starannie poukładane, łóżka z pościelą wzorowo zasłane.

– Dzień dobry – powiedział, przyglądając się więźniom.

Po długiej chwili ciszy odezwał się starszawy gość, ubrany w czarny podkoszulek, spod którego rękawów wyłaniały się posępne tatuaże, przedstawiające ogniste ptaki atakowane przez monstrualne węże.

– Pokaż blachę – rzucił sucho.

– Co mam pokazać?

– Pierwszy raz? – spytał osobnik wyglądający najnormalniej ze wszystkich.

Facet koło trzydziestki, w spodniach od dresu, był potargany i niezbyt starannie ogolony, ale jego ręce zdradzały, że nigdy nie pracował fizycznie. Miał bystre oczy i miłą twarz. Inteligent.

– No – mruknął Aleks. Nie wiedział, czy brak więziennego stażu to plus, czy wprost przeciwnie.

– To jest starszy celi. – Inteligent wskazał wytatuowanego.

– Musisz mu pokazać blachę... tę kartkę, którą dostałeś przy przyjęciu...

– Aha. – Aleks zaczął przetrząsać kieszenie i po chwili w jego ręku pojawiła się złożona na cztery kartka. Nie miał pojęcia, że jest taka ważna.

– Tam jest napisane, z jakiego jesteś paragrafu – wyjaśnił Inteligent, a reszta więźniów zachowywała stoicki spokój, jakby w ogóle nie interesowała się nowo przybyłym. – Starszy oceni, czy to nie pedofilia albo takie tam...

Oczy wszystkich zwróciły się na przywódcę. Aleks słyszał kiedyś, że w więzieniach, podobnie jak w wojsku, hierarchia ustalana jest na podstawie stażu.

Czym innym były jednak zasłyszane przy herbatce ciekawostki, a czym innym więzienna rzeczywistość.

Starszy pogrzebał w kartonie stojącym obok jego łóżka, najwyraźniej czegoś szukając. Na widok przedmiotu, który po chwili pojawił się w jego rękach, Aleks o mało nie usiadł z wrażenia.

Niemożliwe! To był *Kodeks karny!*

No cóż, widać, że i Belzebub czasem wyciąga różaniec, pomyślał, patrząc, jak wytatuowany gangster otwiera z namaszczeniem książkę. Przeświadczenie Aleksa, że nic go już chyba nie zdziwi, przeszło w niezachwianą pewność.

Studia nad prawniczą biblią trwały dobrą chwilę.

W ciągu ostatnich kilku godzin kolejne osoby pochylały się nad jego przypadkiem i Aleks zaczął się do tego powoli przyzwyczajać. Jak widać w tym świecie człowiek znaczy tyle, ile paragraf, który go opisuje.

– Panowie... – starszy zawiesił efektownie głos, a Aleks poczuł, jakby właśnie odbywał się kolejny proces i kolejny sąd sposobiał się do ogłoszenia wyroku. – Panowie – powtórzył

więzienny guru – „głowa”! – oznajmił złowieszczo.

Wszyscy zrobili marsowe miny, jakby facet ogłosił właśnie koniec świata.

Znów zapadła grobowa cisza. I określenie „grobowa” nie było ani trochę nie na miejscu.

Aleks zastanawiał się, czy może padło właśnie polecenie ucięcia mu głowy, błogosławił też strażników za to, że odbierają więźniom narzędzia mogące służyć do tego celu.

Już myślał, że wytatuowane węże pożrą najpierw jego, a dopiero później wezmą się do ognistych ptaków, tym bardziej że ręka, na której zostały uwiecznione, zaczęła wyciągać się w jego stronę. Ręka trzymała jednak kartkę, a głos Starszego nieco złagodniał.

– Masz – powiedział, skinąwszy głową w jego kierunku – obejmij kojo.

To na pewno było ułaskawienie, przynajmniej chwilowe.

Z pomocą przyszedł jego nadworny tłumacz, który chyba już pogodził się ze swoją funkcją i przynajmniej na razie postanowił sumiennie ją wypełniać.

– Kojo – powiedział, wskazując dolne łóżko po lewej stronie. Było świeżo zasłane, z czego Aleks wywnioskował, że ostatnio nikt z niego nie korzystał. – Póła. Jaskóła. – Intelligent dotknął palcem kolejnych pięter więziennych posłań. – Kojo, póła, jaskóła – powtórzył powoli.

Przypominało to nieco pierwszą lekcję udzieloną Piętaszkowi przez Robinsona Crusoe. To bez wątpienia była niezbadana wyspa na oceanie rzeczywistości, tyle że nie bezludna.

– Dzięki – mruknął Aleks i podszedł do łóżka.

Miał już swoje miejsce.

To wyjątkowo ważne dla istoty ludzkiej – mieć swoje

miejsce. Nawet malutki skrawek przestrzeni, który należy tylko do niej. W tym otoczeniu i w tym momencie osadzony Aleksander W, odczuł to wyjątkowo silnie. Od chwili gdy wyszedł z mieszkania, po raz pierwszy ktoś wyznaczył mu jego kawałek podłogi.

Nagle szcęknięły zasuwki i pojawił się strażnik.

– Wendt – szcęknął.

– To ja.

– Syn?

No, to ma przeciwiczone jak paciorek. Hasło doczekało się odzewu.

– Do kąpieli. I po przydział – zabrzmiała sucha komenda.

Cokolwiek miało znaczyć to drugie, to pierwsze wydało się Aleksowi dźwiękiem słodszy niż śpiew ptaków. Boże, jak on marzył o kąpieli.

– Tylko nie schylaj się po mydło – rzucił jeden z więźniów, młodziak z wyraźnymi brakami w uzębieniu.

Rechot pozostałych więźniów odprowadził Aleksa do drzwi. Znów szcęknięły zasuwki i ruszyli korytarzem.

– Przepraszam pana – zaczął Aleks niepewnie, czując się jak ostatni naiwniak – czy tam rzeczywiście może mnie spotkać coś... no, wie pan... przy tej kąpieli...

Na wąsatej twarzy strażnika pojawił się uśmiech.

– Za dużo filmów się naoglądałeś, chłopie. Nie daj się wpuszczać w maliny.



Aleks długo stał pod ciepłym strumieniem wody, jakby chciał zmyć z siebie nie tylko więzienny brud, ale i wszystkie grzechy. Te popełnione i te, które tylko chciano mu przypisać.

Pod prysznicem był oczywiście sam. Jak się później dowiedział, kąpiel dla nowo przyjętych odbywa się poza normalnym harmonogramem, o czym, rzecz jasna, wiedzieli kolesie z celi, którzy zapewne w tej chwili komentowali z rozbawieniem, jak to udało im się napędzić nowemu stracha.

Aleks nie dbał o to, rozkoszując się kąpielą. Wyraźnie poprawiła mu samopoczucie, które wciąż jednak dalekie było od choćby względnie dobrego.

Tak bardzo chciał wyjść na wolność. Tak bardzo chciał zobaczyć Monikę. Ze zdziwieniem skonstatował, że w ciągu całej tej drogi przez mękę właściwie o niej nie myślał. Teraz uświadomił sobie, że nawet nie próbowała się z nim skontaktować. Na zdrowy rozum powinna choćby zadzwonić do jego adwokata... a tu nic.

Nie zdążył się jednak nad tym zastanowić, bo w jego głowie pojawiło się słowo „kaucja”. Sto tysięcy. Siedem dni.

Co prawda, Bieda obiecywał, że powiadomi wszystkich, którzy choćby teoretycznie mogą się przydać, że zorganizuje akcję wyciągania go na wolność, ale to ani na chwilę nie odsuwało strachu.

Sto tysięcy.

Kupa forsy.

Aleks bez problemu wiązał koniec z końcem, ale nie miał żadnych oszczędności. Zresztą nawet gdyby miał, musiałyby leżeć gdzieś w skarpecie, bo od razu przecież dowiedział się, że jego konto zostało zablokowane, a karty kredytowe spoczną w szufladzie prokuratorskiego biurka.

Pozostają więc tylko przyjaciele. Ci bliżsi i ci mniej bliscy.

Na temat przyjaciół miał od lat wyrobione zdanie. Brzmiało: „Przyjaciół poznaje się w biedzie, przeto nigdy w biedę nie popadaj”.

Tak żył. Zawsze, odkąd pamiętał. Liczył tylko na siebie.

Pomagał ludziom, zawodowo i prywatnie, jak ognia unikając zabiegania o pomoc dla siebie.

Może to było głupie, ale miał w głowie coś w rodzaju barometru kontaktów z każdym ze swoich znajomych z osobna. I starał się, żeby ten barometr nigdy nie wychylił się w stronę bycia dłużnikiem.

Nieważne, kogo dotyczył pomiar, nie było na ziemi człowieka, któremu Aleks Wendt zawdzięczałby więcej, niż ten człowiek zawdzięczał Aleksowi Wendtowi.

To było wręcz obsesyjne.

Dlatego teraz, gdy miał się przekonać, kto naprawdę jest jego przyjacielem, czuł strach. Może za taki dystans się płaci? Może ludzie wyczuwali, że im nie ufa?

Sto tysięcy... Diabli wiedzą, czy to dużo, czy mało.

Za przyjaźń.

Za miłość.

Za życie.



Wytarł się dokładnie, ubrał i wyszedł z łazienki.



Przydział oznaczał ni mniej, ni więcej, tylko pobranie wszystkich rzeczy potrzebnych, zdaniem speców od więziennictwa, do przetrwania w warunkach ograniczonej wolności. Były więc świeża pościel na zmianę, szczoteczka i pasta do zębów, a także plastikowa zastawa – talerze, sztućce i kubek – a nawet krem do golenia i jednorazowa maszynka, wszystko zgodnie z listą wywieszoną na drzwiach magazynu.

Obladowany całym tym dobrem i solidnie już zmęczony nowymi wrażeniami dnia Aleks wrócił wreszcie do celi.

Powitały go ironiczne uśmiešky towarzyszy niedoli.

Nie schylać się po mydło, pomyślał, i mimo woli też się uśmiechnął. Szybko jednak odwrócił się w stronę swojego łóżka, nie chcąc dawać satysfakcji żartownisiom.

Większość i tak zresztą zajęta była oglądaniem w telewizji *Panoramy*. Dopiero teraz Aleks zauważył odbiornik zawieszony na specjalnym uchwycie w regu celi.

Gdyby jeszcze kilka dni temu ktoś zapytał go, jaki przedmiot najmniej spodziewałby się znaleźć w więzieniu, bez wątpienia telewizor otwierałby listę.

A tu proszę, właśnie zaczyna się prognoza pogody.

Chłopaki oglądały ją z zapartym tchem. Jakby miała dla nich jakieś znaczenie.

Aleks zamierzał położyć się na łóżku.

Wzdrygnął się na wspomnienie warunków, w jakich spędził poprzednią noc. Tutaj łóżko było nawet wygodne, no i z pościelą.

Jak niewiele potrzeba, żeby człowiek zaczął doceniać proste rzeczy.

– W dzień się nie leży – rzucił Inteligent. – Dopiero po kolacji. Inaczej dostaniesz opieprz.

Zrezygnowany Aleks klapnął na krzesło. Nie mógł skupić się na wiadomościach, opadły go smętne myśli.

Dokładnie sto tysięcy smętnych myśli.



Ranek powitał go apelem.

To była kolejna niespodzianka. Każdy, kto by pomyślał, że życie w areszcie to letargiczne zaleganie na łóżku, przeplatane

ewentualnie wydrapywaniem dat i imion na ścianie, byłby w błędzie.

Już o szóstej rano zaspana gromadka ustawiła się do odprawy. Strażnik wszedł, przeliczył ich i wyszedł.

No i po co było się zrywać?

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Natychmiast po apelu rozpoczęło się sprzątanie celi.

Aleks był pod wrażeniem. Jeden z chłopaków, chudy młodzian ogolony na łyso, o wyglądzie zagorzałego kibica którejs z drużyn piłkarskiej ekstraklasy, błyskawicznie zabrał się do mycia i wycierania wszystkiego, co się da. Kibel za zasłonką został dokładnie wyczyszczony i sparzony gorącą wodą. Widać było, że chłopak robi to codziennie, bo sprawność, z jaką poruszał się po maciupeńskiej przestrzeni sanitariatu oddzielonego zasłonką, była naprawdę imponująca.

Aleks zrozumiał, skąd wzięło się wrażenie czystości i porządku, które przywitało go na wejściu. Pojął, że podświadoma, przesadna wręcz dbałość o higienę to walka o życie.

Brud dla sześciu facetów na dziesięciu metrach kwadratowych jest groźniejszy niż prokurator.

W tym samym czasie drugi z młodszych osadzonych przygotowywał produkty do śniadania. I w tym przypadku Aleks był zdumiony ilością wiktuałów będących do dyspozycji ludzi odbywających przecież karę więzienia, a nie wypoczywających na wczasach. Więzienna kantyna była jak widać całkiem nieźle zaopatrzona. Ciastka, owoce... sanatorium, psiamać, pomyślał.

– Kawy? – usłyszał pytanie. Odwrócił głowę. To był jego wczorajszy opiekun i tłumacz w jednej osobie. Inteligent.

– Tak. Dzięki – odparł lekko zażenowany.



– Przyglądaj się – kontynuował tamten, skinąwszy głową w stronę sprzątającego, który właśnie zapamiętałe wycierał podłogę całej celi moką szmatą. – Nowo przybyły zawsze przejmuje kibel. – Wsypał po łyżeczce rozpuszczalnej nescafé do dwóch kubków i zalał wrzątkiem z czajnika. – Teraz ciebie to czeka. Od jutra zaczynasz, on cię wszystkiego nauczy. – Znow wskazał chłopaka, który w ogóle nie zwracał na nich uwagi.

Aleks wziął do ręki kubek z gorącym napojem. Wdychał jego aromat, jakby to było najprzedniejsze kubańskie cygaro.

Nie sądził, że zwykły zapach kawy sprawi mu taką przyjemność.

– Mycie kibla jest jak rytuał, przyzwyczaisz się – pocieszył go Inteligent.

Mam nadzieję, że nie będę musiał, pomyślał Aleks.



Po śniadaniu złożonym z przydziałowego chleba, sera i kiełbasy oraz zupełnie nieprzydziałowych płatków kukurydzianych, frankfurterek i wafelków śmietankowo - czekoladowych na deser przyszedł czas na spacer.

Tutaj Aleksa spotkało nie lada rozczarowanie.

Więzienny spacerniak w niczym nie przypominał przestronnego boiska do koszykówki rodem z hollywoodzkich produkcji ukazujących życie Alcatraz czy Shawshank, będących scenerią pasjonujących przeżyć amantów w stylu Roberta Redforda.

Tu można było zagrać najwyżej w ping-ponga, a i na to pewnie nie starczyłoby miejsca.

Coś w rodzaju wyasfaltowanego tarasu umieszczone było na piętrze, otoczone ze wszystkich stron murem i zamknięte

od góry siatką. Spacerując, widziało się więc tylko ściany i skrawek nieba.

Skrawek nieba. Zawsze coś.

Aleks nie miał ochoty na spacerowanie, więc od razu usiadł na ławce pod jedną ze ścian. Obserwował towarzyszy niedoli chodzących gęsiego dookoła placu, wolnym, równym krokiem.

Nie mógł się wyzbyć natrętnego skojarzenia ze zwierzętami w zoo.

Zauważył zbliżającego się do ławki swojego nowego przyjaciela, który chyba za punkt honoru postawił sobie wprowadzenie nowicjusza w więzienną codzienność.

A może to też część rytuału?

– Nie spacerujesz? – zagadnął Inteligent, siadając obok Aleksa.

– Jakoś nie mam ochoty.

– Trzeba się ruszać. Jak się dłużej siedzi, to ważne. Nie ma specjalnie dużo okazji, żeby mięśnie popracowały.

– Ja jeszcze chyba za krótko tu jestem. – Aleks chciał powiedzieć, że wcale nie ma zamiaru tu zostawać.

– Andrzej. – Wreszcie padło jakieś imię. Do tej pory grupa była anonimowa. Widać tutaj ludzie nie zaczynają znajomości od przedstawiania się.

– Aleks.

Obaj w milczeniu obserwowali krążących po klatce ludzi.

– Jak się tu znalazłeś? – Aleks stwierdził, że pora wyrazić choćby grzecznościowe zainteresowanie człowiekiem, który jako jedyny wyciągnął do niego rękę w tym okropnym miejscu.

Myślał, że popełnił nietakt, zadając tak bezpośrednie pytanie, bo Andrzej milczał przez dłuższą chwilę.

- Jestem architektem – odpowiedział wreszcie.
  - Architektem? – zdziwił się Aleks.
  - Śmieszne, co?
  - Nie, no... dziwne.
  - Korupcja – wyjaśnił Andrzej. – Duże centrum handlowe, przetarg na generalnego wykonawcę... łapówka...
  - Ile? – wyrwało się Aleksowi.
  - Milion.
  - Jezu, wzięłeś?!
  - A co, ty byś nie wzięł? – Andrzej uśmiechnął się kwaśno. – Przyszli i powiedzieli, że jeśli wybiorę odpowiednią firmę, to zarobię. Najśmieszniejsze jest to, że ja i bez forsy wybrałbym ten projekt. – Widać było, że upłynęło już wystarczająco dużo czasu, żeby Andrzej nabrał dystansu do sprawy. – No i wybrałem... parę dni później przynieśli forszę. Milion. Gotówka. W walizce, jak na gangsterskim filmie. Tylko że zaraz potem wyjęli legitymacje CBA i przestałem być milionerem. A ty kim jesteś z zawodu? – zainteresował się.
  - Lekarzem.
  - Ha, ha, też nieźle. – Śmiech był szczery.
  - Andrzeju – Aleks postanowił wyjaśnić zagadkę, która dręczyła go od wczoraj – powiedz mi... co to znaczy... „głowa”?
- Architekt spoważniał.
- Trup. Musiałeś nieźle narozrabiać, chłopie.
- Aleks uświadomił sobie, że w przestępczym światku jest kimś.
- Rozległ się gwizdek. Koniec spaceru.



Po powrocie do celi usiadł przy stole i zaczął przeglądać numer „Aut Świata” sprzed dwóch miesięcy. Gapił się przez kilka dobrych minut na nową lancję deltę, ale tak naprawdę wcale nie interesowały go niespotykane osiągnięcia włoskich designerów.

Znów wróciły obawy. Wróciły pytania.

Co robi Bieda? Czy ktoś mu pomoże?

Kiedy to się skończy?

I strach. Strach, że tu zostanie.

I wtedy otworzyły się drzwi.

– Wendt!

Aleks już czekał na rytualne: „syn?”, by odpowiedzieć: „Stanisława!”, ale pod bujnym wąsem strażnika pojawił się uśmiech.

– Pakuj się. Idziesz do domu.

## Rozdział 23

– Proszę siadać, panie doktorze. Kawy?

Silski wskazał gościowi miejsce naprzeciwko siebie, na którym zwykle siadali podejrzeni.

– Nie, dziękuję, już piłem – odparł Pawlak.

– Pozwoli pan, że sobie zaparzę, nie miałem dzisiaj czasu... – Silski starał się rozładować nieco napięcie.

Facet był zdenerwowany, a to mogło oznaczać praktycznie wszystko. Jeżeli chce z niego wyciągnąć coś więcej niż policja w czasie śledztwa, musi działać delikatnie.

Wsypał dwie łyżeczki neski do służbowej filiżanki, zalał wrzątkiem i usiadł za biurkiem. Otworzył teczkę z aktami sprawy i zaczął powoli przeglądać zeznania lekarza, zaprotokołowane podczas wstępnego przesłuchania. Jednocześnie ukradkiem obserwował Pawlaka. Nie chciał tak od razu zadawać mu pytań, czekał, aż gość straci cierpliwość.

I się doczekał.

– Chciał pan mnie przesłuchać – odezwał się Pawlak – ale doprawdy nie wiem, w jakim celu. Powiedziałem już wszystko policjantom w komendzie... i to ze dwa razy musiałem powtarzać...

Ten facet zdecydowanie się Silskiemu nie podobał. Była w nim jakaś śliskość i cwaniakowatość, z całych sił starał się zachować spokój, ale na jego czole perliły się krople potu.

Nawet prokurator żywi niechęć do kapusiów, choć kto jak kto, ale on, który w swojej codziennej pracy tak często wykorzystuje wiedzę tak zwanych informatorów, powinien najbardziej ich szanować. Ale niechęć to ludzkie odczucie. Nie prokuratorskie.

Starał się oczywiście zachować obiektywizm, jak nakażywało dobro śledztwa i zdrowy rozsądek, ale przecież nawet Sąd Najwyższy ma swoje sympatie i antypatie.

– „Przesłuchać”, to za dużo powiedziane – odparł Silski, podnosząc wzrok znad papierów. – Mamy już pańskie zeznania i nie zamierzamy ich podważać, ale proszę mnie zrozumieć, na dzień dzisiejszy jest pan naszym jedynym świadkiem. Póki nie mamy wyników sekcji i analiz chemicznych, całe oskarżenie opiera się tylko na pańskim słowie. Z jednej strony spoczywa na panu ogromna odpowiedzialność, ale z drugiej my podejmujemy ogromne ryzyko.

Po słowie „odpowiedzialność” specjalnie zrobił krótką pauzę, chcąc zaobserwować reakcję świadka.

Na twarzy Pawlaka nie drgnął nawet jeden mięsień. Tylko oczy zdradzały zaniepokojenie.

Boże, czy ten facet nie ma sumienia? – przemknęło prokuratorowi przez myśl. Przecież oskarża kolegę z pracy o morderstwo. Twardy zawodnik. Albo zwykła menda.

– Co pan przez to rozumie? – spytał chłodno Pawlak.

– No cóż, chciałem powiedzieć, że jeżeli ma się tylko jednego świadka i jedno zeznanie, każdy błąd, każde przeoczenie może się skończyć kompromitacją oskarżenia, a więc

kompromitacją prokuratury.

– Czy pan coś sugeruje? – W głosie Pawlaka pojawił się cień wątpliwości. A może strachu?

Może to jest jakaś wskazówka? A może tak się tylko .Silskiemu wydawało?

– Nie, niczego nie sugeruję – odparł pojednawczo.

Sympatyczny czy nie, ten człowiek to jego jedyny partner w tej sprawie, przynajmniej na razie, i zdecydowanie lepiej mieć go po swojej stronie.

– Chciałem tylko z panem porozmawiać – kontynuował przyjaźnie – potwierdzić kilka szczegółów, zapoznać się może nie tylko z faktami, ale także z pańskimi odczuciami i opinią.

Zawiesił głos, czekając, co Pawlak powie.

– Jest mi przykro, że sprawa dotyczy mojego kolegi – odrzekł lekarz, a Silski o mało nie parsknął śmiechem. Pawlak może nawet się starał, żeby zdanie zabrzmiało w miarę przekonująco, ale przypominało to raczej żal hiszpańskiego inkwizytora, że musiał spalić kogoś na stosie. – Lubię i cenię doktora Wendta, ale jako lekarz... i jako człowiek...

Chyba nawet minister Wcisło nie wytrzymałby, słuchając tej obłudy.

– Tak, rozumiem – przerwał mu Silski, bo już wiedział, że pytanie o opinie i odczucia zaprowadzi go donikąd. Albo facet jest cyniczny, albo coś ukrywa.

A może jedno i drugie? Cholera wie. Trudno, trzeba wrócić do faktów.

– Proszę się zastanowić raz jeszcze – zaczął z innej beczki – czy na pewno był pan jedyną osobą, która mogła widzieć to... zdarzenie?

– To znaczy?

Znów cię zdenerwowania?

– Pytam, czy ktoś jeszcze, może przechodząc, mógł widzieć doktora Wendta wstrzykującego... Może jakiś pacjent, pielęgniarka?

Pielęgniarka mająca wtedy dyżur, Anna Stec, została co prawda przesłuchana, ale twierdziła, że po zajrzeniu do wszystkich chorych poszła się zdrzemnąć. Jednak uwagi Silskiego nie uszło, że gdy siedziała u niego w gabinecie, była bardzo zdenerwowana i chyba nie do końca szczerza. Zapytał więc jeszcze raz:

– A siostra Anna Stec?

– Nie, mówiłem już przecież kilka razy, że spała. – Głos Pawłaka był twardy i zdecydowany. Zbyt twardy i zbyt zdecydowany. Jakby ją krył, pomyślał Silski. Ciekawe...

– Pytam, bo przecież zeznał pan, że w chwili gdy zajrzał pan do sali, chory... to znaczy ofiara... najprawdopodobniej już nie żyła. I że doktor Wendt był w sali. – Silski próbował znaleźć rysę na gładkiej powierzchni zeznania.

Może policjanci coś przeoczyli?

Drażył temat, przekonując sam siebie, że robi to dla dobra śledztwa.

Z drugiej strony przecież to nie jest świadek obrony. Cholera, to jego świadek! Koleś zeznał, co miał zeznać, sprawa jest jasna. Czego tu się czepiać?

„Musimy uzyskać wyrok skazujący”, zabrzmiały mu w uszach słowa ministra.

A to, co teraz robi, nie jest prostą drogą do uzyskania takiego wyroku.

Ale też wyjątkowo krętą drogą do poznania prawdy.



Lub sposobem awansowania do Prokuratury Rejonowej gminy Pierdziszewo Górne.

– Tak, w chwili gdy zjrzałem do sali, to już był... koniec.

– Teoretycznie – próbował Silski wytrwale. – Jest więc możliwe, że ktoś wcześniej widział choćby przez chwilę całą sytuację.

– Raczej nie. Zobaczyłbym to, idąc korytarzem. Nie zdążyłby uciec. Zresztą chyba przesłuchano strażnika na dole. Wiedzieliby, gdyby ktoś obcy wchodził o tak późnej porze do szpitala.

Facet dobrze się przygotował. Albo po prostu mówi prawdę. Nawet niesympatycznym koleśiom czasem się to zdarza.

– Poza tym – ciągnął lekarz – chyba nie wyobraża pan sobie, że ktoś, na przykład siostra Stec, patrzyłby na to wszystko i nie zareagował.

– Mam co do tego wątpliwości. – Silski podjął grę, ciekawki, do czego doprowadzi.

– Jak to? – Pawlak jakby nie zrozumiał.

Był tak pewny siebie, że nie przewidywał dyskusji na temat swoich teorii.

– Co do ewentualnej reakcji. – Prokurator postanowił brnąć dalej w tę abstrakcyjną przepychankę. – Przecież pan również nie zareagował.

– A co miałem zrobić? Wchodzę, widzę, że w sali jest doktor Wentd, a chory nie żyje. – Pawlak poczerwieniał jak burak.

– Spokojnie, panie doktorze, absolutnie nie mam zamiaru pana oskarżać. – No proszę, zadziałało.

– Co, miałem się na niego rzucić? – Pawlak zorientował

się nagle, że jest wciągany w pułapkę. Uspokoił się. – Najlepszym dowodem na to, że zareagowałem, szanowny panie prokuratorze, jest fakt, że rozmawiamy. Podzieliłem się po prostu moimi wątpliwościami. Chory był co prawda w ciężkim stanie, nie chciał rurki, ale nic nie wskazywało na to, że umrze tak nagle... – tłumaczył zniecierpliwiony. – Boże, przecież już to mówiłem!

Prokurator rozumiał, że ze złapania ptaszka nici.

– I mam nadzieję – Pawlak spojrział na niego triumfująco – że zrobi pan z tego właściwy użytek.

– Proszę się nie obawiać – odparł Silski spokojnie – zrobię.

Czuł, że przegrał bitwę, ale nie wojnę.

Coś tu nie gra. Tylko jeszcze nie wiedział co.



Na korytarzu oddziału męskiego panowało przedpołudniowe zamieszanie.

Pawlak szedł do dyżurki, odpowiadając zdawkowymi skienieniami głowy na pozdrowienia mijanych pacjentów.

Poranna wizyta w prokuraturze zmieniła jego plan zajęć, i zapowiadało się, niestety, nadrabianie zaległości. Miał mnóstwo papierkowej roboty, która czekała po odprawie. Był jednak zadowolony.

Obawiał się konfrontacji z tym prokuratorem. Nie przypadli sobie do gustu, a facet nawet nie próbował tego ukryć. Widać było, że nie będzie jego sojusznikiem w decydującej rozgrywce, co było o tyle dziwne, że tak naprawdę grają w jednej drużynie. Obaj mają interes w tym, by Wendt nie uniknął kary.

Trzeba po prostu na tego Silskiego uważać.

W sumie jednak nie miał powodu do narzekań. Cel został osiągnięty i tylko to się liczy.

W pracy też wszyscy nabrali wody w usta. Spodziewał się zażartych dyskusji, koleżeńskich sporów lub choćby jakichś komentarzy.

A tu nic. Cisza.

Malak na odprawie poinformował wszystkich: „Doktor Wendt przebywa na bezpłatnym urlopie”.

I tyle. Ani słowa o powodach. Ani słowa do kiedy.

Nikt o nic nie zapytał.

A przecież wszyscy wiedzieli.

To typowe dla lekarskiego światka. Nie wychylać się. I nawzajem kryć.

Dzisiaj jednak wszystko działało na jego korzyść. To on, doktor Włodzimierz Pawlak, rozdaje karty.



– Doktorze Pawlak!

Przed drzwiami dyżurki pielęgniarek stała Anka Stec.

Boże, czego ona znowu chce? – pomyślał wkurzony.

Wiedział, że musi być dla niej miły, nie może pozwolić, żeby ta kretynka zniweczyła cały jego wysiłek. Dlatego postanowił, że będzie ją krył, że nie zdradzi, iż miała jakikolwiek związek z całą sprawą. Poza tym miał nadzieję na inne korzyści... może w przyszłości. Anka jest co prawda głupia, ale ładna. Lepiej jej nie zrażać.

– No co tam, pani Aniu? – rzucił, a ona zrobiła taką minę, jakby jego widok ją ucieszył.

– Przepraszam, panie doktorze, że przeszkadzam... – zaczęła.

- Nie ma sprawy.
- Nikt nic nie mówi... no, wie pan... w związku z doktorem Wendtem...

Nikt nic nie mówi, bo nikt nie chce ryzykować kariery i ciepłej posadki.

– Pan podobno był... no, na policji... – ciągnęła. – Proszę powiedzieć, czy naprawdę nic mu się nie stanie? A tak w ogóle, to kto zawiadomił policję? Powiedziałam o tym tylko panu... – Urwała zawstydzona, że Pawlak dowiedział się o jej podejrzeniach, bo chciała zwyczajnie zemścić się na Aleksie. A teraz tego żałowała.

– Kto zawiadomił? Nie wiem... Może córka Szymańskiego miała jakieś wątpliwości – odrzekł spokojnie, choć pomyślał: kurwa mać, ta mała za dużo kombinuje. – Pani Aniu, zapewniam panią, że robię, co w mojej mocy. Doktor Wendt jest moim kolegą i staram się mu pomóc, jak się da. Przekonuję policję, że jest niewinny, ale powiem pani w zaufaniu, że analizy chemiczne nie wyglądają zbyt ciekawie – zablefował.

– Boże, tak się martwię, że to przeze mnie. – W niebieskich oczach pielęgniarki pojawiły się łzy.

No, jeszcze mi ten cyrk na środku korytarza potrzebny. Pawlak był coraz bardziej zirytowany.

– Co też pani wygaduje, pani Aniu! – powiedział pospiesznie. – Przecież wiadomo, że nikt źle nie życzy doktorowi Wendtowi, a szczególnie pani. Proszę się nie denerwować i mi zaufać. Naprawdę, wziąłem sprawy w swoje ręce, słowo. – Podniósł dwa palce jak harcerz. Marzył, by dziewczyna wreszcie się od niego odczepiła.

Ona jednak jeszcze nie skończyła.

– Doktorze – powiedziała stanowczo, ocierając łzę –

jedno jest pewne... ja ani słowa nie powiem przeciwko doktorowi Wendtowi... choćby nie wiadomo kto mnie pytał. Nie zeznam w życiu, że coś widziałam. Może pan być mnie pewny.

– Wiem, pani Aniu, zawsze wiedziałem. Jeżeli ktokolwiek panią zapyta, najlepiej powiedzieć, że pani spała i niczego nie widziała.

– No właśnie tak powiedziałam – zapewniła skwapliwie.

– A mnie proszę pozostawić resztę – dorzucił uspokajająco. – No, muszę lecieć. Docent na mnie czeka.

Nikt na niego nie czekał, ale miał dość tej farsy. Anka odwróciła się i wycofała do dyżurki. Włodek odetchnął z ulgą. To się nazywa pełna kontrola, pomyślał z satysfakcją.

## Rozdział 24

Wolność.

Boże, co za uczucie!

Aleks wyszedł na zalane słońcem podwórze. To było co prawda wciąż podwórze aresztu śledczego, ale to było też podwórze zaledwie pięćdziesiąt metrów od wolności.

Szedł powoli, wciąż jeszcze prowadzony przez strażnika i bez sznurowadeł, które pospiesznie schował do kieszeni, nie chcąc przebywać w tym miejscu ani sekundy dłużej, ale szedł w kierunku świata za murem i tylko to było ważne.

Kręciło mu się w głowie.

Szok tlenowy? Niemożliwe, przecież nie spędził tu lat i dopiero co wrócił ze spaceru.

Nie, to coś innego. Uczucie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Chciało mu się jednocześnie śmiać i płakać, czuł się zarazem silny i bezbronny, cieszył się jak dziecko i przeżywała go własna kruchość i wrażliwość.

Rozumiał już pacjentów, którzy nagle dowiadawali się, że są ciężko chorzy.

Ale rozumiał również tych, którzy doznali łaski wyleczenia.

Tak naprawdę jednak to wcale nie koniec jego problemów, a dopiero początek. Zwolnienie jest warunkowe, a proces i wyrok nieuniknione.

Ale teraz to nieważne. Chciał tylko jak najszybciej pokonać tych kilkadziesiąt metrów i być już po tamtej stronie, w tamtym świecie.

Portiernia. Jeszcze jedna kontrola. Znów dokumenty.

Cholera, dlaczego to tak długo trwa?

Wreszcie gruby strażnik i portier w jednej osobie, wyposażony w pęk kluczy, wolno podreptał w stronę masywnej bramy.

– Panie Wendt, ma pan szczoteczkę? – Pytanie było tak zaskakujące, że Aleks wybałuszył oczy.

– Jaką szczoteczkę?

– Do zębów. A, prawda, pan pierwszy raz. – Strażnik spojrział w papiery, upewniając się, że ma do czynienia z nowicjuszem w więziennej branży. – To taki zwyczaj. – Święty Piotr w czyścicowej wersji się uśmiechnął. – Trzeba złamać szczoteczkę do zębów, którą się tu dostało, i rzucić za siebie przez lewe ramię – tłumaczył, otwierając kolejne zasuwki. – Wtedy się nie wróci.

Wreszcie ostatni klucz przekręcił się w ogromnym zamku.

– Za tymi drzwiami jest pan wolnym człowiekiem, panie Wendt – oznajmił strażnik poważnie. – I życzę panu, żeby pan nim pozostał.

To nie były życzenia. To była przestroga.

Aleks wyszedł na ulicę.

Zdenerwowanie i zniecierpliwienie natychmiast zniknęły jak zły sen po otwarciu oczu.

Odetchnął głęboko. Był wolny.

Rozejrzał się i natychmiast dostrzegł osobę, którą tak bardzo pragnął zobaczyć.

Ojciec.

Stał po drugiej stronie wąskiej uliczki, w cieniu drzewa. Aleks przeszedł przez jezdnię i bez słowa padł sobie w ramiona.

Przez długą chwilę żaden nic nie mówił.

– Poczekaj, tato. – Aleks sięgnął do kieszeni i wyjął szczoteczkę do zębów.

Złamał ją i rzucił za siebie.

– Co robisz? – zdziwił się ojciec.

– Nic, nic... nieważne. Chodźmy.

Aleks nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Miał ściśnięte gardło. Chciało mu się płakać. Bo choć cieszył się z obecności ojca, w głębi duszy spodziewał się zobaczyć Monikę.



Siedzieli w kuchni na Mokotowie i pili kawę.

Aleks nie chciał tak od razu wracać do domu. Z jednej strony nie miał ochoty na żadne rozmowy, ale z drugiej czuł strach przed samotnością.

Bał się, że kiedy zostanie sam i kiedy obawy dotyczące nieuchronności czekającej go kary odsunie na chwilę na dalszy plan, nic już nie obroni go przed koniecznością stanięcia oko w oko...

Z kim? Z duchem?

Z Szymańskim?

Czy z samym sobą?

Więcej milczeli, niż rozmawiali przy tej kawie.

Ojciec o nic nie pytał: ani o areszt, ani o to, dlaczego syn się tam znalazł. Znał oficjalną wersję, ale wiedział, że Aleks ma zupełnie inną opowieść.

Może kierowała nim delikatność, a może raczej strach



przed tym, co mógłby usłyszeć?

Aleks nie palił się do zwierzeń, kawa wystygła, zegar tykał głośno, a oni wymieniali zdawkowe uwagi.

– Tato, skąd wzięłeś tę forszę? – zapytał wreszcie Aleks.

– Nie doceniasz swojego starego ojca. – Senior uśmiechnął się lekko.

– Taak, widać, że z ciebie nadziany facet.

– Miałem trochę oszczędności, część jeszcze z czasu, gdy mama żyła. Zostawiałem je na tak zwaną czarną godzinę... a jako że, prawdę mówiąc, czarniejszej nie potrafię już sobie wyobrazić, to cieszę się, że się przydały.

– Dzięki. – Aleks nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

– Z drugiej strony sam nie dałbym rady. Masz przyjaciół, synu. I to jest z pewnością jedyna pozytywna strona całej tej sprawy.

– Nie wiedziałem, że w ogóle takie są.

– Nie bądź cyniczny. Wiem, że to trudne w takim momencie, ale właśnie to, że są bliscy ludzie na tym świecie, powinno podtrzymywać cię na duchu... Szczerze powiem, że do tej pory nie przepadałem specjalnie za tym Sawickim... Jakiś taki głośny... namolny... I te jego poglądy polityczne... Ale trzeba przyznać, że chłop dwoił się i troił, żeby zebrać parę groszy po ludziach. Nie wiem, czy po ludziach ze szpitala, bo tego nie chciał mi powiedzieć, ale podejrzewam, że tam też ktoś o tobie myśli.

– Wojtek? Kurczę, nie spodziewałem się...

– No jak to, przecież zawsze mówiłeś o nim jako o przyjacielu.

– Różne rzeczy mówiłem.

– I dobrze, że mówiłeś, Aleks, to się sprawdza. Powtarzam ci, są ludzie, na których możesz liczyć.

- Są też tacy, którzy na mnie donieśli – zauważył gorzko. Znów zapadła cisza.
- Nie wiem, co powiedzieć. – Ojciec wzruszył bezradnie ramionami.
- A co tu jest do powiedzenia? Nie chcę zresztą nikogo oceniać, to i tak niczego nie zmieni.
- Dobrze, że chociaż to rozumiesz. Dolać ci kawy?
- Nie, dzięki.
- Aleks...
- No?
- Był jeszcze ktoś.
- Słucham?
- Mówię, że był jeszcze ktoś. Wczoraj, gdy zbierałem pieniądze... Cholera, nie wiem, czy to dobry moment, żeby o tym gadać. – Ojciec był zmieszany.
- Skoro już zacząłeś...
- Na pewno nie chcesz odpocząć? Może powinno minąć parę dni?
- Raczej parę lat. Uwierz mi, czas nic tu nie zmieni. Chyba że na gorsze. Mów śmiało, nie jestem dzieckiem.
- Była tutaj ta dziewczyna.
- Ojciec miał rację. Jest zdecydowanie za wcześnie.
- Aleks tyle razy wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy się zobaczą, nie wiedział, co jej powie. Podświadomie widział ich razem, już na zawsze. Przecież zrobił to też dla niej, żeby jej ulżyć. Pomógł jej, jej ojcu... Miał zamęt w głowie.
- Tak, ona. – Wendt zauważył, że syn zbladł. – Może położysz się na chwilę? Źle wyglądasz.
- Nie, jest dobrze, to ten ośrodek spa tak mnie wykończył – próbował zażartować Aleks. – A więc była tu?

– Tak.

– Skąd wiesz, że to ona? Przecież jej nie znasz, nie opowiadałem ci o niej.

Aleks siedział ze wzrokiem wbitym w blat stołu, jakby wstydział się spojrzeć ojcu w oczy. Jakby nie chciał się przyznać, że poniósł porażkę.

– Nie jestem taki głupi, potrafię się domyślić, wiesz przecież...

– Wiem – odparł cicho Aleks.

– Powiedziała, że byliście blisko... bardzo blisko. Od razu zorientowałem się, kim jest. Wiedziałem, że kogoś masz. To zresztą dobrze...

– No nie wiem, czy tak znowu dobrze.

– Przyniosła pieniądze. Nie chciałem wziąć. Nalegała...

– A skąd ona wiedziała, gdzie cię znaleźć?

– To nie tajemnica, nie pracuję w CIA. Ale nie pytałem, byłem zaskoczony. W końcu wziąłem od niej dwadzieścia tysięcy. Bardzo nalegała, chciała dać całą kwotę, ale wziąłem tylko tyle, ile brakowało, bo już nie miałem od kogo pożyczyć. Gdyby nie to... nie wyszedłbyś dzisiaj. Masz do mnie żal?

– Nie, dlaczego? Dobrze zrobiłeś.

A jednak mu pomogła. Była przy nim... choć daleko. W innym świecie. Dziwnie obca. To minie. Potrzeba czasu.

– Gdzie teraz jest? Mówiła coś? – zapytał z nadzieją.

– Tak. – Głos ojca był tak poważny, że musiał zwiastować złe nowiny. – Wczoraj poleciała do Nowego Jorku. Prosto stąd jechała na lotnisko. Powiedziała, że... musi... że... zrozumiesz...

– Rozumiem.

Jedyne, co rozumiał, to że świat się skończył.

## Rozdział 25

W domu nie było aż tak źle.

Najtrudniejsza była pierwsza noc. Nie dość, że pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć prawie do świtu, to gdy wreszcie mu się to udało, budził się co chwila zlany zimnym potem. Znów, podobnie jak w areszcie, sen mieszał się z jawą. Jak na dziwacznej defiladzie przesuwały się w jego głowie coraz to nowe postacie i odrealnione obrazy.

Więzienny strażnik...

Szymański...

Ojciec...

Monika...

To minie, pocieszał się, za każdym razem wstając i prze-  
mywając twarz zimną wodą. Normalne odreagowanie stre-  
sowej sytuacji. Wie o tym każdy psychiatra. Nie ma się czym  
przyjmować.

Ale nie mógł przestać myśleć o Monice.

Nie wiedział, co do niej czuje.

Nie miał pretensji, że wyjechała. Sam by jej doradzał taki  
krok. Tutaj mogła tylko zaszkodzić.

Sobie. I jemu.

Bieda uprzedzał, że policja może go obserwować.

Tak, dobrze, że wyjechała. To było najrozsądniejsze, co mogła zrobić. Ale tak szybko? Bez pożegnania?

Tak naprawdę miał nadzieję, że zostanie, że będzie przy nim trwała.

Boże, dlaczego jej tu nie ma?!

Miał niejasne przeczucie, choć z całych sił je od siebie odsuwał, że okazał się naiwnym głupkiem.



Rano był bardziej zmęczony, niż kiedy kładł się spać. Głowa mu pękała.

Nie musiał iść do pracy. Jak wynikało z relacji Sawickiego przedstawionej ojcu, jest na urlopie, bezpłatnym i bezterminowym.



Pukanie do drzwi zaskoczyło go i przywołało złe skojarzenia. Przesunął zasuwę zanika i otworzył.

– Pan Aleks Wendt? Przepraszam za najście, ale mam ważne informacje dotyczące pańskiej sprawy.

Przed drzwiami stał elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku. Szpakowate włosy, okulary w drogich oprawkach, letnia, doskonale skrojona marynarka i stonowany krawat tworzyły filmowy obraz faceta z klasą.

– Można? – Nieznajomy wciąż stał na klatce schodowej, czekając na zaproszenie.

– Tak, proszę. – Aleks machnął zapraszająco ręką i otworzył szerzej drzwi.

Mężczyzna wszedł do salonu.

- Niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś?
- Gość usiadł w ulubionym fotelu Aleksa i odrzekł:
- Byłbym wdzięczny za kawę.
- Bezczelny typek, pomyślał Aleks, idąc do kuchni.
- Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? – zapytał, kładąc nacisk na słowo „niespodziewana”, gdy stawił na stoliku dwie filiżanki.
- Proszę mi wybaczyć, powinienem wcześniej zadzwonić, ale nie odbierał pan telefonów, a poza tym... mógłbym zostać źle zrozumiany. Nazywam się Rafał Werner. Oto moja wizytówka.

Aleks wziął do ręki biały kartonik.

Na górze, pośrodku, widniało logo, które było tak charakterystyczne, że nie rozpoznać go w tym kraju mogli chyba tylko niewidomi: obiektyw wpisany w oko. A pod nim napis:

*Tygodnik „Kulisy”*  
*Rafał Werner*  
*redaktor naczelny*

Oczywiście. Aleks zdał sobie sprawę, że ten człowiek od razu wydał mu się znajomy. Może dlatego wpuścił go do mieszkania?

„Kulisy” od kilku lat zajmowały pierwsze miejsce w rankingach jako najbardziej opiniotwórcze czasopismo.

Oceniały, dementowały, odkrywały, kreowały, potwierdzały, zaprzeczały, wynosiły na piedestał i rozrywały na strzępy, w zależności od politycznego klimatu. Politycy mawiali: „Jeżeli nie piszą o tobie w »Kulisach«, to znaczy, że nie istnieje”.

Redaktor Rafał Werner był powszechnie uważany za twórcę tego spektakularnego sukcesu.

To on sprawił, że tygodnik oparł się najpierw konkurencji wielkich międzynarodowych potentatów wydawniczych, opanowujących metodycznie krajowy rynek, a później podbił serca czytelników bardziej niż wszystkie rywalizujące z nim tytuły razem wzięte. Pod rządami tego błyskotliwego dziennikarza i sprawnego, bezkompromisowego menedżera średnio poczytna gazeta stała się medialnym koncernem i jednym z głównych graczy na politycznej arenie.

Sam Werner był popularnym komentatorem, który jednak stronił od wystąpień w mediach i zabierał głos tylko przy okazji najważniejszych wydarzeń, co zdecydowanie podnosiło rangę i atrakcyjność jego wypowiedzi.

Aleks uznał, że ten człowiek zdecydowanie nie budzi zaufania.

– No to teraz już tym bardziej musi się pan wytłumaczyć – rzucił lodowato. – Co to za ważne informacje? Skąd pochodzą?

– Spokojnie, doktorze. – Facet był beczelnie wyluzowany. – Informacji na temat dochodzenia w pańskiej sprawie mam więcej niż pan i mecenas Bieda razem wzięci.

– Zna pan Daniela? – zdziwił się Aleks. Czyżby adwokat zdradził komuś szczegóły sprawy?

– Nie osobiście, ale...

– Ale co?

– ...ale mamy swoich informatorów. Niech pan nie będzie naiwny, doktorze. Nie myśli pan chyba, że dziennikarz największego polskiego tygodnika publicystycznego musi oglądać wieczorne wiadomości, żeby się dowiedzieć, co słychać. Rozmawiamy nieoficjalnie... nigdy pan tego nie słyszał, ale... ja znam każdy szczegół tego śledztwa. I to, proszę mi wierzyć, z pierwszej ręki.

- Policja? – spytał z niedowierzaniem Aleks.
- Pan to powiedział. Ja, mówiąc językiem branżowym, nie potwierdzam i nie zaprzeczam.
- Przekupne dranie!
- Cóż, nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni!
- I co, przyszedł mi pan powiedzieć, że jest pan dobrze poinformowany?
- Doktorze Wendt, jestem po pańskiej stronie – zapewnił Werner. – Niech więc może przez chwilę pohamuje pan nieodpartą chęć wyrzucenia mnie i posłucha, co mam do powiedzenia. Dobrze?
- Pod warunkiem że zacznie pan od wyjaśnienia, dlaczego tak wybitny dziennikarz jak pan interesuje się losem kogoś takiego jak ja.
- Ma pan może Internet? – Dziennikarz wskazał stojący na biurku laptop.
- Pewnie, że mam, ale zmienia pan temat. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.
- Wcale nie zmieniam tematu, wręcz przeciwnie. Proszę otworzyć dowolny portal informacyjny. To nam zaoszczędzi latania do kiosku. Zapewne nie miał pan w ostatnich dniach zbyt dużo czasu na czytanie gazet czy oglądanie telewizji. Proszę. – Jeszcze raz wskazał laptop.
- Wszystko jedno, jaki portal?
- Aleks włączył komputer i czekał, aż uruchomi się przeglądarka.
- Tak. Pierwszy z brzegu *news*.
- A widok pierwszego z brzegu *news*a sprawił, że Aleks prawie przestał oddychać.
- Są nowe doniesienia w sprawie domniemanego lekarza zabójcy.*



Zmienił portal.

Jeszcze gorzej: *Doktor Śmierć – prawda czy donos?*

Zamknął komputer.

No to po mnie, pomyślał.

– Prawdę mówiąc, już myślałem, że temat nie chwyci. – Werner nie zwrócił uwagi na reakcję swojego rozmówcy. – Stawiałem na niego od samego początku – ciągnął takim tonem, jakby omawiał ewentualne następstwa efektu cieplarnianego za kilkadziesiąt lat. – A tu nic, tak jakoś nie-mrawo się rozkręcało, zaledwie kilka lakonicznych komentarzy po pańskim zatrzymaniu. Wyglądało na to, że nikt się nie zainteresuje. Aż do wczorajszego popołudnia. Jeden polityk się wypowiedział, drugi mu odpowiedział, no i proszę, jest pan sławny. Popytałem tu i tam i okazało się, że śledztwem bardzo interesuje się sam minister sprawiedliwości. Była sprawa kryminalna, a jest polityczna. Ojca też musi pan uprzedzić, że zaraz zaczną do niego wydzwaniać różne redakcje.

– Tak, rozumiem. – Aleks otrząsnął się z odrętwienia.

– Jak pan widzi, doktorze, pańska sytuacja jest wyjątkowo trudna, bo wyrok już zapadł – mówił Werner. – Co prawda, sąd wyda go dopiero za jakiś czas, ale komu w epoce szybkiego Internetu chce się czekać na orzeczenie sądu? Nikt teraz nie umywa rąk, to nie jest trendy.

– Po co mi pan to wszystko mówi? Kopanie leżącego też należy do public relations? – spytał z sarkazmem Aleks.

– Przedstawiam tylko opis sytuacji, żeby ułatwić panu podjęcie decyzji.

– Jakiej decyzji?! – Aleks aż podskoczył w fotelu.

– Debata. – Dziennikarz wypowiedział to słowo, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. Czekał na reakcję Aleksa.

– O czym pan mówi?

Gość rozsiadł się wygodnie.

– Wyrok nie zapadł jednogłośnie. Zdania „przysięgłych” są podzielone. I to mniej więcej po równo. Proszę mi wierzyć, ja, w przeciwieństwie do pana, czytam gazety. Jest miejsce na debatę, czyli na to, co ludzie lubią najbardziej: na awanturę. Księża, lekarze, ateści, dewoci. Intelktualiści i prosty lud. Na pewno zaraz wyskoczą też partie polityczne. Różnica poglądów staje się ważniejsza niż to, czego dotyczą. – Werner spoważniał. – Temat się relatywizuje, nic już nie jest jednoznaczne, źli nie są tacy źli, dobrzy nie są tacy dobrzy. Musi pan zrozumieć, że my tak naprawdę nie żyjemy z tematów, tylko z różnic poglądów na te tematy. A eutanazja, obok aborcji, to najbardziej gorący temat.

– Nie, nie będę atrakcją wieczoru. Nie dam się w nic wmanewrować. Może to zrobiłem, może nie, i to moja sprawa dla czego. Wyłącznie moja. A poza tym skąd pan wie, że to była eutanazja, a nie zwykłe morderstwo? – prychnął Aleks.

– Bo mam swoich informatorów. Przecież mówiłem.

– Informatorów, którzy siedzą w mojej głowie?! – Aleks był wściekły, że ten goguś ładuje się z butami w jego życie i jego myśli. Sam jeszcze wszystkiego do końca nie przemyślał, a ten już wszystko wie. – Jaki informator może wiedzieć, co mną powodowało?! I czy w ogóle jestem winny? A może to wszystko to jakieś gigantyczne nieporozumienie, które wkrótce się wyjaśni? A jeśli to był zwykły donos? – Boże, jak on by chciał, żeby to był tylko donos! – A jeśli władował się pan na minę?

– Powiem brzydko: niech pan nie rżnie głupa. Jak już powiedziałem, sporo wiem. To pańska jedyna szansa – tłumaczył dziennikarz, jakby w ogóle nie interesowało go, co Aleks ma do powiedzenia we własnej sprawie. – Musi pan zrozumieć, że tylko na tym może pan wygrać. Im bardziej jedni będą pana atakowali, tym chętniej drudzy wezmą pana w obronę. To się będzie samo nakręcać, aż w końcu nie będzie można zrobić panu krzywdy, bo to byłoby tak, jakby w *Idolu* wyłączyć mikrofony.

– Boże, ale z pana cynik.

– Nie cynik, tylko wnikliwy obserwator. To podstawa mojego zawodu. Zresztą pańskiego również. Tak więc przyszedłem, żeby złożyć panu propozycję.

– Przecież powiedziałem panu...

– Nie może się pan ukrywać, doktorze – przerwał mu Werner. – Jest pan teraz osobą publiczną, czy się to panu podoba, czy nie. Musi się pan stać symbolem dla wszystkich, którzy walczą o liberalizację standardów naszego życia, o prawo do decydowania o własnym losie, prawo do aborcji, do eutanazji... Przykładem dla tych, którzy nie chcą, żeby wokół panoszył się średniowieczny inkwizycyjny katolicyzm. – Dziennikarz zrobił efektowną pauzę. – Nasz tygodnik jest na tyle silny, że może wykreować taki obraz i poprowadzić kampanię. Oczywiście nie sam. Za nami pójdą inni. To pewne.

– I to jest ta propozycja?

– Nie, propozycja będzie teraz. – Werner wiedział, jak dawkować napięcie. – A przyszedłem tu osobiście, bo żaden z naszych redaktorów nie jest upoważniony do prowadzenia negocjacji na takim poziomie.

– Na jakim... poziomie?

– Proponujemy panu milion złotych.  
– Słucham? Za co?  
– Za pańską spowiedź. Wywiad rzeka, cykl artykułów, powieść w odcinkach, niech pan to nazywa, jak chce, forma jest do uzgodnienia, to szczegół, ważna jest treść.

– Nie ma mowy. Sam se pan napisz, co pan chcesz, i tak nie mam na to wpływu! I idź pan do diabła!

– Panie doktorze, czy ja wyglądam na idiotę? – Ton Wenera był pobłażliwy, ale jednak ugodowy. – Myśli pan, że proponowałbym panu taką górę pieniędzy, gdybym, jak to pan ładnie ujął, mógł sobie „napisać, co chcę”? – Aleks milczał. – Pewnie, że mogę pisać, co mi się podoba, tylko, niestety, nie będzie to miało żadnej wartości. To będzie komentarz, opinia moja albo kogoś z moich podwładnych. Kogo to obchodzi? Nie, drogi panie, mnie jest potrzebna wiwisekcja. Opis wydarzeń krok po kroku, z pierwszej ręki, nie jakieś dziennikarskie wypociny. Chcę szczerych, intymnych zwierzeń.

– Nie. Nie zrobię tego. Po pierwsze, nie zamierzam robić z siebie pajaca, a po drugie, taka dyskusja niczego nie zmieni. Nie w tym kraju. Jeszcze długo nie. Zaręczam panu, że mnóstwo lekarzy ulitowało się nad śmiertelnie chorymi, tylko że nikt o tym nie wie. I oby nigdy się nie dowiedział! Jak już powiedziałem, może to zrobiłem, może nie, ale jeśli tak, miałem swoje powody.

Werner chyba i tym razem w ogóle nie słuchał Aleksa, bo powiedział podniecony:

– Właśnie dlatego musimy to zrobić wspólnie. Aleks miał dość.

– Proszę wyjść. Proszę natychmiast stąd wyjść!

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, po czym gość powoli wstał.

– Już wychodzę – ten człowiek nie był przyzwyczajony do odrzucania jego propozycji – ale proszę rozważyć moją ofertę. Jestem przekonany, że lepszej nikt panu nie złoży. Powiem więcej – nachylił się nad Alekssem – pan już nie dostanie żadnych ofert. – Odwrócił się i ruszył do drzwi. – Do zobaczenia, doktorze Wendt – rzucił, nie oglądając się za siebie.

Trzasnęły drzwi.

Aleks długo siedział w fotelu, próbując zebrać myśli.

## Rozdział 26

– Arturze, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Głos Leny Silskiej unosił się jak zwykle nad głowami maluczkich, spowijając słuchaczy koloraturową mgłą.

– Tak, mammo?

Matka zawsze musiała znajdować się w centrum zainteresowania, błyszczeć i budzić podziw. Nie wyobrażała sobie, jak można przyjść na przyjęcie punktualnie, o godzinie wskazanej w zaproszeniu.

„Elegancka kobieta musi mieć *entrée*”, mawiała.

W życiu miała zarówno wielkie *entrée*, jak i jeszcze większe *sortie*, bo kariera operowej śpiewaczki w powojennej Warszawie musiała obfitować w taką samą liczbę wzlotów co upadków.

Madame Silska, bez względu na czasy, była szykowna i elegancka.

Nawet niedzielne obiady, na które razem z Justyną zapraszali ją regularnie od śmierci ojca, czyli już prawie od siedmiu lat, były raczej okazją do prezentacji coraz bardziej ekstrawaganckich nakryć głowy, a nie rodzinnym spotkaniem.

Artur podziwiał Justynę za jej anielską wprost cierpliwość, bo utrzymywanie dobrych stosunków z taką teściową to była

prawdziwa towarzyska ekwilibrystyka. Justyna pochodziła z małego miasteczka na Podlasiu, z niezbyt zamożnej rodziny, i teoretycznie nie powinna mieć najmniejszych szans na zaskarbienie sobie uczuć teściowej.

A jednak Silska ubóstwiała synową: jej kuchnia była „wykwintna”, pomysły na aranżację ogrodu „jakże kreatywne”, a chłopców wychowywała z „heroicznym oddaniem”.

Stałym punktem programu niedzielnych obiadów było ciągłe strofowanie i pouczanie syna, zupełnie jak w jego studencko-kawalerskich czasach.

No i jeszcze chłopcy. Co dziwne, dla Kamila i Bartka babcia była „spoko”, choć to akurat Silski mógł zrozumieć, bo na YouTube zapewne nie takie babcie można znaleźć. Wiadomo, dzieciaki to grupa społeczna akceptująca wszelkie ekstrawagancje.

Często wracał pamięcią do rodzinnego domu. Dom był nietypowy, jak jego gospodyni, ale nie pamiętał, żeby kiedykolwiek rodzice poważnie się pokłócili.

– Za dużo ostatnio pracujesz, mój drogi. Jesteś przemęczony – ciągnęła Silska.

– Nie przesadzaj, mam – mruknął. – Po prostu prowadzę teraz dość skomplikowaną sprawę i jestem bardzo zajęty.

– Wszystkie twoje sprawy są skomplikowane – zrzędziła. – Inni prokuratorzy dostają te mniej skomplikowane i awansują.

– Ja też awansuję, gdy skończę tę sprawę – powiedział na odczepnego i zaraz pożałował, że nie ugryzł się w język. Za późno.

– Chodzi o tego lekarza? – spytała czujnie Silska.  
– A ty, mamó, skąd wiesz?  
– Mówili w telewizji, ale nie wiedziałam, że to ty prowadzisz.

– Nie powiedziałem przecież, że prowadzę.  
– Nie jestem głupia, synu. A niby po jakiej sprawie mógłbyś awansować? Po głośniejszej, to oczywiste – powiedziała zadowolona ze swojej dociekliwości.

– Mamó, wiesz przecież, że nie wolno mi z nikim rozmawiać o szczegółach śledztwa.

Chłopcy z zapamiętaniem dłubali w talerzach. Zapowiada się niezła jazda. Ważne, żeby przy okazji nie oberwać.

– A czy ja cię pytam o szczegóły śledztwa?! – wykrzyknęła starsza pani, święcie oburzona. – Ja tylko powiedziałam, że jesteś przemęczony. Już rozumiem, dlaczego reagujesz agresywnie, mój drogi.

– Mamó, może jeszcze indyka? – W sukurs Silskiemu przyszła żona. Spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Dziękuję, moja droga, jest wyborczy. Ja naprawdę nie wiem, jak ty wytrzymujesz z tym moim sy...

Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Wszyscy spojrzeli na drzwi salonu.

Były przymknięte, ale widać było fragment kominka i telewizor.

Boże, włamanie, pomyślał Silski.

– Zostańcie tutaj! – krzyknął i pobiegł do salonu.

Podłoga zasłana było okruchami szkła, ziemią i skorupkami doniczek. Były też kamienie. Duże jak melony. Poczuli na ramieniu dłoń Justyny.

– Prosiłem, żebyś nie wychodziła.



W salonie panowała cisza. Napięcie powoli opadało. Nic więcej się nie wydarzyło.

W drzwiach jadalni stanęła matka. Bartek i Kamil skradali się za nią i próbowali coś zobaczyć.

– Jezu, kto to zrobił? – szepnęła Justyna, patrząc na po-bojowisko.

Gdy Artur wziął się do sprzątanía, jego wzrok padł na największy z kamieni. Wglądał inaczej niż pozostałe: był owinięty w papier przewiązany sznurkiem.

– Zaraz się dowiemy, kto i dlaczego – mruknął, mocując się ze sznurkiem.

Odwinął papier i rozprostował go na kolanie.

To był list. Krótka wiadomość napisana czarnym flama-strem:

*Pozwólcie ludziom umierać z godnością.*

Wizyta policji była długa, męcząca i bezproduktywna. Zaowocowała wielostronicowym protokołem.

Artur zastanawiał się, czy w ogóle ich wzywać, bo jako prokurator najlepiej wiedział, jak przedstawia się wykry-walność w tego typu przypadkach.

A poza tym niska szkodliwość społeczna czynu.



Siedzieli w milczeniu przy herbacie. Chłopcy bawili się na górze.

Policjanci wyszli już jakiś czas temu, a Justyna, przy nie-zbyt entuzjastycznej pomocy teściowej, posprzątała salon. Silski folią i tekturą zatkał okna.

– Arturze, boję się o ciebie – odezwała się Silska.

Nie wiedział, czy matka naprawdę się o niego niepokoi, czy to wstęp do kolejnej połajanki.

– Mamo, nie przesadzaj, to były kamienie, a nie pociski z haubicy.

– Dzisiaj kamienie, ale jak tak dalej pójdzie, to może i kule.

– Co „jak tak dalej pójdzie”?

– Ta sprawa. Jeśli nadal będzie dzielić ludzi. Uważaj na siebie, Arturze.

– Nie martw się, mamo, dam radę... Pójdę zagonić chłopaków do łóżek.



– Tato, nikt nie zrobi ci krzywdy, prawda?

Starszy z synów, czternastoletni Kamil, chyba nie za bardzo przejął się popołudniowymi wydarzeniami, a przynajmniej tego nie okazywał.

Młodszy, Bartek, miał jedenaście lat, i mimo że bardzo starał się we wszystkim dotrzymywać kroku bratu, wciąż był dzieckiem.

– Nie martw się, nikt mi nic złego nie zrobi.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Dlaczego oni... ci ludzie... nas nie lubią?

– Nie nas, tylko mnie.

– No przecież to do naszego domu rzucali.

– Racja. – Trudno było odmówić logiki dziecięcemu widzeniu świata.

– No więc dlaczego?

– Chyba dlatego, że mamy inne zdanie. A przynajmniej oni myślą, że mamy.

- Ale przecież każdy może mieć swoje zdanie, prawda?
- Tak, synku. I o to właśnie trzeba w życiu walczyć, żeby każdy miał prawo do własnego zdania i żeby nikt mu za to nie wybijał szyb.
- I ty o to walczysz w sądzie, tatuś?
- Nie, w sądzie to akurat walczę o to, żeby pomimo różnicy zdań wszyscy ludzie przestrzegali tego samego prawa.
- Zawsze trzeba przestrzegać prawa?
- Zawsze.
- Bo zawsze ma rację?
- Nie zawsze. Tylko Pan Bóg ma zawsze rację.
- No to dlaczego trzeba zawsze przestrzegać prawa, skoro nie ma racji? – drążył Bartek.
- Bo racji często nie ma, a prawo zawsze jest.
- To trudne. Nie rozumiem – westchnął chłopiec.
- Powiem ci, Bartusiu, szczerze, że ja też często nie rozumiem, ale tak to już chyba musi być. Czasami kierujemy się rozumem, a gdy zabraknie rozumu i... nie rozumiemy, to wtedy mamy jeszcze... no właśnie... prawo. Tak jest po prostu łatwiej. Śpij, rano wstajesz do szkoły.



- Schodząc ze schodów, natknął się na Justynę, która właśnie wychodziła z łazienki.
- Śpią? – spytała.
  - Zасыpiają. Gdzie mama?
  - Wzięła się do zmywania.
  - Jezus, chyba zbliży się koniec świata. Czy ona nie zamierza iść do domu? – prychnął zniecierpliwiony.

– Arturze, docień jej dobrą wolę. A może nie chce być sama? Ma już swoje lata.

– Wiem, wiem – westchnął Silski. – Ale tyle godzin w jej towarzystwie to dla mnie zdecydowanie za dużo. I jeszcze ta afera z kamieniem...

– Arturze... – odezwała się cicho Justyna. – Pamiętaj, cokolwiek będzie się działo... jestem przy tobie.

## Rozdział 27

– Jak to „niczego nie wykazały”?!

Gdyby ludzki głos mógł wywoływać tsunami, gabinet rozmówcy ministra Wcisły znajdowałby się już kilkanaście metrów pod wodą.

– Czy pan sobie żarty ze mnie robi, panie prokuratorze?! Jak mogły niczego nie wykazać?! To jakaś paranoja! – grzmiał.

Silski składał właśnie przełożonemu raport w „sprawie doktora W.”, choć trudno to nazwać raportem, ponieważ prokurator ograniczał się tylko do uspokajania Wcisły.

– Chce mi pan powiedzieć, drogi panie, że facet wstrzykuje ofierze truciznę, robi to na oczach kolegi z pracy, ten kolega nas o tym informuje, a tak naprawdę nie ma żadnej trucizny?! To mi pan chce powiedzieć?!

– Chcę tylko powiedzieć – zaczął Artur niepewnie – że wyniki badań laboratoryjnych, które przed chwilą otrzymałem, nie wykazały żadnych substancji, które mogły spowodować śmierć chorego.

– Bzdura! Bzdura i totalna katastrofa! – wściekał się minister. – Co on mu w takim razie wstrzykiwał?! Wodę święconą?!

Gdyby wyborcy byli świadkami takich właśnie wystąpień polityków już po wyłączeniu telewizyjnych kamer, frekwencja wyborcza spadłaby zapewne poniżej granic błędu statystycznego, pomyślał Silski.

– Tego nie wiem, panie ministrze – odparł jednak grzecznie, zaciskając zęby. – Niewykluczone, że było to po prostu jakieś lekarstwo. Trzeba brać pod uwagę, że ten człowiek może być jednak niewinny, a świadek się mylił lub... – Silski ugryzł się w język, bo uznał w porę, że spekulowanie na temat intencji świadka jest z gruntu niewłaściwie. I może wzbudzić wątpliwości co do prokuratorskiego obiektywizmu.

– Skoro jest pan takim poszukiwaczem niewinnych, panie Silski, to trzeba było iść do seminarium duchownego, a nie na prawo! – prychnął Wcisło.

– Oczywiście nadal prowadzimy śledztwo... – bąknął prokurator.

– No pewnie, że prowadzicie. – Była nadzieja, że Wcisło, zamiast się wydzierać, wyda wreszcie jakieś konkretne polecenia. – Brać się do roboty! Trzeba przycisnąć tego, który doniósł... jak mu tam?

– Pawlak.

– No właśnie, tego Pawlaka – powiedział Wcisło już spokojniej. – Zbadać wszystkie możliwości, przesłuchać jeszcze raz cały personel. Przecież oni się nawzajem kryją! Może ktoś coś jednak widział, może przeoczono jakiś szczegół. Wizja lokalna, psiakrew! Niech policja w końcu ruszy dupę!

– Tak, oczywiście, panie ministrze.

– Pan sobie nie wyobraża, co ja tutaj przeżywam – narzekał minister. – Pismaki depczą mi po piętach. Premier dzwonił już dwa razy, bo nie wie, co ma mówić. Ludzie zwariowali na punkcie tego tematu. Sam pan poczuł naciski... W głowie Silskiego zapaliła się czerwona lampka. A ten skąd wie?

– Nie wiedziałem, że pan minister wie o tym incydencie – powiedział grzecznie.

– No pewnie, że wiem. Niepokoilem się o pana.

Kłamie. Silski był tego pewny.

A może to on wszystko zorganizował? Wysłał sygnał: „obserwuję cię, nie nawal”. A może Silski jest przewrażliwiony i wszędzie węszy spiski?

– Sam pan widzi, pod jaką presją pracujemy – westchnął Wcisło, a w jego głosie brzmiała nieszczera troska. – Tak więc do roboty, panie prokuratorze. Do roboty! – zagrzmiął. – Czekam na kolejny raport! I mam nadzieję, że będzie zadowolający! – I rzucił słuchawkę.



– Jak to „nic nie wykazały”?!

Aleks zażądał powtórzenia tej informacji, bo myślał, że się przesłyszał.

– No normalnie, niczego nie wykazały. Nie cieszysz się?

Daniel Bieda był lekko zdezorientowany. Tak naprawdę nigdy nie zadał Aleksowi najważniejszego pytania: czy to zrobił?

– Ale jak... to znaczy... no... wiesz... to przecież... – jękał się Wendt.

– Aleks, czy mógłbym cię prosić o łaskawą akceptację dowodów twojej niewinności?

- Przepraszam – powiedział Aleks, starając się uspokoić.
- Po prostu jestem w szoku.
  - Właśnie widzę.
  - Danielu...
  - Tak?
  - Co teraz? – To musi być pomyłka, myślał gorączkowo Aleks. To po prostu niewytłumaczalne.
  - Diabli wiedzą. – Adwokat wzruszył ramionami. – To komplikuje sprawę, ale to problem prokuratury, nie nasz. Oni prowadzą śledztwo, niech się martwią. Będą węszyli, szukali, czego można by się złapać, bo na dzisiaj niewiele mają, a ciśnienie jak cholera, widzisz przecież, co się dzieje w mediach.

Aleks widział. Bardzo dobrze widział.

- No właśnie... nie wiem, co mam ci powiedzieć... – ciągnął Bieda. – Umorzyć postępowania raczej nie mogą, bo zaczęli z grubej rury i liczyli na szybki efekt. No nic... my czekamy, więcej zrobić nie możemy.

Nagle coś przyszło Aleksowi do głowy.

- Danielu, możesz coś sprawdzić w tych badaniach? – zapytał.
- No pewnie. Opinie biegłych nie są tajne. Co chcesz wiedzieć?
- Możesz ustalić, jaki lekarz podpisał się pod ekspertyzą?
- Poczekaj chwilę. Wykonam telefon i oddzwonię.
- Dzięki. Czekam.

Kolejnych pięć minut wydawało się Aleksowi wiecznością.

Chodził po mieszkaniu z telefonem w ręku, wpatrując się w wyświetlacz. Włał setkę Johnny'ego Walkera do szklanki,



wychylił duszkiem, ale napięcie nie znikło.

No to wypił jeszcze jedną.

Wreszcie usłyszał upragniony sygnał komórki.

– Tak?! – wykrzyknął, jakby od tego zależało jego życie.

– Ustaliłem. Pod opinią jest podpisany niejaki doktor Biedroń. Zygfryd Biedroń, mówi ci to coś?

Oj, tak.



Sekcje zwłok dzielą się na lekarskie i sądowo-lekarskie. To nie znaczy, że te drugie są wykonywane przez nielekarzy. Wręcz przeciwnie, często przeprowadzają je ci sami patolodzy. Sekcje sądowe wykonywane są jednak na zlecenie prokuratury i mają rangę ekspertyzy biegłego.

Niekoniecznie musi zawsze chodzić o przestępstwo. Wystarczy zgon, który nie jest do końca uzasadniony czynnikami naturalnymi.

Tak czy owak, sekcję, jakakolwiek by była, zawsze przeprowadza patolog i zawsze to jego zdanie jest decydujące, a wyników wykonanych przez niego badań nikt nie może zakwestionować.

A sekcja Szymańskiego była tego przykładem.

I właśnie dlatego Aleks musiał pogadać z patologiem.



– Słucham, Dragan...

Głos Hektora był jak zwykle energiczny, pobrzmiwała w nim charakterystyczna nutka zawadiackiej wesołości.

– Cześć, Hektorze, mówi Aleks.

– Proszę, proszę, jednak wciąż wśród żywych.

Zawadiacka wesołość nie znikła, ale Wendt wyczuł lekkie napięcie.

– Nie martw się, bracie, nie zaśmieciłbym twojego eleganckiego prosektorium tak nieefekownymi zwłokami.

– Jestem na posterunku zawsze, kiedy coś się kroi. A tak poważnie, jak się czujesz po tym wszystkim, chłopie?

Dziwne, Dragan nigdy nie był zbyt emocjonalnym facetem, tym razem jednak mówił ze szczerą troską.

– Daję radę. Choć nie mam pewności, czy jest już po wszystkim – odparł Aleks ostrożnie, zastanawiając się, czy Hektor wie o czymś, o czym nie wie on.

– Aleks, jesteśmy z tobą, stary, naprawdę. Nikt nie chce ci się narzucać, więc nie śpiewamy pod twoim oknem. Ale naprawdę, z kim rozmawiam, to każdy pamięta... poważnie...

– Dzięki, Hektorze. Musimy pogadać.

– To gadajmy.

– To znaczy... nie przez telefon.

Dobrze, że wojna skończyła się ładnych parędziesiąt lat temu, bo w konspiracji Aleks nie zrobiłby kariery.

– No dobra – mruknął Dragan.

– Jutro?

– Może być.

– Gdzie?

Aleks zganiał się w myślach, że nie wymyślił miejsca, w którym mogliby spokojnie porozmawiać. Jego mieszkanie nie wchodzi w grę, może być obserwowane, a może policja podrzuciła „pluskwę” podczas przeszukania.

Pomyślał, że może w zoo. Kompletny idiotyzm. Jestem lekarzem, a nie pieprzonym agentem specjalnym!

– W szpitalu? – zaproponował Hektor.

Aleks nie chciał pokazywać się w pracy. Nie wiedział, jak zostanie przyjęty, nie wiedział, co ma mówić, jak się zachowywać. Milczał, co patolog uznał za zgodę.

– Wpadnij do mnie do gabinetu na piętrze. Do czternastej mam sekcje, ale później będę wolny.

– Dobra, będę przed trzecią.

## Rozdział 28

Rzadko wychodził z domu. Prawie nie odbierał telefonów i jakoś nie tęsknił za towarzystwem.

Nie dlatego, że się wstydził. To było raczej spowolnienie metabolizmu. I było mu z tym dobrze.

Na początku starał się chociaż raz dziennie wychodzić na spacer, próbował też biegać, tłumacząc sobie, że ruch na świeżym powietrzu będzie miał zbawienny wpływ na jego samopoczucie. Zastanawiał się też nad wyciągnięciem roweru z piwnicy.

Zarzucił wszelkie sportowe wyczyny, ze smutkiem stwierdzając, iż jedynym, co zbawiennie wpływa na jego samopoczucie, jest czerwony Johnny.

Konieczność opuszczenia domowych pieleszy i udania się do Szpitala Miejskiego sprawiła, że zaczął się denerwować, a nawet trochę bać.



Postanowił iść piechotą. Przez całą drogę oddychał głęboko. Już w głównym holu natknął się na znajome osoby.

Pielęgniarki, dziewczyny z rentgena i laboratorium, lekarzy z różnych oddziałów...

Nic się nie stało, powtarzał sobie. Tutaj nic się nie stało.

Dochodziła piętnasta, więc większa część pracowników szła już do domu. Szpital powoli przygotowywał się do przejścia na „tryb dyżurowy”. Długo czekał na windę, co dało okazję do wymienienia kilku zdawkowych uwag z kolegą z okulistyki, którego nazwiska za cholerę nie mógł sobie przypomnieć.

Wjechał na trzecie piętro. Tu znajdowały się gabinety patologów, tutaj adepci „zimnej chirurgii” przygotowywali materiał do badań i ślęczeli nad mikroskopami.

Przeszedł korytarzem aż do drzwi z napisem: „Dr med. Hektor Dragan”.

Zapukał.

– Proszę! – zabrzmiał znajomy głos.

Pchnął drzwi, wszedł energicznie do środka i zdębiał. Hektor pracował sobie spokojnie przy komputerze, a na fotelu siedział uśmiechnięty Wojtek Sawicki.

– A ty co tu robisz? – wybąkał Aleks.

– Nieładnie, może tak najpierw „cześć, chłopaki” albo coś w tym guście? – Wojtek się uśmiechnął.

Aleks milczał, więc Sawicki spytał niezrażony:

– Nie cieszysz się? Dawno się nie widzieliśmy. Dragan wciąż wpatrywał się w ekran monitora.

– Siadaj, napijesz się czegoś?

Dopiero teraz Aleks zauważył butelkę whisky Ballantine's stojącą na podłodze obok biurka.

Była do połowy opróżniona i coś mu mówiło, że przez Sawickiego.

Stąd ten dziwny uśmiech?

– Dzięki, kawy sobie naleję. – Aleks podszedł powoli do stolika, na którym stał ekspres.

– No i jak się czujesz? – spytał Sawicki.

– Jakoś – odparł Aleks, siadając w fotelu z kubkiem w rękę.

– Dobra, panowie – odezwał się Dragan. – Dyrzymałki na temat samopoczucia proponuję przenieść na inny termin. Aleks chce o czymś porozmawiać.

Odwrócił się od komputera i zerkał to na jednego, to na drugiego.

– Dobra, zacznę od początku. – Aleks nie był do końca pewny, gdzie ten początek jest. – Chodzi o wyniki badań...

– Jakich badań? – spytał niewinnie Sawicki.

– Daj spokój, Wojtek – skarcił go Dragan.

– Ekspertyzę podpisał Zyga Biedroń... – podjął Aleks. Urwał, czekając na reakcję.

– No i? – spytał obojętnie Dragan. Sawicki patrzył w okno.

– Hektorze, nie rób ze mnie durnia – prychnął Aleks. – Wszyscy wiedzą, że Zyga był twoim kumplem z grupy na akademii.

– No, powiedz to! – wybuchnął Hektor. Aleks nie spodziewał się takiej reakcji. – Co, nie może ci to przejść przez gardło? Przecież wszyscy wiedzą. Zyga nie był moim kumplem z roku. Był moim życiowym partnerem. I to przez parę lat.

Aleks zaczerwienił się, trochę ze wstydu, a trochę ze złości.

– Hektorze, nie rozmawiamy o tobie. Nie obchodzi mnie, co cię łączyło z Biedroniem.

Sawicki podniósł butelkę.

– Chcesz lufę?

– Dawaj. – Aleks duszkiem dopił kawę i podstawił pusty kubek.

– A więc, Sherlocku Holmesie – odezwał się Hektor już spokojniej – chcesz znać prawdę? Mieszkaliśmy z Zygą Biedroniem jak małżeństwo. Przeżyliśmy kilka lat, próbując nie zwracać uwagi na docinki kolegów i niefortunne wypowiedzi hipokrytów. I nie ma na świecie takiej rzeczy, o którą nie mógłbym tego człowieka poprosić. Nie jesteśmy już razem, ale to niczego nie zmienia.

Aleks poczuł, że pocałował mu się dłonie.

– Tak, Aleks, dobrze myślisz. Biedroń podmienił próbki. Kochany Zyga. Nie było to trudne. Sam wiesz, patolog ma zawsze rację. Nawet lekarze tak sądzą, a co dopiero policja. Wszystkie testy idealne, kwity w jak najlepszym porządku, tylko materiał do badań, ten właściwy, w kieszeni fartucha pana doktora.

Aleks zdał sobie sprawę, jak mało zna tego człowieka. Tyle lat wspólnej pracy w szpitalu, częstych kontaktów, rozmów...

Nie miał siły się odezwać.

– Zyga uratował ci życie – podsumował Hektor. – A zrobił to dla mnie. – Spuścił wzrok.

– Ale... dlaczego? – chciał wiedzieć Aleks.

– Dlaczego? – powtórzył Dragan.

– To może ty mi, Wojtku, powiedz. – Aleks odwrócił się do Sawickiego.

– To ja wpadłem na ten pomysł – wyznał Sawicki. – Nie mogłem pozwolić, żeby łapówkarskie szumowiny takie jak Pawlak wsadzały naszych ludzi do więzienia.

– To Pawlak bierze?! – Aleks wytrzeszczył oczy.

– Chłopie, na jakim ty świecie żyjesz? – Sawicki pokręcił

głową, nie mogąc się nadziwić naiwności przyjaciela. – Boże, Aleks, rozejrzyj się. Pół miasta huczy od giełdy, kto trafniej obstawi, ile kosztuje zabieg u doktora Pawlaka, a ty się pytasz, czy facet bierze.

– Nigdy się tym nie interesowałem. – Wendt tłumaczył się jak strofowany uczeń.

– No, ty to się w ogóle nieszczególnie interesujesz swoim własnym środowiskiem – skonstatował Hektor.

To była prawda. Aleks nie tylko nie dbał o karierę, ale też nie pielęgnował znajomości. Zachowawczy chłód.

– W ogóle od rozwodu trudno się z tobą dogadać... – dodał Sawicki.

– Masz rację – westchnął Aleks.

– Nie mógłbym spokojnie patrzeć, jak ta menda robi ci krzywdę. – Sawicki spojrzał przyjacielowi w oczy. – Toleruję go – w szklankach pojawiła się kolejna porcja whisky – bo nawet najbardziej obleśny robak ma miejsce w przyrodzie. Ale jak ci robak wchodzi na biurko, to go rozgniatasz. Wiedziałem, że Pawlak bierze w łapę, ale siedziałem cicho, nie chciałem robić afery. Ale on zamierzał cię zniszczyć. A do tego nie mogłem dopuścić. Jesteś doskonałym lekarzem, a to, co zrobiłeś... Wszyscy wiemy, w jakim stanie był Szymański. Nie czarujmy się, długo by nie żył. Ale nie wiem, jak bym się zachował na twoim miejscu, dlatego nie chcę cię osądzać. Jesteś ty i twoje sumienie. To ty będziesz z tym żył.

Aleks miał ściśnięte gardło. Chciał się wytłumaczyć, chciał dziękować, ale wzruszenie odebrało mu głos.

– I niczego nie żałuję – ciągnął Sawicki. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek bezkarnie krzywdził uczciwych lekarzy! Wszystkie te cwaniaczki, prawnicy, prokuratorzy i cała ta hołota. Wiesz, co mogą nam zrobić? W dupę nas mogą



pocałować! Razem ze swoimi kapusiami! – Sawicki najwyraźniej się rozkręcał. Poczzerwieniał od wypitego alkoholu i teraz już prawie krzyczał: – To jeszcze nie koniec, Aleks, zobaczysz, to jeszcze nie koniec. Ja go dopiero urządzę, fiuta złamanego. Pożałuje, że kablował na kolegę, na lekarza! Dupę se zedrę, a go urządzę!

Sawicki upił spory łyk whisky i opadł na fotel.

Aleks bał się nawet myśleć, co przyjacielowi chodzi po głowie. Nie chciał, żeby ktoś przez niego cierpiał.

Nawet wrogowie.

– Wojtek, proszę, nie zrób niczego głupiego. Wystarczy, że przekonałeś Hektora...

– Za bardzo nie musiał mnie przekonywać. – Chłodne spojrzenie Dragana ostudziło wzburzone emocje. – Może cię to zdziwi, Aleks, ale ja po prostu uważam, że postąpiłeś słusznie.

– Sam nie wiem... – wybąkał Aleks, ale Dragan jeszcze nie skończył.

– Ja, w przeciwieństwie do Wojtka, cię oceniam. Według mnie postąpiłeś właściwie. Pozwoliłeś temu człowiekowi godnie umrzeć. Zrobiłeś to, co do ciebie należało. *Primum non nocere* oznacza tylko to, co oznacza, nic mniej i nic więcej. To lekarz decyduje, co w danym momencie szkodzi, a nie zawsze jest to takie oczywiste. Każdy ma prawo decydowania o swoim losie... o swoim życiu... o swojej śmierci... – Odetchnął głęboko. – Mówi ci to człowiek – podjął po chwili – który codziennie obcuje ze śmiercią. Życie jest głównie warte, jeżeli nie możesz wybrać, jakie ma być. Ja na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. A gdybym miał zamienić się w warzywo, chciałbym, by na mojej drodze stanął ktoś taki jak ty.

– Hektorze, dziękuję ci... ale... nie chcę... nie mogę o tym rozmawiać. Mam mętlik w głowie. To wszystko nie jest takie jednoznaczne...

– Wiem. Ale jeśli kiedyś będziesz chciał, wal śmiało.

Aleks wyszedł na szpitalny dziedziniec skąpany w letnim słońcu. Szedł powoli, oszołomiony tym, co usłyszał. Dla jednych przestępca, dla innych bohater. A kim jest w swoich oczach?

## Rozdział 29

– Czy ta operacja naprawdę jest konieczna, panie doktorze?

Słyszając to pytanie, Pawlak przeniósł niespiesznie wzrok z podświetlacza, na którym wisiały analizowane przez niego od kilku minut zdjęcia, na zaniedbaną kobietę w średnim wieku czekającą na odpowiedź.

– O tutaj. – Pawlak jeszcze raz wskazał długopisem zmienione chorobowo miejsce.

– Panie doktorze, ale czy nie dałoby się jakichś lekarstw jeszcze spróbować?

– Ile syn ma lat? – Lekarz starał się ukryć zniecierpliwienie. Klient nasz pan.

– Szesnaście.

– A ile czasu biega już pani z nim po lekarzach?

– Trzy lata. Nie... już cztery będzie.

– No widzi pani? Jedna czwarta życia tego młodego człowieka jest udręką bezskutecznego leczenia. To młody organizm, droga pani, potrzebuje ruchu, swobodnego oddychania, dobrej koncentracji. Chce mu pani zafundować taką „zasmarkaną” przyszłość?

– No... nie... – wyjąkała kobieta.

Przyszedł czas na decydujące uderzenie.

– Zatokę trzeba całkowicie wyczyścić, bo gdyby, nie daj Boże, zdarzyło się przeoczyć jakieś rozwijające się zmiany nowotworowe...

Nie musiał kończyć. Zrobił już wystarczająco duże wrażenie.

– O matko, panie doktorze...

– Proszę się nie niepokoić. – Na twarzy Pawlaka pojawił się szeroki uśmiech. – Młody organizm doskonale zniesie zabieg i szybko się zregeneruje.

Matka patrzyła na lekarza jak na Boga.

– Proszę przyprowadzić chłopca. Muszę go jeszcze zbadać, ale dobrze, że pokazała mi pani zdjęcia, ich obraz jest oczywisty.

Pozostało jeszcze ustalić najważniejsze: cenę. Wziął do ręki kalendarz.

– Może w środę? O czternastej? Zbadam pacjenta i ustalimy termin zabiegu... – Zawiesił głos.

Podziałało.

– Panie doktorze, a ile to będzie kosztowało?

– No, wie pani... – Westchnął.

Teraz delikatnie, żeby nie spłoszyć zwierzyny.

– To poważny zabieg.

– Rozumiem, panie doktorze, oczywiście.

– Takie absolutne minimum to dziesięć tysięcy.

Kobieta przełknęła ślinę. Trzęsły jej się ręce.

– Proszę zrozumieć, przy zabiegu musi być pielęgniarka, anestezjolog...

Trzeba wytłumaczyć klientowi, za co płaci.

– Potrzebuję trochę czasu, panie doktorze, pan rozumie,

odkąd zmarł mój mąż, pracuję na trzech etatach, żeby związać koniec z końcem.

Bezczelna baba!

A co ona myśli, że ja to nie pracuję?

– Tylko proszę zbyt długo nie zwlekać, bo każdy dzień zwiększa ryzyko pojawienia się powikłań.

Całe szczęście, że medycyna wymyśliła sformułowanie „powikłania”.

– Oczywiście, panie doktorze, za jakieś dwa tygodnie na pewno będę gotowa.

– Dobrze, w takim razie do zobaczenia.



Rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Zmęczył go ten babsztyl, ale w sumie był zadowolony.

Uśmiechnął się do siebie.

Marketing to potęga, pomyślał.

## Rozdział 30

Pawlak lubił swoją samotność.

I to nie dlatego, że jeśli się nie da czegoś zmienić, trzeba to koniecznie polubić.

Nie chciał niczego zmieniać. Nie był zbyt towarzyski. Już jako dzieciak nie budził specjalnej sympatii rówieśników i nauczył się spędzać długie godziny w samotności, a nie bawiąc się w to, w co chcieli inni.

Wtedy już zresztą miał poczucie wyższości, które już zawsze miało mu towarzyszyć.

W szkole miał najlepsze stopnie, wszyscy nauczyciele go chwalili i to budziło zazdrość pryszczatych rówieśników, chłopaków z małego miasteczka, którzy już wtedy wiedzieli, że nigdy poza to miasteczko się nie wyrwą. Że spędzą w nim całe życie, pracując w warsztacie samochodowym, w sklepie spożywczym albo, co gorsza, mając się dorywczym zajęć, próbując dotrzeć do pierwszego. Lub stercząc pod monopolowym.

Tylko jemu się udało.

Dziwak, odludek, klasowe popychadło.

Teraz patrzył na ich miny, kiedy czasem pojawiał się w rodzinnych stronach. Widział, z jakim podziwem patrzą na jego drogie garnitury i srebrne bmw.

Nawet dziewczyny, które w szkole w ogóle nie zwracały na niego uwagi.

Banda idiotów.



Lubił samotne wieczory. Nic nie mogło się równać z gorącą kąpielą po przyjściu z pracy. Zmywał z siebie brud szpitala, wszystkie bakterie i kłopoty.

A potem siadał w fotelu i oddawał się swojej jedynej prawdziwej pasji: mandze.

Potrafił godzinami wpatrywać się w rysunki, śledzić zagmatwane wątki, wczuwać się w losy bohaterów samurajskich historii.

Z każdej kartki emanowała siła tych postaci, ich szalona odwaga.

Żadnego uzalania się nad sobą.

Tylko walka i praca.

Osiąganie celu.

Nalał sobie kieliszek brandy i wziął do ręki prawdziwy skarb: kolejny tom *Kozure Okami*. Zapłacił za niego fortunę na eBayu, ponad dwa tygodnie czekał na paczkę, ale było warto. Cudowna stara chanbara, jego ulubiony gatunek, żadnych robotów ani fikuśnych stworów, żadnego science fiction.

Tylko walka. Na miecze.

Szybkie precyzyjne cięcia. Prawdziwa sztuka.

Jak w chirurgii.

Ostrożnie przewracał kartki. Delektował się zapachem papieru.

Boskie.

Nastrój zepsuł dzwonek do drzwi. Ki diabeł? – pomyślał Pawlak.

Nikogo nie zapraszał. Wręcz przeciwnie, miał nadzieję na spokojny wieczór po ciężkim dniu.

Niechętnie powlókł się do przedpokoju. Gdy otworzył drzwi, osłupiał. Stał w nich Wojtek Sawicki.

– A co ty tu robisz? – zapytał opryskliwie.

– Tak wpadłem, starego kumpla odwiedzić – odparł Sawicki, beczelnie ładując się do mieszkania.

Nie zwracając uwagi na protesty gospodarza, wkroczył do salonu, rozglądając się ciekawie.

– O... samuraje. – Wziął do ręki mangę.

– Odłóż to! – Widok wspaniałego dzieła w rękach tego troglodyty podziałał na Pawlaka jak płachta na byka.

– Ciekawa lektura. – Sawicki uśmiechnął się kwaśno, ale książkę odłożył. – W sam raz dla ciebie – dodał drwiąco. – Ucz się, ucz, Włodek. Oni mieli honor.

– Czego chcesz? – warknął Pawlak.

– Nie proponujesz mi brandy? – Sawicki wziął do ręki kieliszek.

– Nie.

– Trudno – westchnął. – Prawdę mówiąc, wpadłem po poradę zawodową.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Dlaczego? Przecież pracujemy razem. Chciałbym, żebyś rzucił okiem na te zdjęcia – ciągnął niezrażony Sawicki. – I powiedział, co myślisz o tym przypadku.

Pawlak niechętnie wziął do ręki radiogramy, które Sawicki wyjął ze skórzanej lekarskiej torby. Spojrzał na nie pod światło.



– W czym problem? To się nadaje do Caldwella... Nagle zamarł. Boże, przecież on już widział te zdjęcia. Spojrzał na Sawickiego. Ten uśmiechał się zjadliwie.

– Ja cię nie pytam, Włodziu, co trzeba zrobić.

– Tylko?

– Tylko za ile?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Pawlak próbował zyskać na czasie, zebrać myśli.

– Rozumiesz, Włodziu. A jeśli nie rozumiesz – Sawicki pogrzebał w torbie – to może zrozumiesz to.

Zamknął torbę, odwrócił się i położył na stole mały przedmiot. Dyktafon.

Wcisnął „play” i z głośnika popłynęły głosy: „Panie doktorze, a ile to będzie kosztowało?”. „No, wie pani... to poważny zabieg...”.

– Wyłącz to – warknął Pawlak.

– Nie chcesz posłuchać? – Rozbawiony Sawicki spełnił jego prośbę. – No tak, przecież ty wiesz, co będzie dalej. Niezłe, prawda?

– Niezły to ty jesteś skurwiel.

– Mniejszy od ciebie. I powiem ci dlaczego.

– Hm, ciekawe.

– Bo ja zrobiłem tego Caldwell-Luca za darmo. Na ubezpieczalnię, po prostu.

– Mam się wzruszyć?

– Nie, wzruszające jest dopiero zakończenie. Otóż wyobraź sobie, że kobita po zabiegu strasznie chciała mi wcisnąć kasę. Rzeczywiście, chłopak to oczko w głowie rodziny, jedynek. Są wskazania do zabiegu, a włącz się po gabinetach

kolegów od lat. Wszyscy kasują jak za zboże, a poprawy zero. Więc gdy doktor Sawicki w końcu zoperował, to babka nie chciała wyjść z gabinetu bez odwdzięczenia się. – Uśmiechnął się chytrze. – I wtedy przyszedł mi do głowy doskonały pomysł. Na początku kobitka była przerażona, ale w końcu zobaczyła, że bardzo mi zależy, i zgodziła się odegrać komedyjkę. Zdjęcia były już gotowe, i bingo!

Nie mogę dać się sprowokować, pomyślał Pawlak.

– No dobra, jesteś superszpiegiem, a twoje metody są niezawodne – prychnął. – A teraz powiedz wreszcie, czego chcesz.

– Powiem ci, czego chcę – odrzekł Sawicki zimno.

W jego spojrzeniu była czysta nienawiść. Pawlak poczuł strach.

– Chcę położyć te zdjęcia i taśmę na biurku w CBA. Chcę, żeby cię zgarnęli przy ludziach, wyprowadzili w kajdankach, posadzili w pierdlu chociaż na jeden dzień, a pisarki żeby cię później zadreślały przez miesiąc inteligentnymi pytaniami o skalę korupcji w służbie zdrowia. Tego chcę.

Muszę to wytrzymać, myślał Pawlak. Był przekonany, że Sawicki tylko próbuje go nastraszyć. Ale po co? Chce kasę? Pora przejść do kontraktaku. A przynajmniej spróbować.

– Po pierwsze – zaczął pewnie – gdybyś rzeczywiście chciał pójść z tym do CBA, to już byś tam był dziesięć razy i nie przyłaziłbyś tutaj opowiadać tych pierdoł. Poza tym wiesz dobrze, że i tak gównu by mi zrobili. Byłaby burza w szklance wody przez kilka dni, gazety miałyby o czym pisać, a w konsekwencji ucierpiałoby tylko środowisko, bo jeden drugiemu patrzyłby na ręce i nawet jakbyś wpadł do kogoś pogadać, to zaczynałoby się od sprawdzenia, czy przypadkiem

nie masz w dupie podsłuchu. Nie tylko we mnie byś uderzył. Gadaj, czego chcesz. Chodzi ci o forszę? Możemy się dogadać.

– Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić tę swoją kasę, kanalio! – wrzasnął Sawicki.

Nagle Pawlak zrozumiał.

Niesłychane. On tu przyszedł w sprawie tego dupka Wendta.

– Chyba wiem, o co ci chodzi – powiedział wolno.

– No proszę, zawsze wierzyłem w twoją inteligencję. Bezczelny kutas. Napawa się jego upokorzeniem.

– Co mam zrobić?

– Odszczekasz to! – To było kopanie leżącego. – Odszczekasz całe te twoje kapusiowskie wywody. Słowo po słowie. Jasne?

Wyglądało na to, że Sawicki nie zamierza negocjować.

– To nie jest takie proste...

– Czyżby? – Wojtek uniósł brwi.

– Składanie fałszywych zeznań jest karane – przypomniał Pawlak.

– No i właśnie ponosisz karę.

– Podpisałem kwit, że zapoznałem się z odpowiedzialnością w przypadku świadczenia nieprawdy. I co teraz? Jak mam zmienić zeznania?

– Poradzisz sobie – odrzekł zimno Sawicki.

– Wojtek, przecież on jest winny. Dobrze o tym wiesz.

– Nie masz prawa go oceniać, draniu! A poza tym gównu widziałeś!

Sawicki zrobił się czerwony jak burak. Przez chwilę Pawlak myślał, że rzuci się na niego z łapami. Odetchnął głęboko.

– Nie dam ci się sprowokować, cwaniaczku – powiedział już spokojniej. – Mam gdzieś twoje opinie i umoralniające prelekcje od siedmiu boleści. Idziesz odwołać zeznania i głównie mnie obchodzi, jak to zrobisz. Albo będzie afera. Wybór należy do ciebie.

Pawlak stał nieruchomo. Wiedział, że dotarł do ściany.

Sawicki, wychodząc, zatrzymał się przy stoliku. Znowu wziął do ręki mangę, spojrzął na nią i jego usta znowu wykrzywił bezczelny uśmiezek.

- Hm, no cóż, zawsze jeszcze możesz popełnić harakiri.
- Spierdalaj – syknął Pawlak.

## Rozdział 31

Nieźła heca, pomyślał Silski, patrząc ze zdziwieniem na mężczyzn, którzy właśnie weszli do jego gabinetu.

– Czy życzą sobie panowie czegoś do picia? Może kawę?  
– Starał się uśmiechać. Nie uszło jego uwagi, że garnitur jednego z gości kosztuje pewnie tyle, co jego roczna pensja.

Bierze ze dwa tysiąki za godzinę, przemknęło mu przez myśl.

Ciekawe, że zwykłego doktora stać na takiego tuza. Musiał chyba zoperować migdałki komuś z rodziny adwokata, bo przecież nie płaci mu ze szpitalnej pensji.

– Nie, dziękujemy bardzo, nie chcemy zajmować panu prokuratorowi czasu. – Uprzedzająca grzeczność mecenasa Wolskiego zapowiadała, że lekko nie będzie.

Miał koło pięćdziesiątki i był uosobieniem prawniczego sukcesu. Szpakowaty, lekko łysiejący, ale wciąż w dobrej formie, bez śladów brzuszka, musiał co najmniej tyle samo czasu spędzać na polu golfowym lub w siłowni, ile w kancelarii.

Wolski założył okulary w eleganckich złotych oprawkach i zaczął przeglądać dokumenty, które wyjął z teczki.

– W takim razie słucham, jestem do panów dyspozycji.

To, że pan, panie doktorze, pojawił się tutaj bez wezwania, jak również... hmm... grono, w którym się spotykamy, sugeruje, że zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności.

– Można tak powiedzieć...

Pawlak był bardzo zdenerwowany. Jak zawsze miał rozbiegany wzrok, ale teraz doszło jeszcze nerwowe kołysanie nogą.

Może uda się jakoś to wykorzystać, pomyślał Silski.

Wolski spojrzął znad papierów na swojego klienta, jakby chciał mu powiedzieć: „Uspokój się i uważaj, co mówisz”.

– Bo oczywiście pan wie – ciągnął prokurator – że nie jest pan przesłuchiwany w charakterze podejrzanego. Domyślam się więc, że obecność mecenasa jest uzasadniona czymś szczególnie istotnym, co dotychczas nie zostało wzięte pod uwagę. – Postanowił podrażnić się trochę z przeciwnikiem.

Bo tego, że jego główny świadek stanie się za chwilę przeciwnikiem, był pewny.

– Panie prokuratorze. – Adwokat zdjął okulary wyćwiczonym „sądowym” ruchem i spojrzął na Silskiego, jakby byli na sali rozpraw, a on musiał obalać bezsensowne zarzuty. – Moja obecność ma charakter jak najbardziej doradczy, a pan doktor ma zamiar po prostu wprowadzić drobne modyfikacje do swoich zeznań.

– Dobrze, proszę bardzo. – Silski otworzył teczkę z aktami sprawy.

Nie była specjalnie gruba i nie zanosilo się na to, że w najbliższym czasie przybędzie dokumentów.

– Do której części zeznania chce pan wprowadzić te... modyfikacje?

Pawlak nabrał powietrza. Wyglądał, jakby za chwilę miał zanurkować.

Silski przyglądał mu się z coraz większym zaciekawieniem.

– Prawdę mówiąc, panie prokuratorze... – Zaciął się, jakby szukał odpowiednich słów. – Chciałem... powiedzieć, że po głębszym zastanowieniu...

Silski zaczynał podejrzewać, co w trawie piszczy.

– Doszedłem do wniosku – dukał lekarz – że chyba jednak niezbyt dokładnie... to znaczy... widziałem, ale nie mogę być w stu procentach pewny, że dokładnie widziałem moment wstrzyknięcia.

Pawlak zamilkł.

Taka zmiana w zeznaniu, które było przecież jednocześnie zawiadomieniem o popełnieniu przestępstwa, praktycznie zamyka sprawę, pomyślał Silski i, o dziwo, poczuł ulgę. Teraz nie ma już podstaw do oskarżenia. Szczególnie że sekcja zwłok niczego nie wykazała.

Jeszcze nigdy w życiu nie prowadził podobnej sprawy. Najpierw wszystko było takie oczywiste, zeznania dokładne i wiarygodne, a teraz co? Trucizna znika z krwi, a zaraz potem główny świadek oskarżenia odwołuje zeznania.

– Panie doktorze, czy dobrze rozumiem? Chce pan powiedzieć, że doktor Wendt nie spowodował w sposób zamierzony śmierci ofiary?

– Dobrze pan zrozumiał, panie prokuratorze – wtrącił się Wolski, który pilnował, żeby zdenerwowany Pawlak czegoś nie palnął. – Mój klient nie wyklucza takiego działania, ale nie może z całą pewnością stwierdzić, że był jego świadkiem.

– Tak, zrozumiałem – mruknął prokurator. Co tu jest grane? Trzeba spróbować z innej strony. – Panie doktorze,

czy jakiegokolwiek fakty bądź też osoby mogły mieć wpływ na zmianę pańskiego zeznania?

– Co pan przez to rozumie?

Twarz Pawlaka błyszczała od potu.

– Nie mam podstaw, żeby cokolwiek sugerować, ale taka nagła zmiana stanowiska mogłaby wskazywać na przykład na przymus – wyjaśnił Silski.

Obserwował lekarza, który mrugał nerwowo.

– Ależ...

– Zapytam wprost, panie doktorze: czy ktoś panu groził?

Czy ktoś starał się w jakikolwiek sposób wpłynąć na pańskie zeznanie?

Adwokat zareagował natychmiast.

– Co pan sugeruje?!

– Proszę mnie zrozumieć, mecenasie, z uwagi na specyficzny charakter śledztwa musiałem zadać to pytanie. Jednocześnie pragnę zapewnić, że w razie potrzeby będziemy w stanie zapewnić panu i wszelkim wskazanym przez pana osobom ochronę.

Teraz piłka jest na polowie przeciwnika. Spojrzał w oczy lekarza i w ułamku sekundy zorientował się, że ten nie powie niczego ciekawego.

– Nie trzeba, panie prokuratorze. Dziękuję za troskę i pomoc, ale to nie tak.

– A jak? – zapytał Silski zrezygnowanym głosem, opadając na oparcie fotela.

– Proszę zrozumieć – Pawlak zrobił zboliałą minę – to bardzo poważne oskarżenie dotyczące lekarza... przyjaciela...

Boże, ależ ten facet kręci. Niedobrze się robi.



– Rzucić coś takiego... tak brzemiennego w konsekwencje... nie mając stu... nie, nawet dwustuprocentowej pewności, że to, co się widziało...

A co, do tej pory o tym nie wiedziałeś, sukinsynu? – miał ochotę powiedzieć Silski.

Kiedy lekarz i adwokat wreszcie wyszli, prokurator pomyślał, że z kariery nici. Nie był jednak zmartwiony. Miał poczucie, że oto sprawiedliwości stało się zadość.

## Rozdział 32

Już od kilku minut gapił się na zegar.

Dwudziesta trzecia siedemnaście... osiemnaście... dziewiętnaście.

Stary zegar z kukułką, pamiątka po dziadku, z czasów przed drugą wojną światową, wisiał w jego domowym gabinecie od lat.

Lubił przesiadywać w tym pokoju. To było jego królestwo, miejsce, gdzie nikt mu nie przeszkadzał.

Justyna wiedziała, że mąż czasem potrzebuje chwili samotności, i szanowała to, wiedząc, jak stresująca bywa jego praca.

Nawet chłopcy rozumieli, że gabinet taty to jedyne miejsce w domu, dokąd nie powinna wpadać piłka.

Dwudziesta trzecia dwadzieścia...

Nie był smutny ani przygnębiony. Po prostu nic mu się nie chciało. Jeszcze wczoraj planował kolejne działania, budował strategię, układał plany.

A teraz siedzi i gapi się na zegar.

Dwudziesta trzecia dwadzieścia jeden...

Od samego początku nie miał przekonania do tej sprawy. Nie jest dobrze, kiedy prokurator nie może znaleźć w sobie determinacji koniecznej w dążeniu do ukarania przestępcy.

Wykonywał po prostu swoje obowiązki, bo walczył o przetrwanie. A do tego śledztwa się nie przyłożył. A może nie chciał?

Dwadzieścia dwie...

Usłyszał skrzyknięcie otwieranych drzwi.

Odwrócił się i zobaczył wchodzącą Justynę. Podeszła i położyła mu ręce na ramionach. Poczul jej lekki zmysłowy zapach.

Jaśmin.

– Martwisz się... – zaczęła.

– Trochę.

– Wciąż ta sama sprawa?

– Tak. Ale to już koniec...

– Zły koniec?

– Właśnie najdziwniejsze jest to, że nie jestem do końca przekonany, czy zły.

– No to czym się martwisz?

– No chyba właśnie tym... – Zabrzmiało to absurdalnie, ale Silski był przekonany, że żona wychwyciła cierpką ironię.

Wiedziała, jakim jest facetem. Wiedziała, że może góry przynieść, jeżeli walczy o coś, do czego jest przekonany.

Teraz nie był.

Pochyliła się nad nim. Jej włosy musnęły jego szyję. Przytuliła się mocniej. Poczul dotyk jej piersi na ramionach.

Była w cienkiej nocnej koszuli.

Zapach jaśminu był coraz intensywniejszy.

Przeszedł go dreszcz.

Na chwilę zniknęły wszystkie problemy.

Powoli, wprawnymi ruchami masowała jego kark. Coraz mocniej, coraz bardziej zdecydowanie uciskała spięte mięśnie.

- Jesteś cudowna – wyszeptał.  
Lekko dotknęła wargami jego policzka.
- Chodź już do sypialni. Jutro też jest dzień...
- Uwielbiał ją. Byli ze sobą już tyle lat, a ona wciąż działała na niego jak żadna inna kobieta.
- Chłopaki śpią? – spytał.
- Aha – rzuciła zalotnie.
- Dobra, kładź się, powylączam tylko sprzęt i idę.  
Wstała i odwróciła się.
- Może być za późno – powiedziała z uwodzicielskim uśmiechem.
- Ani mi się waż. – On też wreszcie się uśmiechnął.



Dwudziesta trzecia czterdzieści trzy.

Dopił resztkę brandy z kieliszka i przeciągnął się w fotelu. To prawda, jest przemęczony, Justyna ma rację, musi trochę o siebie zadbać, przestać się tak stresować robotą.

Otworzył Outlooka i po raz ostatni spojrzął na zawartość skrzynki, przesuwając machinalnie kursor w kierunku krzyżyka w prawym górnym rogu ekranu.

Koniec na dzisiaj.

Był już o sekundę od zrealizowania tego postanowienia, gdy nagle jego uwagę przykuła nowa wiadomość otrzymana z adresu, którego nie znał. Samo oznaczenie było nietypowe, pochodziło z jakiegoś dziwnego amerykańskiego serwera.

Przez moment miał zamiar odłożyć sprawę na jutro, zamknąć komputer i popędzić do sypialni, jednak ciekawość zwyciężyła.

Otworzył list i zaczął czytać.

A już myślał, że nic, co wydarzy się w tej sprawie, go nie zaskoczy.

Spojrzał na zegar stojący na biurku. Jarzące się na czerwono cyfry przywołały zwariowane skojarzenie z bombą zegarową.

Tak, to na pewno jest „tykająca” wiadomość.

## Rozdział 33

Aleks spojrział w lustro.

Czy ten zarośnięty facet z podkrążonymi oczami to naprawdę ja? – pomyślał smutno.

Bida z nędzą.

Wziął maszynkę, by się ogolić, ale po chwili namysłu zrezygnował. Nie warto.

Przeszedł do salonu i włączył sprzęt grający.

Muzyka.

To jedyna rzecz, która poprawiała mu humor. Nie na długo, ale zawsze.

W ciągu tego tygodnia chyba ze trzydzieści razy wysłuchał więc *The Wall* Pink Floydów, w czołówce listy przebojów były też *Violator* i *Ultra*.

Tak, Depeche Mode to właściwy klimat.

Dzisiaj wybór padł jednak na stary dobry King Crimson.

*Lizard?*

Niech będzie.

Wyjrzał przez okno. Wczesne lato jakby chciało dostosować się do jego nastroju. Szaruga na dworze doskonale komponowała się z pogrążonym w zadumie Robertem Frippem.

I z pogrążonym w depresji Alekssem Wendtem.  
Uznał, że do kompletu brakuje tylko szklanki whisky.  
Podszedł do barku i ze zgrozą stwierdził, że butelka jest pusta. Nie pamiętał, kiedy to wypił.

Wczoraj?

Chyba wczoraj.

Trzeba wziąć się w garść.

Koniec z kupowaniem tego gówna!

Zarzucił kurtkę i poszedł do sklepu.



Przez całą drogę powrotną czuł do siebie obrzydzenie.

Nie, nie chodziło o picie. Alkohol jest dla ludzi i bywają momenty, że zdecydowanie lepszym wyjściem z sytuacji jest się znieczulić, niż rozdrapywać rany. Wchodząc powoli po schodach, obwiniął się o to, że z każdym dniem przegrywa walkę z samym sobą, nie umiając nawet zawrzeć rozejmu na w miarę korzystnych warunkach.

Przypomniawszy sobie zdanie, które często powtarzał ojciec: „Człowiek zniesie na dłuższą metę każdy konflikt, z wyjątkiem konfliktu z samym sobą”.

Tak, docierało do niego, że jest jedyną osobą, z którą przedłużająca się kłótnia doprowadzi niechybnie do poważnego wyniszczenia obu stron.

Wszedł do mieszkania i od razu nalał sobie whisky.

Nie zrobiło się lepiej.

Ale zrobiło się cieplej.

Boże, która może być godzina?

Wziął komórkę, żeby to sprawdzić.

„1 nieodebrane połączenie”.

Nacisnął „pokaż” i spojrzął na numer.  
Nieznany.  
Przez chwilę poczuł chęć, żeby oddzwonić.  
A idź do diabła, pomyślał.  
Usiadł w fotelu i zamknął oczy.  
*Lizard* to chyba najlepsza ich płyta.  
Szkoda, że już się kończyła.



Z zadumy wyrwał go sygnał komórki.  
Matko, muszę zmienić tę melodyjkę, pomyślał jak zwykle,  
gdy dźwięki *Gwiazdzistego Sztandaru* wkraczały do gry.  
Odebrał, raczej żeby przerwać kakofonię dźwięków niż z  
chęci rozmowy z kimkolwiek.  
– Słucham.  
– Czy to pan doktor Aleksander Wendt?  
Głos w słuchawce wydał się znajomy.  
– Tak, a z kim mam przyjemność? – zapytał cierpko.  
– Dzień dobry, doktorze. Artur Silski, mam nadzieję, że  
mnie pan pamięta.  
– Pamiętam, nawet... bardzo dobrze – potwierdził Aleks  
z naciskiem. W tym momencie zdał sobie sprawę z zagrożenia.  
– Zaraz, zaraz, czy my przypadkiem nie powinniśmy  
rozmawiać w obecności adwokata?  
– Nie, i jeżeli pozwoli mi pan mówić, wytłumaczę dla-  
czego...  
– Tak, przepraszam... proszę, proszę... – powiedział już  
spokojniej.  
– Dzwonię do pana jako osoba prywatna.  
– Moment, czy to w porządku, że prokurator dzwoni



prywatnie do podejrzanego? – W głosie Aleksa pojawiła się nuta agresji.

– I właśnie o tym przede wszystkim chciałem pana poinformować, panie doktorze... Nie jest pan już podejrzanym – oznajmił Silski.

Aleksa zatkąło.

– Jak to? – zdołał wykrztusić.

– Śledztwo w pańskiej sprawie właśnie zostało umorzone.

– Umorzone?

– Tak – potwierdził Silski. – Oficjalne zawiadomienie o umorzeniu postępowania z braku dowodów idzie do pana właśnie pocztą poleconą, ale ja postanowiłem zadzwonić wcześniej i osobiście pana o tym poinformować.

– To normalna procedura? – zapytał Aleks z niedowierzaniem.

– Nie, oczywiście, że nie.

Aleks dałby głowę, że prokurator się uśmiechnął.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Silski – chciałem wykorzystać tę okazję, żeby zapytać, czy zechciałby się pan ze mną spotkać.

– A po co? – prychnął Aleks.

– Oczywiście nie mam już prawa wysyłać panu żadnych wezwań – Silskiego nie zraził opryskliwy ton Wendta – czy wywierać presji. Zresztą, prawdę powiedziawszy, chciałbym, żebyśmy spotkali się gdzieś poza prokuraturą. Z różnych względów.

– Poza prokuraturą?

– Tak, zapraszam pana na kawę. Proszę mi zaufać, powinniśmy porozmawiać.

- Dlaczego miałbym się zgodzić?
  - Właściwie równie dobrze można zapytać, dlaczego miałby się pan nie zgodzić. Naprawdę niczego pan nie ryzykuje.
  - Czyżby?
  - No cóż, jeśli mi pan nie wierzy, może pan poczekać, aż dojdzie do pana oficjalne pismo. Powinno pojawić się lada dzień.
  - Nie, nie podejrzewam, że mnie pan okłamuje. – Aleks postanowił być grzeczniejszy.
  - Naprawdę, proszę mi wierzyć, nie mam w tym żadnego interesu.
  - Dobrze, spotkajmy się. A co takiego chce mi pan powiedzieć?
  - To nie jest rozmowa na telefon. Nie, nie, pański telefon nie jest już na podsłuchu – zapewnił pospiesznie prokurator. – To jest równoczesne z umorzeniem śledztwa. Pan jest w tej chwili normalnym obywatelem. Ostatnio pojawiły się odpowiedzi na pewne pytania, które zadawałem sobie przez cały czas trwania śledztwa.
  - Ciekawe...
  - A jako że te odpowiedzi dotyczą pewnie również pytań, które pan sobie zadawał, chyba dobrze będzie o nich porozmawiać.
  - Zapewne. Dziwi mnie tylko, że pomimo tych odpowiedzi umorzył pan śledztwo.
- Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki panowała cisza.
- Panie doktorze, nie wgłębiając się zbyt w szczegóły, powiem tylko, że celem postępowań prokuratorskich nie jest wbrew pozorom uzyskiwanie odpowiedzi, tylko uzyskiwanie

wyroków skazujących. Nie jesteśmy naukowcami, nie prowadzimy badań. Działamy, dopóki jest możliwość udowodnienia podejrzanemu, że popełnił czyny niezgodne z prawem. Dlatego właśnie nie chcę spotykać się z panem jako prokurator, tylko jako człowiek zainteresowany tematem.

- No dobrze, to kiedy się spotkamy? – spytał Aleks.
- Jutro?
- Dobrze. Mówił pan, że woli po pracy...
- Jeżeli można. Tak będzie lepiej.
- Dobrze. Najlepiej chyba gdzieś w centrum?
- Proszę bardzo.
- Hotel Europejski. Ogródek. Siedemnasta?
- Doskonale – zgodził się Silski.

Aleks się rozłączył i natychmiast pojawiły się wątpliwości.  
A może to jednak podstęp?

## Rozdział 34

Następny dzień to był piątek.

Aleks zganiał się w myślach za niezbyt mądry wybór godziny spotkania. Nawet dziecko wie, że piątkowe popołudnie w stolicy to jedna wielka korkowa batalia motoryzacyjna i że dojazd w okolice placu Piłsudskiego, gdzie stoi Hotel Europejski, nie będzie łatwy.

Nie zmienił jednak terminu. Prawdę mówiąc, nie chciał kontaktować się z Silskim przed spotkaniem. Postanowił więc wyjechać odpowiednio wcześniej.

Jedno było pocieszające: lato znów było latem, wyszło słońce, zrobiło się ciepło, a wraz z poprawą pogody nastąpiła również poprawa samopoczucia. Aleks z przyjemnością patrzył na ludzi, którzy zrzucili ciepłe kurtki i znów paradowali lekko ubrani i jakby trochę bardziej radośni niż zwykle.

Przed południem wyszedł pobiegać, później wziął długi prysznic, ogolił się i nawet posprzątał w mieszkaniu, wyrzucając całą kolekcję kartonów po pizzy.

No i trochę pustych butelek.

Nie tak znowu dużo.

Zastanawiał się, skąd ta nagła poprawa samopoczucia, ale nie mogąc znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia,

przyjął założenie, że to najpewniej efekt informacji o umorzeniu sprawy.

Dziwne, przecież tak bardzo bał się więzienia, tak bardzo nie chciał, żeby kiedykolwiek powtórzyła się ta mroczna eskapada w otchłań ludzkich grzechów i własnej rozpacz, a jednak nie potrafił się cieszyć.

Dobrze, że chociaż wróciła energia i zaczął wreszcie choć trochę przypominać dawnego Aleksa Wendta.

Cudem udało mu się nie rozjechać grupki japońskich turystów, którzy wyrosli jak spod ziemi przed maską, spiesząc z aparatami fotograficznymi do Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie właśnie rozpoczynała się zmiana warty.

Nie był to jednak koniec cudów przewidzianych na to popołudnie. Kolejnym było znalezienie miejsca do zaparkowania, praktycznie przy samym wejściu do Zachęty, a więc niecałe dwieście metrów od hotelu.

Spojrzał na zegarek: szesnasta pięćdziesiąt.

Nie spiesząc się, przeszedł wzdłuż hotelu Victoria, minął pomnik Piłsudskiego i po chwili dotarł przed główne wejście Europejskiego, ukryte w cieniu małej uliczki łączącej plac z Krakowskim Przedmieściem.

Portier uprzejmym gestem zaprosił go do przejścia przez szklane obrotowe drzwi i już po chwili Aleks był w hotelowym holu.

Znał to miejsce, bo tutaj odbywał się ostatni zjazd Towarzystwa Laryngologicznego. Przeszedł przez wysoką salę, rozglądając się w poszukiwaniu Silskiego.

Może się spóźni? – pomyślał.

I wtedy przypomniał sobie, że przecież umówili się w ogródku. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył Silskiego siedzącego przy stoliku w samym rogu.

Prokurator zamachał do niego, uśmiechając się przyjaźnie.

Aleks podszedł do stolika.

– Proszę usiąść – powitał go Silski. – Wybrałem miejsce z boku. Tu nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Silski zachowywał się swobodnie. Trudno mówić o zaufaniu, ale trzeba przyznać, że facet sprawiał raczej sympatyczne wrażenie.

– Czego się pan napije? – spytał.

– Cóż, to było zaproszenie na kawę. – Aleks zdobył się na uśmiech.

– Oczywiście, bardzo proszę.

Silski skinął na kelnera, który najwyraźniej nudził się, oparty o kasę.

– Mam nadzieję, że nie czekał pan długo – zagaił Aleks, gdy złożyli zamówienie.

– Ależ skąd, dopiero przyjechałem.

Wymienili jeszcze kilka zdań na temat trudności w parkowaniu, ale trzeba było wreszcie zakończyć tę wymianę uprzejmości.

– W takim razie... – Aleks zawiesił głos.

– No tak... do rzeczy...

Silski oparł się wygodniej i założył nogę na nogę.

– Prawdę mówiąc – zaczął – zastanawiałem się, jak pana odbiorę po tym wszystkim. To jednak zupełnie co innego, przesłuchiwać podejrzanego, a rozmawiać z... – Zawahał się.

– No właśnie... – Aleks odchrząknął.

Miał wrażenie, że akurat w tym względzie ich odczucia są podobne.

– Zadawałem sobie pytanie... – ciągnął prokurator, nie kończąc poprzedniego zdania – szczerze mówiąc, wciąż je sobie zadaję, jakim pan właściwie jest człowiekiem? – Zaskoczony tym wstępem Aleks uniósł pytająco brwi. – Długo trwało, zanim zrozumiałem, w czym tak naprawdę tkwi prawdziwy problem tego śledztwa.

Silski zamilkł, bo kelner przyniósł kawę.

– Wbrew pozorom wcale nie w braku dowodów czy w zawilości ich interpretacji – podjął po chwili, wolno wsypując cukier do filiżanki.

– Tylko?

– No właśnie... prawdziwym problemem okazuje się klasyfikacja czynu. Złodziej kradnie, trafia przed oblicze prokuratora, a ten potrafi jednoznacznie ocenić, że kradzież to nie jest dobry uczynek, że należy się za to kara. Do dyskusji pozostaje wysokość tej kary, ale pogrzebie się trochę w paragrafach i coś tam się zawsze wymodzi, jednak co do istoty sprawy raczej nie ma wątpliwości. Złamanie prawa jest nierozzerwalnie związane z nagannością czynu. – Odłożył łyżeczkę i westchnął. – Wie pan, my, prawnicy, jesteśmy jak te psy Pawłowa. U nas stosowanie prawa to taki odruch bezwarunkowy. Przewinienie, paragraf. – Upił łyk kawy, przymykając oczy. – Problem pojawia się, gdy nie potrafimy w głębi duszy potępić przestępcy. Od tego się zaczyna. Ja mówię zawsze, że spada „karne libido”. Nie ma tego pozytywnego ciśnienia na wymierzenie sprawiedliwości. Bo w końcu – uśmiechnął się lekko – to my jesteśmy przecież wymiarem sprawiedliwości. – Spojrzał Aleksowi w oczy. – Sprawiedliwości – powtórzył i spoważniał – czyli... najbardziej niewymiernej rzeczy na świecie. Wendt poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

- Do czego pan zmierza? – zapytał ostrożnie.
- Zrobił pan to, doktorze. – Spojrzenie Silskiego stało się twarde, choć nie wrogie. – Zabił pan tego człowieka. Nie mam co do tego wątpliwości.

Aleksowi zrobiło się gorąco.

- Nie mam dowodów, żeby pana skazać, ale mam prawo to panu powiedzieć. Powiedzieć, że jestem na sto procent przekonany, iż pan to zrobił. Jednak przy całym włożonym wysiłku nie udało mi się pana potępić. W każdym razie to pan będzie musiał z tym żyć. I szczerze panu powiem... nie zazdroszczę.

Aleksa zalała fala przygnębienia. Na ułamek sekundy powróciły wspomnienia najczarniejszych więziennych chwil.

- Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał cicho.
- Proszę się nie obawiać, na pewno nie teatralnego przyznania się do winy, po którym założę panu kajdanki i wyświetlą się końcowe napisy. Jak powiedziałem, sprawa jest formalnie zamknięta. A ja chcę dzisiaj zamknąć ją również w swoim sumieniu. Pańskie, szczerze powiem, mniej mnie obchodzi. To była od początku cholernie dziwna sprawa – kontynuował prokurator. Od pewnego czasu zerkał na ulicę, jakby kogoś wypatrywał. – Szukałem dowodów, szukałem świadków, ale wciąż nurtowało mnie jedno podstawowe pytanie.

– Jakie?

- Dlaczego? Jest pan człowiekiem na pewnym poziomie intelektualnym. Lekarzem. Przecież musiał pan brać pod uwagę ewentualne konsekwencje. Więc dlaczego?

Aleks miał poczucie, że Silskiemu należą się wyjaśnienia. Ale co ma mu powiedzieć? O cierpiącej matce, o godzinach



spędzanych przy jej łóżku, o bezradności i beznadziejności sytuacji, o cichej rozpaczycie ojca? A może o teściowej, która miała to szczęście, że umarła, zanim stała się rośliną? Czy może o miłości do Moniki, o tym, że chciał jej pomóc, chronić ją? A może o dziwnym wpływie, jaki wywierał na niego Szymański? Nie, prokurator nie zrozumie. Nikt nie zrozumie.

– Żeby na to pytanie odpowiedzieć – Silski znów zerknął ponad ramieniem Aleksa – najpierw musiałem się zastanowić nad moją rolą w tym wszystkim. Dużo czasu zajęło mi uzmysłowienie sobie, że prokurator nie jest od wydawania moralnych osądów, od rozstrzygania filozoficznych dylematów i udzielania odpowiedzi na niezadane pytania. Póki tego nie zrozumie, będzie gonił własny ogon, a śledztwo będzie się kręcić w kółko razem z jego wątpliwościami. Ja miałem po prostu sprawę do rozwiązania. I wreszcie to zrozumiałem. Wtedy właśnie odsłoniło się sedno. Zmieniłem treść pytania. Zamiast: „dlaczego pan to zrobił?”, zacząłem się zastanawiać: „dlaczego pan to zrobił Władysławowi Szymańskiemu?”.

Wypowiedzenie tego nazwiska na głos spowodowało, że Aleksowi przeszły ciarki po plecach.

– Dzięki tej zmianie wszystko znów znalazło się na swoim miejscu. O etyce, moralności i religii niech każdy rozmawia przede wszystkim sam ze sobą, a ja wróciłem do śledztwa.

– I co pan znalazł?

Niepokój zdobył już zdecydowaną przewagę nad zaciekawieniem. Nawet nie dlatego, że Aleks bał się tego, co usłyszy. Zaczął wierzyć temu człowiekowi. Był pewny, że Silski go nie okłamuje, że postępowanie rzeczywiście zostało umorzono.

Jednak z równowagi wytrącał go fakt, że ktoś zagląda w głąb ciemnego korytarza jego pamięci, posuwając się na tej drodze dalej, niż on sam miał odwagę się posunąć.

Może na końcu są drzwi z napisem „Spokój”?

– Szczerze powiedziawszy, sam niczego nie znalazłem. Prędzej można powiedzieć, że... samo się znalazło. Widzi pan, dostałem ostatnio wiadomość. E-mail. Od kogoś, kogo chciałbym panu przedstawić.

## Rozdział 35

– Poprosiłem tę osobę, by przyszła trochę później. Chciałem, żebyśmy mieli czas spokojnie porozmawiać w cztery oczy.

Głos Silskiego docierał do Aleksa, jakby płynął z telewizora w sąsiednim pokoju. Podążając za wzrokiem prokuratora, spojrzął na oszklone drzwi łączące ogródek z wnętrzem kawiarni. Było ciepło, więc otwarto je na oścież.

Aleksowi pociemniało w oczach. Zaczął powoli się podnosić.

Monika.

Zaraz, zaraz, to nie ona.

Przez ułamek sekundy był przekonany, że kobieta idąca powoli w ich kierunku to Monika. Te same ruchy, wyraz twarzy, ubiór, fryzura, wszystko do złudzenia przypominało tak znajomą mu postać.

Jednak im bliżej była kobieta, tym wyraźniej widział różnice w wyglądzie, ale i tak podobieństwo było uderzające.

Co to wszystko znaczy?

– Dzień dobry, panie Arturze. Mam nadzieję, że się nie spóźniłam – zwróciła się z uśmiechem do Silskiego, który też wstał, by ją przywitać.

Głos zupełnie inny niż głos Moniki. Niższy. Ciepleszy.

– Ależ skąd. – Prokurator uściśnął jej rękę. – Siedzimy sobie i gadamy.

Przez chwilę nie zwracali uwagi na Aleksa.

– Przedstawiam pani doktora Aleksa Wendta.

– Witam pana – powiedziała nieznajoma i usiadła. – Nazywam się Ewa Jeremies, ale myślę, że moje panięskie nazwisko więcej panu powie: Ewa Szymańska.

– Pani jest... – zaczął Aleks.

– Tak, córką Władysława Szymańskiego, siostrą Moniki. – Nie mógł znieść jej wzroku. Z pewnością dlatego, że był w nim chłód, chyba większy niż taki przeznaczony dla zwykłych nieznajomych.

Jest tak podobna!

– No tak... – powiedział tylko, siadając.

– Czego się pani napije? – spytał Silski.

– Poproszę herbatę. – W głosie Szymańskiej słychać było napięcie. Nerwowo bawiła się paskiem trzymane j na kolanach torebki.

Silski wykonał ledwo widoczny gest i pojawił się kelner. Aleks poprosił o kieliszek brandy. Musi się trochę uspokoić. Silski spojrział na niego z lekką dezaprobatą, ale nie powiedział ani słowa.

– Pani Ewo, proszę w kilku zdaniach opowiedzieć jeszcze raz to, co napisała mi pani w e-mailu – poprosił.

Mówiąc to, nie patrzył na Ewę, lecz na Aleksa, jakby chciał zobaczyć jego reakcję, zanim usłyszy, co kobieta ma do powiedzenia.

Aleks odetchnął głęboko, jak przed wysiłkiem fizycznym.

– Zacznę chyba od tego, że od wielu lat mieszkam w Detroit, tam wyszłam za mąż, mam dwójkę dzieci.

Ta wiadomość zaskoczyła Aleksa. Monika często opowiadała o swoim pobycie w Stanach, jednak nie mówiła, że ma siostrę i siostrzeńców.

– Nie ukrywam, że od wielu lat nie utrzymywałam kontaktów z ojcem. Właściwie... od śmierci matki, to już prawie dwadzieścia lat, praktycznie całe dorosłe życie. Trudno mi o tym mówić, szczególnie w takiej chwili... ale... ojciec był bardzo specyficznym człowiekiem. – Spuściła wzrok. – Myślę, że wojna i okres powojenny odcisnęły na nim piętno, które zaciążyło na całym jego życiu.

– Tak, mówił mi o tym. Był w obozie koncentracyjnym i bardzo z tego powodu ucierpiał. – Aleks przypomniał sobie ich rozmowy.

– No... niezupełnie... – odezwał się Silski, spokojnie bawiąc się łyżeczką.

– To znaczy? – Aleks spojrzał na niego pytająco.

Ewa westchnęła.

– Myślę, że ojciec nie powiedział panu wszystkiego. Zresztą chyba sam przed sobą wiele rzeczy z tamtego okresu chciał ukryć. Był wtedy dzieckiem. Walczył o życie, o życie walczył też jego ojciec... nasz dziadek... Ja znam tamte lata tylko z opowiadań. I to z opowiadań, które często słyszałam z ust ludzi nie do końca naszej rodzinie życzliwych. Cóż, niech mi pan wierzy, Żydzi to pamiętliwy naród. Pamięć jest częścią naszej tożsamości. Ważną częścią, może najważniejszą.

Aleks słuchał z coraz większym zdumieniem. Nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierza opowieść.

– Jestem daleka od osądzania kogokolwiek za czyny z przeszłości – ciągnęła Ewa – ale jest właściwie pewne, że dziadek i ojciec przeżyli wojnę dzięki...

Przerwała na chwilę. Widać było, że mówienie o tym jest dla niej trudne. W końcu jednak zebrała się w sobie.

– Powiem wprost: dziadek kolaborował z Niemcami. Ponoć wydał wielu Żydów. Bardzo wielu. Również po wojnie był uwikłany w interesy z nazistami. Wyjechał do Stanów i podobno organizował przerzuty wysokich rangą oficerów SS do Ameryki Południowej.

Aleks nie wierzył własnym uszom.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem do końca pewna, iż ojciec mu w tym pomagał. Ale coś musiało w tym być, skoro jego żona, nasza matka, odeszła od niego, zabierając mnie i Monikę i wyjeżdżając do innego stanu. Zresztą wkrótce zmarła. Nie wiem – ściszyła głos – nie chcę źle mówić o ojcu, szczególnie teraz, ale on cały czas był przy dziadku. Nie potrafił się odciąć. Nie potrafił z tego wszystkiego zrezygnować.

– Z czego zrezygnować? – chciał wiedzieć Aleks. – Przepraszam panią najmocniej, może to źle zabrzmie, rozumiem, jak przykre są to dla pani sprawy, ale chciałbym zapytać, po co pani mi to wszystko mówi? Co ja mam z tym wspólnego?

Spojrzał na Silskiego, który nadal obracał w palcach łyżeczkę.

– No właśnie, i od tego właściwie powinnam zacząć – odrzekła Ewa. – Chodzi o to, że po wojnie dziadek dorobił się ogromnej fortuny. Nasza matka, właściwie wszyscy, mieli do ojca pretensję, że przez całe życie z tych pieniędzy korzystał.

Nikt tego oczywiście nie mógł udowodnić, ale ludzie zawsze mówili, że to brudne pieniądze. To nawet ja pamiętam. Matka nie wytrzymała i odeszła. My, jego córki, kiedy

dorosłyśmy, też nie utrzymywałyśmy z ojcem kontaktu. Każda zaczęła swoje życie, powoli wszystko się ułożyło...

– W dalszym ciągu nie rozumiem, co ja...

– Jeszcze chwileczkę, panie doktorze – uspokoił Aleksa Silski.

– Jakiś czas temu zadzwonił do mnie pan Linbergh, nasz rodzinny prawnik z Nowego Jorku, i poinformował mnie, że ojciec wyjeżdża na stałe do Europy i że przed wyjazdem sporządził testament, przekazując cały majątek jakiejś żydowskiej organizacji ścigającej zbrodniarzy wojennych. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia, bo już dawno postanowiłam, że nie dotknę pieniędzy, przez które moja matka tak cierpiała. Szczerze powiedziawszy, nawet nie wiedziałam, że ojciec wrócił do Polski. Proszę mnie zrozumieć, dla mnie to był zamknięty rozdział.

– A coś się później zmieniło? – spytał Aleks.

– Tak, i to dużo – odrzekła Ewa gorzko. – Kilka dni temu znów zadzwonił pan Linbergh i poinformował mnie, że ojciec zmarł w szpitalu w Warszawie i że tuż przed śmiercią zmienił testament. – Aleks poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. – Zapisał wszystko Monice – zakończyła lodowato.

Aleks próbował coś powiedzieć, ale gardło miał tak ściśnięte, że nie przedostał się przez nie żaden dźwięk.

– Pani Ewo, proszę łaskawie powiedzieć, jaka jest szacunkowa wartość tego spadku – odezwał się Silski.

Wciąż zachowywał stoicki spokój, ale tym razem chyba jednak przesadził. Jakie to ma znaczenie, parę dolarów mniej, parę dolarów więcej? Jak on może mówić w takiej chwili o pieniądzach? – zżymał się w duchu Aleks.

– To są oczywiście informacje nieoficjalne, pozyskane

dzięki uprzejmości pana Linbergha, który pamięta mnie jeszcze jako małą dziewczynkę. Nie widziałam testamentu ani wyceny majątku, ale podobno całość opiewa na... ponad dwieście siedemdziesiąt milionów dolarów.

– O kur.. – wyrwało się Aleksowi. Opadł ciężko na oparcie fotela.

– Przyleciałam do Warszawy, bo chciałam być na pogrzebie – tłumaczyła Ewa. – To był jednak mój ojciec. Tutaj powiedziano mi, że jest prowadzone śledztwo. Zdziwiłam się, przecież ojciec był śmiertelnie chory. Napisałam e-mail do prokuratury. Do pana Artura. On mi przekazał, że podobno jest pan podejrzany... to znaczy...

– Tak, to już wiemy – przerwał jej Silski. – Dobrze się pan czuje, panie doktorze? – spytał, bo Aleks był błąd jak kreda.

– Tak, tak... w porządku. Mógłbym prosić o jeszcze jedną brandy?

– Uwaga, kierowco – ostrzegł prokurator, po czym zamówił dwie.

– Nie wiedziałem... – zaczął Aleks.

– Nie trzeba, proszę pana – powiedziała Ewa łagodnie, a nawet ciepło. – Ja wszystko wiem – mówiła cicho. – Pan Artur wszystko mi wytłumaczył. Zresztą cokolwiek się działo kiedyś czy teraz, nie mam do pana pretensji. To właśnie chciałam panu powiedzieć. Nigdy nie rozumiałam mojego ojca, i pewnie tak już zostanie. Ale jestem przekonana, że był po prostu zagubiony, może w jakiś sposób uzależniony od swojego ojca. Pan... jest dobrym człowiekiem. Nie wiem, gdzie w tej chwili przebywa moja siostra i czy miała cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Wiem tylko, że była tutaj, gdy



ojciec umierał... – Zamilkła na chwilę. – Ale to niczego nie oznacza – zauważyła szybko. – W każdym razie cokolwiek się stało, do niej też nie mam żalu. Nawet jeżeli... Pewnie tak miało być. Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzę.

– Chciałabym tylko, żeby pan wiedział – dodała cicho. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– No cóż, doktorze Wendt, skoro już wszystko jasne... – powiedział Silski. Aleks spojrzał na niego wściekły. Co tu jest jasne?! Co on ma zrobić z tym, co usłyszał? – Sprawę możemy chyba uważać za zamkniętą. Jak już mówiłem na początku, formalnie zakończyliśmy dochodzenie. Tak, nie zawsze się wygrywa. Już się z tym pogodziłem. Wyznam, że nie było łatwo, ale teraz, od dzisiaj, może będzie lepiej, bo gdy pomyślę, z czym pan będzie musiał się pogodzić... – Pokiwał smutno głową.

Kelner przyniósł dwie lampki brandy. Silski wypił swoją jednym haustem.

– Aha – uniósł rękę, jakby coś sobie przypomniał – jeżeli znajdzie pan w skrzynce na listy dwa bilety na Mauritius, to proszę nie zapomnieć przysłać mi widokówki – rzucił z kwaśnym uśmiechem.

To był wyjątkowo niesmaczny dowcip – uznał Aleks.

# Epilog

Znowu lało.

To chyba ostatni ciepły, letni deszcz. Taki z dużymi kroplami, od których robią się bąbelki na chodniku. Pachniało jesienią.

Aleks siedział w kuchni i patrzył niewidzącym wzrokiem na świat za oknem.

Miał kaca jak diabli.

Czuł się jak Alicja po drugiej stronie lustra. Nic nie było takie, jakie się wydawało, wciąż trwał koszmarny sen, z którego, pomimo wysiłków, nie mógł się obudzić.

Miał już dosyć rozpamiętywania obrazów, słów, twarzy, mieszających się ze sobą pojedynczych scen zapisanych gdzieś głęboko w podświadomości.

Jeszcze raz, jak podczas pobytu w więzieniu, przeszedł wszystkie etapy rozpacz, zniechęcenia, dotknął obłądu.

I wrócił.

W to samo miejsce.

Na krzesło w kuchni.

Przy oknie.

I wciąż bolało.

Najbardziej to, że jest zupełnie sam.  
Że nikomu nie może o tym wszystkim opowiedzieć.  
I to było najgorsze.  
I właśnie to postanowił zmienić.  
Włączył komputer i zaczął pisać:  
*Zachylek gruszkowaty. Słyszac jego lacińską nazwę...*